

## **Wygnanie zwane repatriacją**

**(Wspomnienia Podolan wygnanych z Ojczyzny  
w latach 1944-1946)**

---

**Warszawa  
2004 r.**

## **Od Redakcji**

Oddajemy do rąk Czytelników kolejny, szósty już Zeszyt Specjalny "Głosów Podolan", któremu nadaliśmy tytuł "WYGNANIE ZWANE REPATRIACJĄ".

Na jego treść składają się wspomnienia Podolan wygnanych – gdyż nie można tego inaczej określić – z Ojczyzny, z Ziemi, na której urodzili się, wzrastali, żyli, którą pracą swoją i wiedzą ubogacali i którą tak bardzo ukochali.

Pozostawili tam dorobek całego życia, a także dorobek Ojców i Dziadów, i zaopatrzeni w "ewakuacyjny łyst" – kartę ewakuacyjną, po dłuższym lub krótszym oczekiwaniu pod gołym niebem na stacjach kolejowych załadowani do towarowych wagonów, najczęściej odkrytych tzw. lor, rozpoczynali podróż w nieznaną – za San, do Polski w jej nowych, okrojonych granicach.

Młody Czytelnik dopatry się może analogii do pionierów na Dzikim Zachodzie, starsi czytając te teksty, znajdą okazję do porównania z własnymi przeżyciami.

Życząc naszym Czytelnikom interesującej lektury, dziękujemy równocześnie Autorom nadesłanych wspomnień za życzliwy odzew na nasz apel.

Jeśli Czytelnicy zachęceni tym przykładem nadeślą nam inne jeszcze relacje o wysiedleniu – chętnie wydamy wspomnień tom II.

Władysław Surowiecki  
Czułczyce

## Poemat repatriacyjny<sup>1</sup> (fragmenty)

O roku ów tragiczny – czterdziesty piąty,  
W niepewność jutra wpatrzeni Polacy  
Ze skromnym podróжным dobytkiem  
Z ojczyzny podolskiej – wygnani  
    Jak Herman z Dorotą na skrzypiącym kole  
    Uszliśmy z życiem w nieznany kraj  
    Pamiętny exodus narodu polskiego  
    Po klęsce września  
W Załuczu na stacji transporty czekały  
Gromada bezdomnych, gotowych do drogi  
Ze skąpym dobytkiem żegnała swą ziemię  
Niektórzy na zawsze – niektórzy z nadzieją, że wrócą ...  
    Żal nam te strony było porzucać  
    Rodzinną skibę i przyzbę przy domu – nagrzaną  
    Wierzby nad wodą – bocianie gniazda  
    Przejrzyste niebo  
Podróż ostatnią w gromadnej rodzinie  
Za ziemie nieznane – za Odrę – prusacką  
W niepewność jutra polskich tułaczy  
Z nostalgią i łzą w oku ...

<sup>1</sup> Termin REPATRIACJA wprowadzony został przez ówczesne władze polskie i zastosowany celowo ze względów politycznych, lecz w odniesieniu do faktycznego stanu rzeczy używany był i jest nadal nieprawidłowo. Zdarza się spotykać go nawet w publikacjach historyków.

Termin **repatriacja** oznacza (wg W. Kopalińskiego) “powrót do ojczyzny” (od łacińskiego **repatriatio** – powrót jeńców, osób internowanych, wysiedlonych, uchodźców z ojczyzny)

Właściwym terminem jest **ekspatriacja** – przymusowe wydalenie kogoś z ojczyzny, wygnanie (łac. *expatriare* – opuszczać ojczyznę). (Przyp. Red.).

Żelaznym okrętem w blaszanych pudłach  
W siną dalekość w głębie zamglonych ogrodów  
O chłodzie nocy w miarowym stukocie kół  
Zdobywaliśmy Zachód – pionierzy  
Garść ziemi z ogrodu w woreczek sypana  
By pod wezłowiem ojczyznę przypomnieć  
Cóż można było zachować przy sobie  
By śnić? ...  
    Błądząc wśród ulic, tu na obczyźnie  
    Toczę poemat po bruku mej troski  
    Ze mną mój cień i kształt mój luby  
    Snują się z wiatrem pamięci – daremnie  
A srebrnym sercem podróжны księżyc  
Zawisł wysoko nad nowym kominem  
I zezem patrzył w przyćmione latarnie  
Zza rogu zachodnich ulic, dziwiąc się przybyszom ...  
    Gdzieżeś Itako? Gdzieś piosenko o Prucie  
    Gdzieżeś ma muzo z greckich trochei  
    Wiek mój złoty w tombakowej ramie  
    Wplatany w łoziny nadbrzeżne  
Marzę w tej ciszy o moim Lwowie – Kresach – Podolu  
Żem je zostawił w pośpiechu  
Tęsknię nad nimi po nocach i dniach  
I wierzę, że kiedyś tam wrócę  
    Daleka ty ziemio, kraju mój kochany  
    Gdzie pachnące kwiaty, przepastne ogrody,  
    Bocianie gniazda, wybielone domy  
    Tyś polską stanicą, Tyś Polska Kresowa ...  
Tamże na naszych wschodnich rubieżach  
Bieleją kości ojców i dziadów  
Zostały w piachu broniąc jeszcze Polski  
Przed zapomnieniem w mrokach historii  
    Napisz poeto długie wiersze prawdy  
    O naszej przeszłości dla młodych pokoleń  
    I o najeźdźcy napisz ze wzgardą  
    Co nam krzywdę czynił i kośćmi naszych ojców  
    Nasze ziemie bielił.  
Feniks z popiołów kiedyś się odrodzi  
Pofrunie w kręgi – ojczyźniane – dawne

Pofrunie na pola, pofrunie na dworki  
 W ruiny zamków, gdzie pamięć tylko krąży  
 Może z popiołów, z okrucich serc naszych  
 Tych polskich tułaczy, zbłąkanych po świecie  
 Zbuduje się gmach trwałe, strzechą polską kryty  
 Z malwą przed oknem - piękną – kolorową  
 Niech powrócą ptaki w gniazda  
 Niech z dobrą nowiną powrócą  
 Niech przyfruną wszystkie, niech wrócą zbłąkane  
 Skąd dusze tułacze, tam niech serca płoną.

*Henryk Ogonowski*  
*Wleń*

## **Geneza i warunki naszej ekspatriacji na zachód**

Zmiany polityczne i społeczne, jakie nastąpiły po napaści hitlerowskich Niemiec na Polskę 1 września 1939 roku i ich klęska w maju 1945 roku, były nie tylko rezultatem rozgromienia potęgi hitlerowskich Niemiec przez armie sojusznicze, lecz przede wszystkim podjętych wcześniej decyzji „Wielkiej Trójki”: Związku Radzieckiego, USA i Wielkiej Brytanii.

Już na konferencji w Teheranie, która odbyła się na przełomie listopada i grudnia 1943 roku, a więc na dwa lata przed zakończeniem wojny, Wielka Trójka wstępnie zarysowała wizję nowego powojennego podziału świata, uwzględniając głównie interesy i wpływy zwycięzców. Polska stała się w tej politycznej grze kartą przetargową pomiędzy Związkiem Radzieckim, Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi Ameryki Północnej.

W pierwszych dniach października 1944 roku udaje się do Moskwy na spotkanie ze Stalinem i Mołotowem W. Churchill, aby przeprowadzić rozmowy sondażowe na temat możliwości utworzenia koalicyjnego rządu polskiego i zmiany przedwojennych granic Polski.

Spotkanie moskiewskie było jakby preludium Jałty, gdzie na konferencji w dniach 4 – 11 lutego 1945 roku zatwierdzono ostatecznie nowy podział świata, a w tym kształt i losy przyszłego Państwa Polskiego.

Po Jałcie sprawy potoczyły się bardzo szybko, i po myśli Wielkiej Trójki. Na wyzwolonych skrawkach polskiej ziemi powołano Tymczasowy Rząd Jedności Narodowej z Osóbką-Morawskim jako premierem, a 5 lipca 1945 roku architekci umowy jałtańskiej cofnęli uznanie legalnemu rządowi Rzeczypospolitej Polskiej w Londynie.

Po cofnięciu tego uznania przywódcy Wielkiej Trójki w pośpiechu przygotowali konferencję w Poczdamie, która odbyła się w dniach od 17 lipca do 2 sierpnia 1945 roku. W sprawach wschodniej granicy Polski postanowiono, że Wilno i Lwów pozostaną w rękach sowieckich, zaś w sprawie granic północnych i zachodnich po dłuższych targach zdecydowano, że Polska otrzyma obszar byłego Wolnego Miasta Gdańska, część Prus Wschodnich oraz Dolny Śląsk, Śląsk Opolski, Ziemię Lubuską i Pomorze Zachodnie, granica zaś przebiegać będzie na Nysie Łużyckiej i Odrze, ze Szczecinem i Świnoujściem włącznie.

Tak oto wielcy ówczesnego Świata zdecydowali o losach państw i narodów świata, w tym również Europy Środkowej i Wschodniej. To właśnie w wyniku tych decyzji my, mieszkańcy Czabarówki, podobnie jak miliony Polaków zamieszkujących Kresy Wschodnie, musieliśmy w 1945 roku i w latach następnych opuszczać swoje rodzinne gniazda, budowane latami przez wiele pokoleń, udawać się w nieznane i żyć odtąd w rozproszeniu.

Była to, jak na tamte warunki administracyjne i transportowe, gigantyczna wędrówka ludów wymuszona decyzjami politycznymi, wbrew wszelkim regułom zdrowego rozsądku oraz podstawowym warunkom bezpieczeństwa i higieny.

Pierwsze transporty na zachód odjeżdżały ze stacji kolejowej w Husiatynie począwszy od lipca 1945 roku. Ładowaliśmy się do wagonów, którymi przyjeżdżali w nasze strony Łemkowie wysiedlani z Bieszczad. Były one mocno zniszczone i zainfekowane różnymi chorobami, głównie tzw. pryszczycą bydła rogatego. Każdy transport wyjeżdżający z Husiatyna składał się z kilkudziesięciu wagonów różnego przeznaczenia, głównie jednak odkrytych węglarek i platform zwanych „lorami”. Wagonów krytych było mało, a

kto w nich jechał mógł czuć się prawdziwym szczęściarzem. Większość musiała we własnym zakresie przystosować wagony tak, aby w miarę bezpiecznie można było wyruszyć w daleką drogę. Sama podróż na zachód była pełna niespodzianek, różnych komplikacji, czasem nawet zagrożenia dla życia i mienia.

Pierwszeństwo przejazdu miały transporty wojskowe wiozące żołnierzy radzieckich na front oraz transporty wywożące zagrabione mienie z terenów okupowanych. Nasze musiały czekać po kilka dni na bocznicach kolejowych, narażone na chłód i głód oraz napady band, w tym także band ukraińskich spod znaku UPA. Był to czas chaosu i bezprawia. Na potwierdzenie tego przytoczę taki fakt.

Na jednym z dłuższych postojów, gdzieś między Tarnopolem a Lwowem, obsługa naszego transportu stwierdziła, że grzeją się osie w kilku środkowych wagonach. Są zatarte i dalej jechać nie mogą. Należy wyłączyć je z ruchu i wyładować podróżnych, którzy muszą poczekać na przydział sprawnych wagonów. Dopiero wtedy, z innym transportem kontynuować będą dalszą podróż. Ludzi ogarnął strach na skutek nowej sytuacji w jakiej się nagle znaleźli.

Po dłuższych pertraktacjach i prośbach popartych określoną sumą gotówki, jedzenia i wódki, obsługa przyrzekła postarać się aby wagony były sprawne i mogły jechać dalej. W taki i inny sposób wymuszano na podróżnych haracz wiedząc doskonale, że nikt im pomocy nie udzieli, a w krytycznych momentach przyjmą każde, nawet najgorsze warunki. Opisywane sytuacje sprawiały, że czas podróży mocno się wydłużał. Transport, w którym podróżowałem wyjechał z Husiatyna w drugiej połowie października, a dotarł do stacji przeznaczenia w Leśnej k/Lubania Śl. w pierwszych dniach grudnia 1945 roku.

W podobnych, bądź jeszcze gorszych warunkach przebiegała podróż większości polskich rodzin.

Dziś, po wielu latach od tamtych burzliwych i niebezpiecznych czasów, w zasadzie już historycznych, wracamy do nich myślami po to, aby ukazać młodemu pokoleniu, które wzrastało w pokojowych warunkach, ich dramatyzm oraz ogrom przeżyć jakie były udziałem ich dziadków i ojców, a także po to aby uzmysłowić czym jest wojna i jakie niesie zagrożenia dla świata i narodów.

*Wiktor Chmieluk  
Głogów*

## Przesiedlenie...

Historią powojennych dziejów można nazwać zasiedlenie Ziemi Głogowskiej, ponieważ minęło już ponad pół wieku. Pionierzy w dużej mierze odeszli na wieczny spoczynek, a ich potomkowie w drugim lub trzecim pokoleniu zastanawiają się, jak to się stało, że właśnie tutaj mieszkają.

W tych odległych latach, 1945 r. i następnych, osiedlali się tu głównie ludzie ze wschodnich województw Rzeczypospolitej Polskiej, będących na mocy traktatów wielkich mocarstw (w Jałcie, Teheranie, Poczdamie) pod administracją ZSRR, a obecnie suwerennych już państw (byłych republik ZSRR) Ukrainy, Białorusi i Litwy.

Również w wyniku tych traktatów Polacy, którzy nie chcieli stać się automatycznie obywatelami ZSRR, musieli wyjechać z tamtych terytoriów, pomimo, że ich przodkowie zamieszkali je od wieków. Dotyczy to głównie zagarniętych 6-ciu województw: wileńskiego, nowogródzkiego, wołyńskiego, lwowskiego, tarnopolskiego i stanisławowskiego, jakie zamieszkiwało przed wojną około 13 milionów rodaków. Przywrócono nam w zamian tzw. Ziemie Odzyskane, dokąd zmierzały transporty przesiedleńców "repatriantów" tj. do obecnego miejsca zamieszkania. Transporty z przesiedleńcami trafiały do różnych miejscowości Ziemi Zachodnich i Północnych.

Przeważnie wyglądało to podobnie, pociąg-transport dojeżdżał do jakiejś stacji i wszyscy musieli pośpiesznie wyładowywać przywieziony dobytek. Pociąg odjeżdżał a ludzie pozostawali przy torach, zazwyczaj zawiedzeni, bo przecież jechali do Polski, a pozostawieni zostali na bezludnym pustkowiu samym sobie. Wprawdzie wokół były wioski, ale po przejściu frontu straszyły zniszczeniami, nie uprzątniętymi trupami ludzi i zwierząt, minami, a ze wsząd zionął swąd spalenizny. Towarzyszył temu strach i obawa - co nastąpi dalej? Nieco inaczej wyglądało to w miejscowościach gdzie mieszkały jeszcze rodziny niemieckie. Przesiedleńcy byli dokwaterowani do poszczególnych gospodarstw z obietnicą, że

Niemcy zostaną w najbliższym czasie wysiedleni. Trzeba więc było mieszkać wspólnie nawet do 1947 r., kiedy ostatecznie zrealizowane zostały decyzje mocarstw podjęte w Poczdamie. Przyjeżdżającymi tu przesiedleńcami były głównie kobiety, dzieci i starcy. Mężczyźni należeli do rzadkości, ponieważ w tym czasie wszyscy w sile wieku (18 – 60 lat) byli jeszcze w wojsku.

Ludziom koczującym przy torach nie pozostawało nic innego jak przeniesienie się do wiosek i zasiedlenie znajdujących się tam zagród lub domów. Zazwyczaj czynili to niechętnie, ale wymęczeni paru tygodniami niewygodnej jazdy w towarowych wagonach w końcu musieli skryć się pod dachem. Pragnieniem było rozpoczęcie normalnego życia.

Te wydarzenia odzwierciedla częściowo film pt.: „Sami swoi” zrealizowany z dużą dozą humoru. Chociaż przesiedlenia przebiegały podobnie, to jednak każdy transport miał swój oddzielny epizod.

Chcę opisać historię przesiedlenia pewnej grupy ludzi – kilkanastu rodzin ze wsi Skorodyńce (pow. Czortków woj. Tarnopol), z którą ja jechałem.

Wieś nasza, położona w dolinie Seretu, oddalona 7 km od Czortkowa, zamieszkała była od wieków przez ludność mieszaną polsko – rusińską (ukraińską). Podole charakteryzuje się dobrą urodzajnością ziemi i naturalnym malowniczym krajobrazem, try-skającymi źródłami i wspaniałym klimatem.

Wielokulturowy naród żył tu w zgodzie i poczuciu grupowej sąsiedzkiej solidarności. Tak było do czasu II wojny światowej. I tutaj muszę sięgnąć pamięcią do przykrych wspomnień. Wybuch wojny i okupacja sowiecka znacznie pogorszyła sytuację ludności polskiej. Okupant siał propagandę, że wkroczył na te tereny „aby wyzwolić naród ukraiński”. To wyzwoliło, zaszczerpiony już wcześniej w pewnych kręgach ukraińskich - nacjonalizm. Kolaborująca z okupantem ludność ukraińska i żydowska została włączona do sprawowania władzy w administracji. Polacy zostali zepchnięci do drugiej kategorii. Zaczęły się prześladowania i wywózki na Syberię. Najgorsze nastąpiło podczas okupacji niemieckiej. Od pierwszych jej dni ludność Polska zaczęła przeżywać swoją gehennę, gdyż do okupanta dołączyli bardzo czynnie ukraińscy nacjonałści. I oto niespodziewanie zaprzyjaźniony sąsiad, zaczadzony propagandą przez skrajnych nacjonalistów ukraińskich (opartą na doktrynie

totalnego szowinizmu Dmytra Doncowa), staje się sąsiadem okrutnym.

Już w pierwszych dniach okupacji niemieckiej rozpoczęło się mordowanie polskiej ludności. Napadano na bezbronnych ludzi w polu, na drogach, w domach i mordowano ich tylko dlatego, że byli Polakami.

Mordy były okrutne, w najwyższym stopniu sadystyczne, przy użyciu prymitywnych narzędzi (siekier, noży, wideł); Polaków katowano, topiono w studniach lub w rzece, tak, że śmierć od kuli była wybawieniem. Najpierw mordowano pojedynczych ludzi, później całe rodziny a nawet całe wsie. Najgorszy był rok 1944, po wycofaniu się Niemców i przesunięciu frontu na zachód, kiedy to Polacy zostali powołani do wojska, a we wsi pozostały kobiety, dzieci i starcy. Nacjonałści ukraińscy w większości nie poszli do wojska, wręcz przeciwnie, dołączyli do tych w lesie. Na tyłach frontu pozostały nieliczne oddziały wojska sowieckiego i NKWD, głównie w miastach. Spełniały one rolę militarno-porządkową i administracyjną. W miastach udawało się to w pewnym stopniu, natomiast ludność wsi zdana była na siebie, a że brakowało mężczyzn, panowali ci z lasu. Dla ratowania życia ludzie porzucali swoje domostwa, dobytek i uciekali do miasta. Czortków był w tym czasie przeludniony do granic wytrzymałości. Nikt nie interesował się uciekinierami, nie było zorganizowanej pomocy, liczyła się tylko ludzka solidarność. Podziwiam do dzisiaj tych ludzi z Czortkowa, którzy w większości bezinteresownie nieśli pomoc, dawali schronienie we wspólnym budynku. Nikt nie dbał o wygodę, liczyli się tylko przetrwanie, a zbliżała się zima 1944/45 roku. Brakowało żywności, opału, paszy dla inwentarza żywego, obuwia, ubiorów - a ludzie trwali. Szerzyły się choroby, bo brak było możliwości utrzymania higieny. Bardzo powszechnie panowała wszawica i świerz. Jeżeli ktoś uchronił się przed świerzem, to nikt nie mógł się pochwalić, że nie towarzyszą mu wszy, a dotyczyło to zarówno ludności cywilnej jak i wojska. Brak pieniędzy i lichwiarskie ceny zmuszały ludzi do udawania się poza miasto dla zdobycia żywności i paszy dla bydła. Udawało się czasem albo nielicznym, lecz wielu przyplaciło to życiem.

Kiedy w takiej sytuacji zaczęto wcielać w życie porozumienie o przesiedleniu nie trzeba było ludzi zbytnio przekonywać i namawiać do wyjazdu na Zachód. Większość nie miała wyboru chcąc

ratować życie. Zaczęło się zapisywanie do wyjazdu, i bardzo szybko utworzyła się kolejka rodzin oczekujących na podstawienie wagonów. Zapisywano się do różnych miejscowości w Polsce. W moim przypadku wpisaliśmy Poznań. Kiedy dowiedzieliśmy się w Biurze Repatriacyjnym w Czortkowie, że jesteśmy już na liście wyjazdu, zaczęto czynić przygotowania. Wiadomo było, że można będzie zabrać tylko to, co niezbędne ze względu na szczupłość miejsca w przydzielonych wagonach. Nie można było nawet liczyć, że każda rodzina otrzyma oddzielny wagon. Na dłuższą podróż trzeba było przygotować i zakonserwować znanymi sobie sposobami żywność. Trzeba było przeanalizować, co należy i uda się zabrać, a czego trzeba się wyzbyc. Wiadomo było, że wszystkiego sprzętu i inwentarza żywego nie zabierze się. Ci, którzy pozostawali mieli wyjątkową okazję zawłaszczyc, a jeżeli już kupić, pozostawiane mienie to za minimalne pieniądze. Jeżeli dobrze pamiętam, moja mama sprzedała konia z wozem za około 500,- rubli. Co za to można było kupić trudno mi powiedzieć, ale na pewno kupiła kilka flaszek samogonu, gdyż to liczyło się bardziej niż pieniądze. Jak się później okazało, w drodze bardzo się przydał.

Pewnego dnia, już wiosną, pasąc krowy w rannych godzinach na stoku góry od strony Wygnanki, skąd stację kolejową widać było jak na dłoni zauważyliśmy, że na bocznicy zajechały puste wagony. Pośpiesznie udaliśmy się do miejsca zamieszkania, gdzie była już wiadomość, że wyjeżdżamy. Zaczęły się gorączkowe poszukiwania środka transportu i przewóz tego, co jeszcze pozostało na stację.

Było to spełnienie naszych oczekiwań, bo już dłużej w takich warunkach nie można było żyć. Jednocześnie zaczęły nas dręczyć duże obawy. Zostawialiśmy wszystko, dorobek całych pokoleń, domy, gospodarstwa i największy skarb – ziemię, o której zawsze mówiło się, że "ogień jej nie spali i woda nie zabierze". Mamy jechać w nieznaną, na tułaczkę, bez żadnego rozeznania co nas czeka i co w zamian otrzymamy.

Okazało się, że wagonów jest znacznie mniej niż rodzin uprawnionych do wyjazdu. Nikt nie chciał rezygnować. Zaczęto kompletować do jednego wagonu nawet po kilka rodzin. W naszym przypadku otrzymaliśmy dwa wagony, załadowało się 7 rodzin. Były to węglarki bez dachu, jedna większa, druga mniejsza. Wagony były zanieczyszczone słomą i odchodami zwierzęcymi, gdyż

przyjechali nimi Ukraińcy przesiedleni z Polski, którym można było zabrać wszystko. Podczas sprzątania słomy z legowiska (którą trzeba było wynosić rękoma) zauważono, że słoma roi się od wszy, które szybko znalazły sobie nowych żywicieli. Wyznaczony został kierownik całości transportu w osobie prof. gimnazjum z Czortkowa p. Stanisława Nowakowskiego, a niezależnie od tego kierownicy poszczególnych wagonów, którzy odpowiadali za właściwy i przepisowy załadunek. Chodziło o to, aby zachować obowiązujące normy szerokości i wysokości ładunku.

Mieliśmy szczęście, że kierownikiem naszego wagonu był p. Rasiewicz – kolejarz z Hadyńkowiec i załadował się razem z nami. Ze względu na szczupłość miejsca trzeba było maksymalnie wykorzystać każdy skrawek i możliwości wagonu. Do większego wagonu załadowano inwentarz żywy (krowy - żywicielki, potrzebną paszę, ściółkę i niezbędny sprzęt). Do drugiego wagonu upchnięto wszystko jak najściślej i wysoko rękoma kobiet i dzieci, które duże i ciężkie worki ze zbożem dźwigały na wysokość powyżej 2,5 m, jak również ciężkie skrzynie i kufry. Niestety nie wszystko można było pomieścić i trzeba było z części bagaży zrezygnować. W wagonie jechały też niemowlęta. Tam trzeba było pomieścić kołyskę i piecyk, na którym w drodze można było coś podgrzać i ugotować. Ta praca zajęła resztę dnia do wieczora, kiedy można było uznać załadunek za zakończony. Nastąpiły pożegnania z towarzyszącymi i pomagającymi w załadunku znajomymi oraz oczekiwanie na odjazd.

Transport odprawił pracownik kolejowy p. Bandurski – sprawdził czy załadunek jest w miarę zgodny z normami, co musieli poświadczyć kierownicy poszczególnych wagonów.

Już było ciemno, kiedy nastąpiło nieprzewidziane wydarzenie. Z wagonu, w którym znajdował się inwentarz żywy wyskoczyła krowa Rasiewicza. Ten, chcąc ją złapać tak niefortunnie upadł, że złamał obojczyk i doznał ogólnych potłuczeń. Nie było już czasu na szukanie pomocy medycznej w obawie, żeby transport nie odjechał. W ten sposób został wyeliminowany jedyny w naszym wagonie pełnowartościowy mężczyzna - kolejarz.

Droga też nie była usłana różami. Późnym wieczorem 20 maja 1945 r. transport nasz ruszył w drogę jakby do "Ziemi obiecanej". Chociaż wygod brakowało, dla wielu osób była to pierwsza w życiu podróż pociągiem. Na pierwszej stacji - Górnej Wygnance -

dołączono jeszcze wagony z przesiedleńcami z sąsiedniego powiatu – Borszczowa.

Z rana przywitał nas piękny słoneczny dzień w wojewódzkim Tarnopolu, gdzie pociąg zatrzymał się na dłuższy postój. Z wierzchu wagonu było widać, że miasto jest bardzo zniszczone działaniami wojennymi, wszędzie sterczały góry gruzów. W czasie dalszej jazdy podczas dnia ludzie powyłazili na wierzch załadowanych wagonów i obserwowali trasę przejazdu. Mijaliśmy miejscowości i pracujących w polu ludzi. Zaobserwowałem, że do ludzi w polu wymachiwano z wagonu pięściami, ci zaś obracali się tyłem i poklepywali po tyłkach, a pasąca krowy kobieta odsłoniła cały tyłek. Takie to były "pożegnania".

Tak dojechaliśmy do węzłowej stacji w Krasnem przed Lwowem. I tutaj spotkała nas pierwsza niespodzianka. Kolejarze sprawdzający wagony stwierdzili, że nasz wagon nie nadaje się do dalszej drogi, gdyż grzeje się oś i należy go odłączyć od transportu. Zrobili krzyżyk kredą na kole, a to dla nas oznaczało bardzo poważny problem, gdyż skutkowało tym, że wagon z nami zostanie, a transport pojedzie dalej. Trzeba było trochę zachodu, a kilka flaszek samogonu sprawiło, że mogliśmy jechać dalej. Przypuszczam, że były to celowe praktyki kolejowych naciągaczy w celu wyludzenia okupu. W Krasnem doczepiono jeszcze kilka wagonów z "repatriantami" z Wołynia i transport był już tak długi, że czasami używano dwóch lokomotyw. Dalsza podróż stawała się bardziej przykra, bo zaczął padać deszcz, przed którym nie było gdzie się skryć i wszystko mokło.

Kiedy pociąg zatrzymywał się na dłużej, a bywało tak często, bo w pierwszej kolejności przepuszczano transporty wojskowe, ludzie korzystali ze sposobności aby zaopatrzyć się w opał, karmiono i pojono inwentarz żywy. Pociąg nagle ruszał, ktoś doganiał, a bywało, że nie zdążył i zostawał.

Zapamiętałem przekroczenie granicy pod Przemyślem, kiedy przejeżdżaliśmy przez San po prowizorycznym drewnianym moście. Pociąg jechał bardzo wolno. W dole po obu stronach rzeki pracowali niemieccy jeńcy i błagalnie wyciągając ręce prosili o jechanie, a pilnowali ich sowieccy żołnierze. Kiedy z naszego wagonu rzucił ktoś bochenek chleba, jeńcy rzucili się nań całą kupą. Nad chlebem utworzyło się kłębowisko wygłodniałych ludzi.

Kiedy przejechaliśmy most poprawiły się nastroje. Ujrzelśmy na strażnicy flagi biało-czerwone, biegli polscy żołnierze na nasze spotkanie. Przyjaźnie wymachując rękami wypytywali z jakich miejscowości ludzie jadą. Żołnierze pełniący służbę wojskową oczekiwali tu przyjazdu swoich rodzin. We wszystkich wstąpił nowy duch. Wszystko wydawało się piękniejsze i poczuliśmy się pewniej. Nawet na dłużej przestał padać deszcz i niebo rozjaśniło słońce.

Pierwszą pomoc z PCK otrzymaliśmy dopiero w Krakowie w postaci świeżego pachnącego chleba z kminkiem. Dojechaliśmy do stacji kolejowej w Mikulczycach. Okazało się, że tutaj kończą się szerokie tory i ten skład już dalej jechać nie może. Powiedziano nam, że trzeba się rozładować na poboczu torów i oczekiwać na podstawienie innych wagonów. Rozpoczęła się ciężka praca rozładunkowa przez starych ludzi i kobiety z pomocą dzieci. Rampy kolejowej nie było i najtrudniej było poradzić sobie z inwentarzem żywym. Wagony odjechały, a myśmy pozostali pod gołym niebem przez dwie lub trzy doby. Ludzie porobili prowizoryczne szałas, palono ogniska, gotowano posiłki. Tutaj pomoc PCK była już lepiej zorganizowana, częstowano nas zupą i można było wykapać dzieci. Wzdłuż koczujących ludzi chodziły kobiety narodowości niemieckiej w poszukiwaniu żywności, ofiarując w zamian do wymiany różne przedmioty i ubrania. Najbardziej poszukiwana była fasola nazywana przez nie "bunzol", a żywności nikt wtedy nie miał w nadmiarze.

Kierownik ciągle interweniował w sprawie podstawienia wagonów, zbywano go obietkami. Kiedy w końcu wagony podstawiono okazało się, że są podobne do tych, które opuściliśmy. Były to także węglarki i platformy. W całym transporcie było tylko kilka krytych wagonów przeznaczonych dla kobiet z dziećmi, aby mogły się w nich skryć na wypadek intensywnych deszczów. Z powodu braku rampy skala trudności przy załadunku była dużo większa niż przy rozładunku. Trzeba było robić dla zwierząt prowizoryczne pochylnie i nie lada sztuką było wciągnąć do wagonu bydło. U nas pochylnię zrobiono z dwóch drabin od wozu, które p. Jan Kurasiewicz zabrał aby chociaż częściowo przykryć wagon. Posłużyły one też przy załadunku do innych wagonów, ponieważ w tych warunkach bardzo trudno było nawet o pojedynczą deskę. Dzięki dzielnym kobietom, przywykłym do ciężkiej pracy i ich dzielnym pokonano i tę trudność. Jednak z upływem czasu, kiedy po-

dróż przedłużała się, uciążliwe warunki atmosferyczne, niedożywienie i zmęczenie wpłynęły na to, że entuzjazm zaczął opadać i już z dużą niecierpliwością oczekiwano kresu podróży.

Kiedy załadunek ukończono oznajmiono nam, że transport będzie skierowany docelowo do Kędzierzyna - Koźla. Ludzie gromadnie zaprotestowali, w wyniku czego p. Nowakowski interweniował w biurze dyspozycyjnym. Ponieważ bardzo stanowczo domagał się, aby transport skierowano do Poznania, został aresztowany. Przed biurem zgromadzili się bardzo licznie ludzie z transportu domagając się zwolnienia kierownika i zmiany decyzji. Trudno mi powiedzieć kto o tym decydował, ale masowa interwencja poskutkowała. Skierowano nasz transport do Poznania, gdzie po kilku dniach dojechaliśmy. Aby tak długi transport ustawić na bocznicę trzeba go było rozdzielić na dwie części. I tu spotkała nas niemiła niespodzianka, gdyż rozdzielenie wypadło akurat między dwa nasze wagony. Wagon z inwentarzem żywym odjechał na odległy tor. Nie pomogły żadne prośby i tłumaczenia, aby go doczepili z powrotem. W odzyskaniu wagonu dopomógł nam zbieg okoliczności. Niespodziewanie zjawili się dwaj żołnierze z naszej wioski, którzy w Poznaniu przebywali na leczeniu szpitalnym. Był to nasz sąsiad ze Skorodyniec Piotr Podruczny i Jan Kwieciński, Dowiedzieli się, że na stacji stoi transport z "repatriantami" i przyszli szukać swoich rodzin. Pomimo, że ich rodzin tu nie było, stanowcza interwencja wojskowych odniosła skutek i po pewnym czasie wagon dołączył do składu. W czasie postoju w Poznaniu przedstawiono nam dwie propozycje: transport może być skierowany do Głogowa lub Krzyża. Trudno powiedzieć co przesądziło, że w godzinach popołudniowych rozdzielony skład wagonów ruszył w kierunku Głogowa.

Ludzie wyczuwali, że zbliżają się do kresu podróży. W Poznaniu odłączył się od transportu nasz kierownik p. Nowakowski i na własną rękę pojechał do Inowrocławia. Jadąc do Głogowa ludzie z wielkim zainteresowaniem przyglądali się okolicy, szczególnie kiedy minęliśmy Leszno i wjechaliśmy na tereny gdzie pojawiły się napisy miejscowości i stacji kolejowych w języku niemieckim. Kiedy przejechaliśmy Wschowę było już ciemno, a oświetlenia elektrycznego nie było. Pograżyliśmy się w ciemnościach jadąc okrężną drogą przez Krzepielów, gdyż w miejscowości Głogówko zniszczony był most i pociąg kluczył wyznaczoną trasą, a stacje

kolejowe nie były jeszcze obsadzone przez kolejarzy. W nocy pociąg zatrzymał się. Okazało się, że o mało nie doszło do katastrofy. Tuż przed zniszczonym mostem na Odrze zatrzymali go sowieccy marynarze, którzy w pobliżu kwaterowali. Po jakimś czasie pociąg zaczął cofać się do najbliższej stacji Grodziec Mały (Niderfeld), gdzie zarządzono wyładowanie z wagonów. Mimo, że ludzie wiedzieli iż taki finał musi nastąpić, nie przypuszczali, że odbędzie się to w takich okolicznościach.

Środek nocy, ciemno, wokół tylko pola, ludzie byli zdeorientowani. A tu idzie kilku żołnierzy sowieckich od wagonu do wagonu i informuje, że w ciągu trzech godzin należy wagony opróżnić, bo po tym czasie pociąg bezwzględnie odjedzie. Kiedy szli z powrotem, otwierali brutalnie drzwi z przeciwnej strony wagonu, a oparty o nie bagaż wylatywał na ziemię.

Wybuchła wrzawa i narzekanie, ale w sytuacji kiedy część wiezionego dobytku leżała na poboczu torów nie było dyskusji. Kierownika transportu już z nami nie było, a co miały począć kobiety z dziećmi? Radzi nie radzi zaczęli się ludzie rozładowywać. Początkowo powoli, a potem z wielkim pośpiechem, aby nadrobić stracony czas. Zrucano beładnie z wagonu na pobocze przedmioty, worki itp. bagaż. Inwentarz żywy musiał wyskakiwać, bo w ciemną noc trudno było naprędce zrobić pochylnię. Stałem na brzegu pola w wysokim zbożu i trzymałem krowy na powrozach. Przyglądałem się jak ludzie uwijali się przy rozładunku, a między nimi moja mama. Babcia opiekowała się moimi małymi siostrami (1 rok i 3 lata). Czas mijał bezlitośnie, dochodziły nawoływania i płacz dzieci, kiedy sygnał parowozu oznajmił, że rozładunek należy kończyć. To jeszcze bardziej zmobilizowało do pośpiechu, bo już nie było odwrotu. Moja mama nie poradziłaby sobie gdyby nie pomoc rodziny Suchorońskich, gdzie były 3 dziewczyny w wieku 14 – 18 lat, które pomagały i Jan Kurasiewicz (inwalida), który zawsze pomagał przy załadunku i rozładunku żywego inwentarza. Po upływie około pół godziny od pierwszego sygnału, nastąpiły dwa czy trzy przeciągłe gwizdy i po chwili wagony ruszyły w drogę powrotną nabierając stopniowo szybkości. Widziałem jak jeszcze tu i ówdzie, w ostatniej chwili ktoś wyskakiwał lub zrzucał bagaż z jadącego już pociągu. Krzyki i nawoływania oznajmiały, że nie wszyscy zdążyli. Widziałem na jadących wagonach sterczące resztki wozu konnego



i inne przedmioty. Pociąg odjechał, a ludzie przy torach krzżeli się i układali swoje "bogactwa".

O świcie zaczęły się wynurzać kontury wioski oddalanej o kilkaset metrów od stacji. Wszyscy się jej przyglądali i można było wywnioskować, że nie ma w niej mieszkańców. Kiedy nastał dzień pierwsi śmiałkowie wybrali się na zwiad i potwierdzili, że wieś jest opustoszała. W zasięgu wzroku widać było inne odległe wioski. Zaczęto zadawać sobie pytanie – co dalej? Dzień minął na porządkowaniu dobytku, a co śmielsi udali się na rozpoznanie wioski. Okazało się, że w majątku rolnym jest grupa wojska sowieckiego i kilka rodzin niemieckich. Ostrzegali żeby uważać, bo wszędzie są miny jako pozostałość po przejściu frontu i że w okolicy mogą być rozbitkowie niemieckiego wojska.

Poczuliśmy się bardzo nieswojo. Ludzie postanowili czekać na stacji na przedstawicieli jakiejś miejscowej władzy. Poczuli się zawiedzeni i bezradni. Przecież wyjechali ze "spalonej ziemi" do Polski, a znaleźli się na niegościnniej ziemi, gdzie mieszkali Niemcy. Ludzie postanowili czekać na stacji i domagać się, aby nas stąd zabrano. Na drugi dzień przyjechał następny transport tj. druga część oddzielnego w Poznaniu pociągu. Do tego czasu żaden przedstawiciel władzy administracyjnej ani wojskowej nie pojawił się. W następnych dniach robiliśmy wypadki do wioski, gdzie widać było, że od dawna nikt tu nie mieszkał. Porośnięte wysoką trawą wały się wszędzie porozrzucone sprzęty, nieżywe rozkładające się zwierzęta. Były też nie pogrzebane trupy ludzi - żołnierzy i osób cywilnych. Wszędzie pootwierane drzwi mieszkań, porzucone różne części garderoby, fruujące pierze z porozrywanych poduszek, a w gospodarstwach rolnych pozostawiony sprzęt rolniczy. Ludzie wracający na stację nieśli w rękach jakieś znalezione przedmioty lub narzędzia.

Z wiaduktu nad torami można było dostrzec na polach unieruchomione czołgi wśród łąnów zbóż, a 2 – 3 km dalej kompletnie zniszczone miasto Głogów. Było to miasto - twierdza, broniące się uporczywie do 1 kwietnia 1945 r., czyli że zostało poddane niepełna 2 miesiące przed naszym przyjazdem. W wielu miejscach unosił się jeszcze dym dopalających się budynków czy fabryk. Widok był przygnębiający. Wystarczy wspomnieć, że miasto było zniszczone w 95%, a centrum (Stare Miasto) nie istnieje po dzień dzisiejszy. Widok był podobny do wyzwolonej Warszawy.

Kilku przedstawicieli z naszego transportu wybrało się na własną rękę do Głogowa w poszukiwaniu władzy. Doszli do mostu na Starej Odrze, który był zerwany. Środkowe przęsła leżały w wodzie tworząc dwie strome pochylnie. Z dużym trudem przedostali się na drugi brzeg do położonego niespełna kilometr dalej drugiego mostu na Odrze. Był zupełnie zniszczony. W pobliżu dopalała się rafineria cukru, a przepalony syrop wyciekał na ulicę tworząc duże kałuże.

Między obu Odrami kwaterował oddział sowieckich marynarzy, od których dowiedzieli się, że w mieście po drugiej stronie Odry znajduje się tylko wojsko sowieckie i żadnej cywilnej władzy tam nie ma. Ostrzegali, że wszędzie jest pełno min. Wszędzie leje po bombach i pociskach, okopy i rowy przeciwczołgowe, fruujące papiery i zniszczony sprzęt wojskowy, wszędzie pełno zrzutów amunicji w pojemnikach spadochronowych. Drzewa ogołoczone z gałęzi od wybuchów pocisków i bomb, pełno trupów, żadnego śladu życia. Nasi śmiałkowie wrócili przygnębieni. Nie odniosły też skutku próby nawiązania kontaktu z oddaloną o 25 km Sławą, gdzie podobno było Wojsko Polskie.

Ludzie byli tym wszystkim ogromnie zmęczeni, już ponad 3 tygodnie przebywali w takich warunkach, bez żadnej pomocy, pozostawieni samym sobie, a tuż pod bokiem były puste zabudowania i wsie. Nie wiem co zdecydowało, że pewnego dnia nagle wszyscy rzucili się do zajmowania poszczególnych zabudowań w dwóch najbliższych wioskach tj. w Grodźcu Małym i odległych o 2 km Sobczycach. Pośpiech był wielki, bo obawiano się, że zabraknie domów i trzeba będzie iść do bardziej odległych wiosek. Zabrakło by ich na pewno gdyby nie to, że ludzie dobierali się po dwie, a nawet kilka rodzin do jednego zabudowań. Zajmowali po jednej izbie, byle był dach nad głową i było bezpieczniej. Traktowali to zakwaterowanie tymczasowo, liczyli, że gdy wrócą mężczyźni z wojska to zapadną inne decyzje. Sama przeprowadzka też nie była łatwa gdyż brakowało środków transportu. Wprawdzie było parę koni ale nie rozwiązywało to problemu. Poszły w użytek różne wózki, pchano wozy konne, próbowano też ciągnąć wozy krowami.

Wszystkie rodziny z naszego wagonu osiadły w jednym, skromnym gospodarstwie w Grodźcu Małym, zajmując po jednej izbie. Zaczęło się życie normalniejsze, bo był dach nad głową, można było zrobić przepierki, ugotować, a nawet upiec chleb.

Z żywnością było bardzo źle, gdyż ciągle liczyły się tylko przywiezione zapasy, no i kto miał krowę to było jeszcze mleko.

Kiedy zrobiło się trochę normalniej, pojawiło się nowe zagrożenie. Otóż kwaterujący pod Głogowem marynarze, zaczęli nachodzić nas w domach. Byli bardzo rozzuchwaleni i uważali, że na zdobytych przez nich terenach wszystko im wolno. Przeważnie podpici, domagali się alkoholu i polowali na niewiasty. Początkowo, kiedy pojawili się ludzie myśleli że będą to sprzymierzeńcy i obrońcy, a okazało się że stanowili zagrożenie i zakłócali normalne funkcjonowanie. I kiedy zbliżał się wieczór wszyscy chowali się w domach, bramy i drzwi zamykano na wszystkie spusty. Pojawiali się już także polscy żołnierze na krótkie urlopy i zaczęli interweniować u różnych władz odradzającej się administracji. Po jakimś czasie przysłano ze Sławy Śl., gdzie tworzyła się administracja powiatu, kilku milicjantów. Byli to młodzi chłopcy w cywilnych ubraniach z biało-czerwonymi opaskami na rękawach, uzbrojeni w karabiny. Jak się okazało, nie mieli żadnych szans przeciwstawienia się marynarzom, którzy przychodzili licznymi grupami i byli często uzbrojeni. Milicjanci też zamykali się w stworzonym posterunku. Pewnego dnia przyjechał oddział kilkunastu żołnierzy i zakwaterował się na nocleg w naszym gospodarstwie. Zajechali samochodem, wystawili warty, byli mile witani. Wieczorem pojawiła się na stole flaszka samogonu, konserwy, przybyło kilka dziewcząt, odezwały się dźwięki "harmoszek", śpiewy i rozpoczęły się tańce. Nagle radosną atmosferę przerwał wystrzał napadniętego przez marynarzy wartownika. Padł rozkaz "bagnety na broń" i żołnierze przepędzili nieliczną grupę natrętów. Innym razem do wioski przybyła kompania saperów do rozminowania pól. Ludzie byli im bardzo wdzięczni i serdeczni, gdyż dla nich wojna ciągle jeszcze trwała i każdego dnia narażali swoje życie. No i marynarze nie mieli już takiej swobody. Żołnierze byli zdyscyplinowani i na co dzień przebywali w miejscu zakwaterowania. W niedzielę zorganizowano potańcówkę dla żołnierzy i miejscowej młodzieży. Nie było tam miejsca dla marynarzy, wszyscy ich unikali. Jednak zjawili się bardzo liczną grupą. Próbowali odbierać żołnierzom dziewczyny, dochodziło do przepychanek, robiło się niebezpiecznie. Kiedy pod wieczór biegłem do domu wszędzie było ich pełno. Marynarze najwidoczniej postanowili przejąć inicjatywę w swoje ręce. Kiedy ściemniło się doszło do frontalnej bitwy. W kompanii saperów zarządzono alarm,

ciemności rozjaśniły rakiety i rozpoczęła się strzelanina. W domu posypało się z okien szkło, padliśmy na podłogę ogarnięci trwożą. Słychać było krzyki, nawoływania i tupot nóg uciekających ludzi. Po godzinie wszystko ucichło. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że są ranni wśród żołnierzy, nawet dowódca chodził z obandażowaną głową. Marynarzy zatrzymano, musiał po nich przybyć ich dowódca. Doszło do ostrych rozmów i ugody. Po tym wydarzeniu marynarze pojawiali się już tylko ukradkiem i próbowali skromnie pozyskiwać samogon i sympatie niektórych niewiast, oferując im różne towary i przedmioty (trofea wojenne).

W miejscowym majątku zakwaterowany był oddział żołnierzy sowieckich, którzy mieli za zadanie młócenie zboża znajdującego się w stodołach i zwożonego z okolicznych majątków. Na placu ustawiono lokomobilę do napędzania młockarni. Maszyny pracowały po całych dniach, a wymłócone zboże ładowano do wagonów wysyłanych do Kraju Rad. Nie zasługiwałoby to na uwagę, gdyby nie stosowane praktyki. Żołnierze ci wyłapywali ludzi powracających z przymusowych robót w Niemczech i zmuszali ich do niewolniczej pracy przy młóceniu zboża. W ten sposób wyręczali się ludźmi, którzy wiele lat pracowali w nieludzkich warunkach, byli schorowani i wynędzniali. Były wśród nich zgony, bo pozostały do dziś mogiły w przypałacowym ogrodzie. Pamiętam, że dwóch takich mężczyzn próbowało ucieczki. W godzinach popołudniowych przybyli do naszego gospodarstwa z walizkami i prosili, aby mogli pozostać do wieczora, a nocą planowali udać się w dalszą drogę. Na podwórku kręciło się sporo osób i dzieci a oni byli wśród nas. Nagle przybysze zauważyli zbliżającego się drogą sowieckiego żołnierza i zaczęli uciekać. Pozostali nie wiedzieli co się dzieje i też zaczęli uciekać w różne strony. Ja uciekłem do mieszkania i przez okno widziałem jak żołnierz o ciemnej cerze i skośnych oczach wszedł na podwórko i zaczął przeszukiwać pomieszczenia. W oborze za drzwiami znalazł jednego uciekiniera i prowadził go w kierunku drogi. W pewnym momencie strzelił do niego, zobaczyłem jak człowiek upadł, a żołnierz zarzucił karabin na ramię i odszedł. Leżący jeszcze żył i mocno krwawił z rozległej rany w okolicach serca. Zbiegli się ludzie, próbowali pomóc. W niedługim czasie przybył oficer sowiecki. Kazał wszystkim rozejść się i zaczął wymawiać pistolet z kabury najwidoczniej z zamiarem dobicia ofiary. Stanowczy protest zgromadzonych osób spowodował, że oficer

odstąpił od tego zamiaru. Ranny był już nieprzytomny, ciężko odychał i po kilku minutach umarł. Oficer rozkazał kopać za stodołą dół, gdzie miał być pogrzebany zabity. Nie pomogły protesty, aby pochować go na cmentarzu i dopiero, kiedy wstawił się w tej sprawie nasz wojskowy będący na urlopie, sowiecki oficer zgodził się na cmentarz. Bezimienna ta mogiła znajduje się do dziś na cmentarzu w Grodźcu Małym. Drugi uciekinier późnym wieczorem opuścił nasze zabudowania i odszedł w zamierzonym kierunku. Trudno powiedzieć, czy dotarł do celu, bo były to czasy, kiedy można było zabić człowieka nie ponosząc żadnej odpowiedzialności. Tak było na wschodzie i w nowym miejscu zamieszkania. Ludzie czuli się ciągle zagrożeni, żyli w bojaźni.

Bardzo duże niebezpieczeństwo stanowiły miny. Teren był zaminowany, ludzie często ginęli lub odnosili rany. W wielu rodzinach dochodziło do wielkich dramatów. Trudno było przewidzieć, gdzie można natknąć się na minę. I nie tylko miny były zagrożeniem, bo wszędzie leżało pełno różnych pocisków, granatów moździerzowych oraz różnych wymyślnych pułapek. Ofiarami i kalekami stawali się nie tylko dorośli ludzie i młodzież, ale nawet wojskowi

Nadal brakowało żywności, ponieważ żaden handel nie funkcjonował (poza wymiennym). Zapasy kończyły się i w tym przypadku bardzo liczyły się przywiezione krowy – żywicielki. Bardzo brakowało materiału hodowlanego innych zwierząt, jak prosięta, drób. Ziarno na chleb było przywiezione i można było je pozyskać na miejscu, ale był problem z jego przerobem na mąkę.

Sytuacja zaczęła się poprawiać dopiero kiedy mężczyźni zaczęli powracać z wojska. Nie wszyscy wrócili. Ludzie żyli ciągle w poczuciu tymczasowości zamieszkania, pomimo, że przesiedlenie można by nazwać dużym "skokiem" w świat o wyższym poziomie cywilizacyjnym. Ten stan tymczasowości trwał jeszcze przez kilka następnych lat.

W dogodniejszych warunkach i bez pośpiechu wyjeżdżali ludzie z innych terytoriów (Białoruś, Litwa). Tam nie było tylu zagrożeń, jakie dotknęły nas w Małopolsce. Przydzielano im wagony, na które mogli zabrać znacznie więcej swego dobytku, inwentarza żywego, otrzymywali nawet wagony do przewiezienia pasiek. Ich start w powojennej rzeczywistości był więc o wiele łatwiejszy.

Pragnę jeszcze dodać jak potoczyły się losy mieszkańców Skorodynie.

Do końca 1945 r. wyjechali prawie wszyscy do Polski i wszyscy trafili na Ziemię Odzyskane. Wyjechało około 150 rodzin i osiedliło się w następujących miejscowościach:

- 1) Sulików – Studniska k. Zgorzelca (pow. Lubań)
- 2) Golesowice powiat Pszczyna (Górny Śląsk)
- 3) Grodziec Mały pow. Głogów (dolny Śląsk)
- 4) Bielice k. Krzyża (Lubuskie)
- 5) Kolnica pow. Brzeg (Opolskie)
- 6) Boreczek pow. Strzelin (Dolny Śląsk)

Największa grupa rodzin osiedliła się w Sulikowie i Studniskach w przybliżeniu około 50%. Następnie w Golesowicach i po kilkanaście rodzin w pozostałych miejscowościach. Kilka rodzin pozostało w Czortkowie. W Skorodynie nie pozostała ani jedna rodzina polska. Można by się dopatrzeć 2 – 3 osób w rodzinach mieszanych, ale łatwego życia też tam nie mieli.

*Władysław Kubów  
Warszawa*

## **Szli na zachód osadnicy**

W 2004 roku mija 60 rocznica ludobójczych mordów dokonanych na ludności polskiej przez bojówki OUN-UPA, jak też wysiedlenia pozostałej przy życiu ludności polskiej z woj. tarnopolskiego.

Gdy w nocy z 22/23 lutego 1944 r. przy 20 stopniowym mrozie i śniegu po pas napadła na moją rodzinną wieś Berezowicę Małą k. Zbaraża banda UPA i wymordowała, wyrżnęła 131 ludzi – Polaków, od niemowlęcia do starca, zrabowała dobytek i spaliła zagrody, to pozostali przy życiu uciekali gdzie się tylko dało. Wieś była pełna trupów i czerwonej krwi na białym śniegu.

Pochówek odbywał się pośpiesznie i płytko, bo ziemia była zamrznięta, lub po prostu tylko w śniegu, bo pod wieczór już niko z Polaków we wsi nie było. Uciekli do innych wsi, a także do

Zbaraża i Tarnopola. Trzeba współczuć prawym i uczciwym Ukraińcom, którzy musieli pozostać we wsi na tym zbiorowym cmentarzystku pomordowanych polskich sąsiadów.

Moja rodzina – ojciec lat 63, brat Bronisław lat 23, ja lat 21 i dwie siostry Adela lat 18 i Józia lat 16 (mama już nie żyła), po porzebaniu kilku zamordowanych członków dalszej naszej rodziny i najbliższych sąsiadów, już pod wieczór uciekliśmy do Tarnopola, do cioci Antosi z Mieszków Brygierowej. Spod rynny na deszcz. Bowiem tu przeżyliśmy oblężenie miasta. Walki trwały 6 tygodni. Po zajęciu północnej części Tarnopola przez Armię Czerwoną powróciliśmy do Berezowicy i zaraz obaj z bratem zostaliśmy zmobilizowani do Armii Polskiej w Związku Radzieckim. Ja znalazłem się w szkole podoficerskiej w Sumach pod Kurskiem, a brat w szkole oficerskiej w Riazaniu nad Oką.

W związku z tym, że byłem na froncie, nie przeżyłem bezpośrednio wysiedlenia. Poprosiłem więc żyjące jeszcze siostry, aby one opisały wysiedlenie Polaków z naszej wsi. Oto co napisały te proste (4 klasy szkoły powszechnej) kobiety, które po prawie 60 latach wiele zapamiętały, gdyż takich strasznych przeżyć nie zapomina się nigdy.

Oto ich relacje:

**Józefa Ciesielczyk** z d. Kubów, Sośnica, pow. Pleszew – Wielkopolska.

“Piszę to, co zapamiętałam z tak odległych czasów. W październiku 1944 przyjechał do Berezowicy ze Zbaraża urzędnik sowiecki, zrobił zebranie i ogłosił, że w Tarnopolu powstał Komitet Polski, który załatwia wyjazd ludności polskiej do Polski. Więc kto chce może do Polski wyjechać, a ci, którzy nie chcą wyjeżdżać, to muszą podpisać oświadczenie, że zgadzają się na obywatelstwo sowieckie. Ludzie nie chcieli wyjeżdżać w nieznane, ale też nie zgadzali się na sowieckie obywatelstwo. Zdecydowali się jednak na wyjazd, bo gdy front przesunął się nad Wisłę, to banderowcy znowu zaczęli mordować Polaków. Gdyby tego nie było to nikt by nie wyjechał, a szczególnie nasz ojciec, który tę ziemię tak kochał. Trwaliśmy więc nadal. W dzień pracowaliśmy, w nocy chowaliśmy się przed banderowcami gdzie się tylko dało. Najlepiej było w budynkach i piwnicach u sąsiadów Ukraińców. Gorzej było jak przyszła zima. Jednak dobry człowiek, sąsiad - Ukrainiec, Fed’ko Bart-

kiw, pozwolił nam spać w swojej piwnicy, która znajdowała się w stodole i nie rzucała się w oczy. Codziennie skoro świt przychodził i powiadał, że mamy już iść do domu, bo we wsi jest spokój. I tak było do 20 grudnia. W dniu tym był w Berezowicy prężnik (odpuść) św. Mikołaja i Fed’ko długo nas nie budził. Ojciec bardzo niecierpliwił się, że on tak długo nie przychodzi mimo, że już całkiem biały dzień. Wreszcie przyszedł błądy i powiedział, że nie będzie już nas przechowywał, bo byli u niego banderowcy w nocy i powiedzieli, że jak znajdą tu Polaków, to będzie z nim i jego rodziną to, co z Polakami. Przeszliśmy przez drogę do domu, ale tak, żeby nas nikt nie widział - ukradkiem i natychmiast szykowaliśmy się do wyjazdu do Polski. Adela poszła z krową do Tarnopola, a ja z ojcem pozbiieraliśmy nasz marny dorobek i zawieźli go do cioci Brygierowej w Tarnopolu. Mieliśmy dwa marne konie kupione za wódkę-kontygentówkę od sowieckich żołnierzy. Gdy wracaliśmy, żeby coś jeszcze z domu zabrać, zastała nas noc pod Ihrowicą. Ojciec bał się jechać dalej i zanocowaliśmy u kuzyna ojca, Stanisława Białowąsa. Rano, w Wigilię Bożego Narodzenia 24 grudnia 1944 r. ojciec pojechał do Berezowicy, a syn Stanisława, Janek Białowas zawiózł mnie do Tarnopola. Ojciec wracając wstąpił po mnie, a żona Stanisława, który był na froncie bardzo prosiła, aby ojciec pozostał na Świętej Wierzy. Ale on coś przeczuwał, podziękował, bo chciał w ten uroczysty wieczór być z nami. Wyjechał z Ihrowicy, było ciemno i dojechał do Iwaczowa. Obejrzał się, a Ihrowica już się paliła. Banderowcy napadli na wieś i wymordowali prawie 100 Polaków, a księdza porabali siekierą na kawałki. Właśnie w tę Wigilię mieliśmy jechać do Polski pierwszym transportem. Czekaliśmy jeszcze tydzień i dopiero w Sylwestra ładowaliśmy się do towarowych wagonów. Jechało nas dużo rodzin, po kilka rodzin w jednym wagonie. Była sroga zima, do dzisiaj zastanawiam się, jak my to wszystko wytrzymałyśmy, głodni, zmarznięci, bo nie było ani dobrych butów, ani odzienia ciepłego. Nie pozwolono nam zabrać ani krowy, ani koni, wszystko razem ze sprzętem zostało w Tarnopolu na rampie kolejowej. Ale nie żalowaliśmy, byliśmy szczęśliwi, że wyjeżdżamy żywi chociaż w nieznane. Z różnymi przygodami jechaliśmy w lubelskie do Krasnegostawu dwa tygodnie. Tego nie da się opisać. W Krasnymstawie czekaliśmy jeszcze kilka dni zanim przyjechały podwozy i zawieźli nas do Krasicyzna, a później jeszcze dwa kilometry do wsi Czajki. Tu na skrzy-

żowaniu staliśmy na mrozie i śniegu, aż przygarnęła nas rodzina Krasowskich. Tam mieszkaliśmy, do lipca 1945 r., w jednej izbie 7 - osób.

Gdy w lipcu jeden repatriant wyjechał na zachód, to my po nim dostaliśmy chatę. Było nam lepiej, bo przynajmniej byliśmy sami. U Krasowskich (dobrzy ludzie) było bardzo krępujące dla nas młodych dziewcząt mieszkać w jednej izbie, nas troje i czworo domowników. Codziennie chodziliśmy z Adelą do ludzi na zarobek. Za cały dzień pielienia czy innej pracy dostawałyśmy litr mleka, albo coś innego do jedzenia. Ojciec nasz pasał krowy u pani Adamskiej za wyżywienie. Resztę to już wiesz, bo jak wróciłeś z wojny, to zabrałeś nas w Poznańskie. Adela na pewno napisze więcej, bo była starsza ode mnie i ona załatwiała nasz wyjazd”.

\* \* \*

A oto, co pisze na ten temat moja druga siostra, Adela zamieszkała w Czajkach pow. Krasnystaw:

“Zadałeś mi trudne zadanie, nie wiem czy dam radę opisać to wszystko. Ciężko mi już pisanie idzie, ręka się trzęsie, ale postaram się to opisać, bo jeszcze wszystko pamiętam, tak jak by to było wczoraj.

A więc jak poszliście z Bronkiem na wojnę, punkt zborny był w Stryjówce, k. Zbaraża, przyszła wiadomość, że będziecie już wyjeżdżać na wschód. Więc matki, żony i siostry z Berezowicy wybrały się do Zbaraża, aby pożegnać swoich bliskich. Ja też pojechałam, aby pożegnać Was, moich braci. Staliśmy przy drodze pod Zbarażem, a dużą kolumnę mężczyzn żołnierze sowieccy prowadzili na stację kolejową. Wy obaj wychodziliście z szeregu i tak razem szliśmy. Poborowi szli nie tylko ze Stryjówki, ale i z innych punktów zbornych. Wszystkich zgromadzili na zamku, gdzie z wielkim płaczem pożegnaliśmy swoich najbliższych.

Jak wróciłam do domu, koło drzwi stał ruski żołnierz na warcie, bo w naszym domu zrobili szpital. Gdy wyjeżdżałam do Zbaraża to tego szpitala jeszcze nie było. Zaczęłam płakać, bo nie wiedziałam gdzie tato i siostra Józia, a tu ciemna noc. Żołnierz zlitował się i powiedział, że oni zostali przeniesieni do sąsiada Ukraińca, Fed’ka Bartkiwa. Ojciec i Józia ucieszyli się, że wróci-

łam, bo to późna noc i pełno sowieckiego wojska. Wróciliśmy do domu, gdy szpital przeniesiono do szkoły.

Była wiosna. Posadziliśmy w ogrodzie trochę kartofli i warzyw. Był spokój, ale gdy w czerwcu wojsko poszło z frontem na zachód, to już nikt nie spał w domu. Chowaliśmy się na noc gdzie się dało, bo banderowcy wyszli z ukrycia i znów zaczęli mordować Polaków. Było tak, że w dzień była władza radziecka, a w nocy – banderowska. A jeszcze wcześniej, jak bili się nad Seretem, to nas wypędzili Sowieci na wschód do Netreby. Tam koczowaliśmy w spalonych domach, bo Netrebę wymordowali i spalili za Niemca banderowcy. Tam byliśmy kilka tygodni, a głód był straszny, tego nawet nikt nie zrozumie. Na żniwa wróciliśmy do domu, nie było za dużo do zbioru, bo czołgi zryły pola i zniszczyły zasiewy. Dla nas z Józią (ojciec ciągle chorował) to było i tak dużo roboty, bo to trzeba było wszystko zebrać sierpem. A najgorzej, że nie było co jeść. Ojciec za wódkę kontygentówkę (była zakopana) kupił od sowieckich żołnierzy krowę i dwa liche konie. Przyszli inni żołnierze i chcieli je odebrać, ale ojciec schował je w stercie słomy. Już było bardzo dobrze, bo mieliśmy mleko, tłukłyśmy w stępie proso, gotowaliśmy kaszę na mleku i już głód był zaspokojony. Ugotowałam tej kaszy i poszłam z Józią żąć pszenicę na lwaniackie, gdzie było dwie morgi pola. Pszenica piękna i nie zniszczona przez czołgi. Ale czy my damy radę zebrać to sierpem? Płakałyśmy i żęły zboże.

Do domu było ze cztery kilometry, więc wzięłyśmy ze sobą w garnku kaszę. Zmęczone pracą zjadłyśmy kaszę i ja usnęłam. Przyśniło mi się, że garnek z kaszą przewrócił się i ona się wylała. Obudziłam się ze strachu, co będziemy jadły., ale na szczęście kasza stała nie wylana. Przepraszam, za takie pisanie, ale ja to na nowo przeżywam i bardzo się wzruszam. Ojciec był tak chory, że nam młodym dziewczynom bardzo mało pomagał. W dzień ciężko pracowałyśmy, a w nocy kryłyśmy się po strychach oborowych, po różnych dziurach, ale jeszcze w naszej zagrodzie. Woziliśmy z Józią snopy, a konie nie były przyzwyczajone do roboty w gospodarstwie i szły do przodu, - mur to mur, płot to płot, woda to woda. Jak jechałyśmy na tych snopach to ludzie oczy zamykali ze strachu. Ale jakoś nic nam się stało.

Zboże młóciłyśmy u Kaśkowych (Ukraińiec Hryhorko Budnik) kieratem, ale wiać nie było czym, bo z naszego młynka wojsko zabrało rafki na okna do ziemianek. Dzisiaj sama nie wierzę, że ja

jako młoda dziewczyna jedenaście metrów (metr = 100 kg) przesiałam przetakiem i zawiozłam do punktu do Dobrowód na kontyngent, jaki władza sowiecka na nas nałożyła. Za pierwszych sowieców ojca jako kurkula (kułaka) prześladował Paweł Łewkiw – hołowa silrady, którego sami Ukraińcy, jak przyszli Niemcy, w piwnicy na plebani udusili. Teraz ojca prześladował hołowa Jantoch Kowal<sup>2</sup>.

Zbliżała się jesień, trzeba, choć trochę zasiał zboża na chleb na przyszły rok. Wysiałam z przetaka na jednej mordze pola żyto i na jednej pszenicę. Ale pod pszenicę, aż do Zapust – 4 km, trzeba było wozic obornik. Wojsko gnojownik ze względu na higienę (był u nas przez pewien czas szpital) przykryło grubą warstwą ziemi. Ziemię trzeba było usunąć, nałożyć na wóz ciężki, bo przegniły obornik, zawieźć na pole i rozrzucić. Raz nawet koło nam się zepsuło, stałyśmy obie i płakały, aż tato przyszedł i koło nam odhamował i jechaliśmy dalej. Tego wszystkiego nieszczęścia nie da się opisać. A zresztą, czy ktoś w to uwierzy?

Wojsko z frontem poszło na zachód, a bandy ukraińskie tylko na to czekały i zaczęły dawać znać o sobie. Był już wrzesień i zaczęliśmy szukać lepszych kryjówek. Ojciec na razie z nami nie ukrywał się, miał swoje tajne kryjówki. A my obie z Józją, ze Stefanką, Milcią i Dozią Szybistą trzymałyśmy się zawsze razem. W naszej stodole zrobiliśmy sobie kryjówkę. Od między Kaśkowych wydarłyśmy pod ścianą słomę, tak żeby było gdzie pomieścić 5 osób. Deski od dołu oderwałyśmy, tak nie całkiem, żeby w razie pożaru można było uciec, od klepiska (toku) wydarłyśmy też dziurę, (taki tunel), żeby do kryjówek można było dojść. Ostatnia zatykała za sobą słomą tę dziurę i tak nie rozebrane, spałyśmy. A czy ze strachu można było zasnąć? Tu ukrywałyśmy się do późnej jesieni. Ktoś z Ukraińców musiał nas wypatrzeć, bo zaczęli ludzie mówić gdzie się ukrywamy. Mieliśmy sąsiadów Ukraińców, bardzo dobrych ludzi. Tudośko (Cwach), a właściwie jego rodzina, bo on był na wojnie, umieścili nas na strychu nad oborą, a stary Hryć, zakrywał nas, całą piątkę słomą. Tam ukrywaliśmy się do grudnia. W dzień trzeba było ciężko pracować.

<sup>2</sup> Jak się o tym dowiedziałem, to mu napisałem, żeby ojcu dał spokój, bo jestem w Wojsku Polskim i jak przyjadę to się z nim rozliczę – poskutkowało, odczepił się. (W. K.)

Przyjechał jakiś sowiecki przedstawiciel ze Zbaraża, zrobił zebranie i powiedział, że Ukrainy nie będzie, bo takie państwo nigdy na mapie nie istniało. A ponieważ front zatrzymał się na Wiśle, to Polacy jak chcą mogą jechać na Zachód do Polski, bo tu i tak Polski nie będzie. Ludzie jak to ludzie, posłuchali i nic. Kto ze swojej ojcowizny chciał wyjeżdżać w nieznane? Ale zastanawiali się, czy jednak nie uciekać, żeby ratować życie. Banderowcy coraz częściej napadają i mordują Polaków w innych wioskach. W Berezowicy w nocy wzięli Franka Kubowa (Bobko), za bandaż na szyi ciągnęli go przez całą wieś za koniem i w końcu powiesili na krzaku bzu u Mateusza Zakrzewskiego. Pryczepili kartkę, że zginął za donoszenie. Później zamordowali w stajni między końmi Piotra Kubowa, byłego sołtysa, następnie Pawła Wiśniowskiego. Po tych mordach, ojciec się przestraszył (był 10 lat wójtem gminy w Berezowicy, a później radnym gminy zbiorczej) i ukrywaliśmy się we trójkę – ojciec ja i Józia, - u dobrego Ukraińca, sąsiada Fed'ka Bartkiwa. Miał loch – piwnicę w stodole i tam spaliśmy na kartoflach. Zawsze na noc Fed'ko nas zamykał i nakrywał właz słomą, a raniusieńko odmykał, żebyśmy mogli przejść do domu przez drogę i żeby nikt nas nie widział.

20 grudnia był ukraiński praznik (odpust) św. Mikołaja. Już całkiem późno i czujemy, że już dzień, a Fed'ko nie przychodzi. Wreszcie przyszedł bład jak śnieg, trzęsie się ze strachu i mówi, idźcie sobie gdzie chcecie, bo dzisiaj w nocy była banda i powiedzieli, że ja przechowuję Polaków. I zagrozili mu, że jak kogoś znajdą, to z nim i jego rodziną będzie to samo, co z Polakami. Już wtedy nie było rady, trzeba było uciekać. A było to tuż przed Bożym Narodzeniem. Wielu Polaków z Berezowicy już wcześniej wyjechało do Tarnopola, by wyjechać do Polski.

Ojciec wziął sanie, na które załadował 4 worki ziemniaków, worek pszenicy i trochę mąki razowej, skrzynię z ubraniami, zrobioną przez mnie kilogram masła i pojechał z tym, wraz z Józją, do Tarnopola. Ja skoro świt wyszłam z krową do Tarnopola, a dotarłam tam (było około 24 km) w mrozie i śniegu w kiepskim odzieniu i podartych butach około godz. 10 wieczorem, do Brygierów. Ojciec zostawił po drodze Józję u kuzynów w Ihrowicy, a skrzynię z rzeczami przywiózł do cioci Brygierowej w Tarnopolu. Ktoś mu z tej skrzyni ukradł pół masła, prześcieradło i moją jedyną sukienkę

granatową uszytą ze spódnicy nieboszczki mamy, ale kto to ukradł nie wiem.

Urząd obiecał nam, że zabierzemy ze sobą konie, krowę i inne rzeczy, ale tego transportu jeszcze nie było. W Wigilię tato z ciocią Agnieszką Jaworską raniuteńko pojechali jeszcze do Berezowicy. Mieliśmy trochę owiec, ojciec postanowił dwie zarznąć na mięso, a resztę zostawić dobremu Ukraińcowi. Wracali już wieczorem i wstąpili do Ihrowicy do kuzyna ojca Stanisława Białowasa, który był na froncie, po Józię, ale jej już nie było, bo syn Stanisława – Janek zawiózł ją do Tarnopola. Żona Stanisława prosiła ojca, by został na Świętą Wieczerzę, ale nie skorzystał z zaproszenia, bo chciał być ze swoimi. Tylko wyjechali za Ihrowicę, a tu strzały i wieś się pali. To banderowcy napadli na Ihrowicę, wymordowali około 100 ludzi, w tym porąbali na kawałki polskiego księdza. Chyba nazywał się Szczepankiewicz.

Kiedy już mordowali w Ihrowicy, to siostra ojca ciocia Franja, którą Ukrainiec wiózł do Tarnopola też została zamordowana. W sierpniu nad Pilicą na froncie zginął jej mąż, Franciszek Kocaj, została 10 letnia córka – Jańcia ze starą babką. I jak tu dziecku powiedzieć, że i mama nie żyje. Ale wreszcie powiedzieliśmy, rozpaczało dziecko strasznie. Została z babcią i ciocią, siostrą taty, jechała z nami w świat nie wiedząc dokąd. Święta jeszcze w Tarnopolu, mieliśmy najsmutniejsze w życiu. Jedne, kiedy tuż przed Bożym Narodzeniem zmarła mama, a drugie w 1944 r. Bracia na wojnie, a my już na wygnaniu, bo do domu już nie wróciliśmy nigdy. Wiadomości od braci nie mieliśmy, raz napisał Broniek z Lublina. Opisał Majdanek, gdzie Niemcy palili ludzi.

Aha! Jeszcze jak byliśmy w domu to sowieci zabierali dziewczęta do kopalni do Rosji, strasznie się tego bałyśmy, ale jakoś nas nie ruszali.

Wreszcie podstawili wagony, ale było ich mało, bo wszystko szło na front. Na Sylwestra ładowaliśmy się do towarowych wagonów. Wzięliśmy 4 worki kartofli, worek pszenicy niecały worek razowej mąki, no i skrzynię z tobołkami. Musieliśmy to wszystko dwa razy dźwigać, bo pociąg zatrzymał się daleko. Ani konia ani krowy nie zabraliśmy i razem z innymi rzeczami wszystko zostało na stacji. W wagonie towarowym było nas 4 rodziny z tobołami, oni inwentarz też musieli zostawić. A jak nosiłyśmy te worki i toboły to płakałyśmy i przewracałyśmy się, bo nie było sił, a tu nikt nie po-

może, bo pilnuje swego. Już całkiem w wieczór przyszedł do naszego wagonu Ukrainiec z Berezowicy, ojca kolega. Był w Tarnopolu i dowiedział się, że już wyjeżdżamy, więc chciał się pożegnać. My z Józią szczęśliwie siedziałyśmy na tych workach, a on, żegnając się razem z ojcem płakali, życzył nam wszystkiego dobrego. Całkiem zapomniałam jak on się nazywał, zawsze do ojca przychodził w Berezowicy, a mieszkał za cerkwią. Jedzenia nie braliśmy dużo, bo mówili nam, że jechać będziemy ze dwa dni. Dostaliśmy w Tarnopolu bochenek chleba i to było nasze jedzenie na całą drogę. A tu zima, pełno śniegu na dachu wagonu towarowego. Na Nowy Rok 1945 rano pociąg ruszył. Jedziemy w nieznaną. W wagonie stał na środku piecyk żelazny (koza), ale nie było czym palić. Pociąg jechał na zachód nad szosą, która szła do Berezowicy. Stałam w drzwiach wagonu i tak sobie myślałam, czy ja jeszcze tam wrócę? Czy już rodzinnych stron nigdy nie zobaczę? I dotychczas nie zobaczyłam.

Do Lwowa zajechaliśmy szybko, a we Lwowie staliśmy na boczniczy w zimie i głodzie kilka dni. Jak wyruszyliśmy ze Lwowa, to w pierwszych i ostatnich wagonach jechało sowieckie wojsko, bo banderowcy napadali na pociąg. Tak nas transportowali aż do polskiej granicy. Nastąpiła odwilż, było trochę cieplej, ale w wagonie nie było się gdzie skryć, bo śnieg topniał, a woda przez szpary w dachu ciekła na nas i nasz marny dobytek. Za Lwowem był duży las, tu zatrzymał się pociąg, my wyskakiwaliśmy z wagonów, żeby zbierać choć trochę drzewa, bo nie było czym palić w kozie. Chleb się skończył, głód, są kartofle choć zmarznęte ale są. Zdobyliśmy garnek i wodę, postawiliśmy na ogniu ziemniaki i cieszymy się, że już będzie co jeść, ale pociąg raptownie ruszył, kartofle się rozleciały po całym wagonie, a my wszyscy w płacz, bo co będziemy jeść. To była dola tułacza.

Po kilku dniach przyjechaliśmy do polskiej granicy. Tutaj przywitani nas Polacy. Wymienili ruble na złotówki, ale ile tych rubli było, jeżeli ojciec dostał 20 zł. Cieszyliśmy się, że już jesteśmy w Polsce. Koło Zamościa jest stacja Zawada, tu pociąg zjechał na bocznicę, lokomotywa odjechała i znów staliśmy kilka dni. Głód, jeść nie mamy co, sytuacja nie do zniesienia. Była tam taka długa wieś, więc pójdziemy, może ktoś da chociaż kawałek chleba. Poszliśmy z Józią i wielu innych ludzi, zeszliliśmy całą wieś i nikt nic nie dał. Nie wiem, czy nie mieli, czy nie chcieli dać. Wróciliśmy do

tych zimnych wagonów i został nam tylko płacz. Paliliśmy na kamiakach przed wagonem ogień i gotowaliśmy zupę czystą i bez soli i czekaliśmy. W nocy przyjechała lokomotywa i jak pociąg ruszył to zatrzymał się dopiero w Krasnymstawie. Było to już chyba w połowie stycznia, ale się ociepliło.

Rano wygruzili nas na rampę i kazali czekać na furmanki. Przyjechała z Krasnegostawu kuchnia polowa, przywieźli kawę i po kawałeczku chleba, ale dawali tylko starym i dzieciom. Ojciec dostał, a my nie, ale podzielił się z nami. Na obiad przywieźli krupnik, a na wieczór znowu kawę i chleb. Już głód był trochę zaspokojony. Na rampie też byliśmy kilka dni, bo nie dawali furmanek. Była koło stacji duża szkoła. Było tam dużo naszych ludzi, poszedł też ojciec z Józią, a ja pilnowałam na rampie dobytku. Pilnowaliśmy ze Stasią Byczkowską i śpiewaliśmy smętne piosenki, bo co było robić. Wydawało się nam, że to już koniec podróży i będzie lepiej. Ale przed nami było jeszcze dużo nędzy. Wreszcie dali nam furmana, aż spod Żmudzi koło Chełma. Włożyliśmy na wóz, ten marny nasz dobytek, a było to w drugiej połowie stycznia pod wieczór. Przywieźli nas do Krasiczyna (około 16 km), w nocy, ciemno. Stąd prowadzali naszych ludzi do Starej Wsi, do Wólki, a nas do Czajek. Zima puściła, straszne błoto, furman źle skręcił, koło wpadło w dołek i wóz się przewrócił. Wszystko znalazło się w błocie, furman nie chce pomagać (może to Ukrainiec?), a my nie dajemy rady. W dali błyszczało światło i ojciec poszedł na to światelko. Przyszło dwóch wysokich mężczyzn i kazali furmanowi jechać (teraz wiem, że to byli Maciaszkowie z Wojciechowa), a on nie chce. Ja w płacz i nic nie pomaga, ale ci mężczyźni dali mi latarkę i pokazali kierunek i ja w tym zimnym błocie szłam, a oni jechali za mną. dojechaliśmy do wsi Czajka, gdzie na krzyżówkach czekali na nas ludzie razem z sołtysem Franciszkiem Żuławskim (dobry człowiek), rozprowadzał furmanki na prawo i na lewo. Nas skierował na lewo, było pod górkę, konie zmęczone nie chcą ciągnąć. Dokąd będzie tej męki, a była to już 11 w nocy. Byliśmy umęczone i schlapane w błocie. Ja sobie pomyślałam, Boże, już niech nas tu wygrużą. I tak się stało, a było to koło domu Krasowskich. Sołtys uprosił Krasowskiego, żeby przyjął nas na noc, a rano może coś znajdzie. Przyjęli nas. Była to stara chałupa, bez podłogi, a domowników czworo w jednej małej izbie. Gospodyni napaliła pod kuchnią, ugotowała nam

zupy, a ludzie biedni. Wojna wszystkich wyniszczyła. Dała do tej zupy masła, zjedliśmy i ogrzali się. Spaliśmy na słomie na ziemi.

Rano przyszedł sołtys i prosi gospodarza, żebyśmy zostali jakiś czas. Ukraińcy nie chcą wyjechać na Ukrainę i nie ma nas gdzie ulokować, bo my polscy wygnańcy mieliśmy być osiedleni na ich gospodarstwach. Zresztą nie wyjechali i siedzą tu do dziś. Po przyjeździe do Czajek na drugi dzień chwycił mróz i spadł duży śnieg. My z Józią siedzieliśmy i płakaliśmy.

Na prośbę ojca gospodyni dała nam do darcia pióra, przędliśmy nici, zajęliśmy się robotą. Ale jak tu żyć, domowników czwórka, nas trójka, małe pomieszczenie jednoizbowe, ani gdzie się umyć, ani prać, a my tyle miesięcy nie rozbierane, brudne, zawszone i do tego świerzb. Chodziłyśmy do Krasnegostawu do opieki i dostawałyśmy szare mydło i litrami roztwór siarki na świerzb. Ja dawałam trochę mąki gospodyni, piekłyśmy w domu chleb. mieliśmy jeszcze owcze mięso i tak żyliśmy, gotując dzień w dzień zupę. Kartofle nam w drodze zmarzły, więc gospodyni wzięła je dla świń, a nam dała dobre. Sołtys przydzielił ojcu jeden litr mleka dziennie. Gospodyni dawała nam to mleko i nie musiała oddawać go dla państwa na obowiązkowe dostawy

Sołtys wyznaczył też furmankę, która przywiozła nam z lasu drzewo. Głodu już nie było. Zimą odleciała mi z buta podeszwa. Gospodarze dali mi skórogumy, a ich zięć zreperował mi buty, był szewcem. Za to odrabialiśmy w różny sposób. Wozłam na przykład do Lublina na handel tytoń. Dużo ludzi handlowało tytoniową krajanką. Na sieczkarni rznąli tytoń. Szyli takie bezrękawki i pikowali w to krajankę. Na te bezrękawki ubierało się ciężkie odzienie, bo tych handlarzy władza ścigała. Uszyto mi ten "surdut" napchano 8 kg tytoniu i wozłam do Lublina. Wszystko za te podeszwy. Jechało nas z 8 osób. Autobusów nie było. Z Krasiczyna pojechaliśmy jakąś ciężarówką. W Lublinie sprzedaliśmy tytoń. Z powrotem te 70 km szliśmy pieszo, bo nic nie jechało, a tu marzec - roztopy. Wróciłam o północy. Tak się odrabiała buty.

Przyszła wiosna 1945 roku, ojciec znalazł pracę na koloni u pani Adamskiej, wdowy posiadającej duże gospodarstwo i dwoje dzieci. Obrządział inwentarz, pasał bydło, rąbał drzewo, wykonywał prace w miarę swoich sił za... jedzenie. Na przednówku było źle z jedzeniem, bo mąka z Berezowicy się skończyła, a jeść się chciało codziennie.



Tutejsze dziewczęta, sąsiadki też bardzo biedne, namówiły nas, aby w nocy iść na dworskie pole, gdzie była sterta rzepaku, a właściciel uciekł. Mówią, nabijemy rzepakowego oleju i będzie co jeść. Nie bardzo na to się godziliśmy, bo to grzech kraść. Ale dałyśmy się przekonać, dołączyła do nas kuzynka Marysia Jaworska i dwójka sąsiadów. Wzięliśmy worki i długie kije do młocki. Rzepak był suchy, więc namłóciliśmy go dużo i nikt nas nie widział. Wróciliśmy późną nocą. Gospodarz z ojcem pojechali do Surchowa, nabili oleju i już był tłuszcz. Najgorzej, że z tej kradzieży trzeba się wypowiadać, co ksiądz powie? Kuzynka Marysia poszła do spowiedzi wcześniej i powiedziała nam, nie bójcie się, bo ksiądz powiedział, że za to grzechu nie ma, gdyż jest to niczyje i, że przeznaczone na jedzenie, a nie na handel. Odetchnęliśmy z ulga.

Z Maryską Pryški (dziś Górczyńska) łowiłyśmy w jeziorze takie małe rybki karasie, ciągnęłyśmy kabłąk i siatkę z brzegu na brzeg, a tato zbierał te rybki do wiadra. Z tych rybek smażyłyśmy na kradzionym oleju kotleciki. Rybki szły na maszynkę razem z cebulką, sól i chlebek i już nie było głodu. Gotowałam też z tych rybek zupę omaszczoną olejem. Tato to bardzo lubił.

Chyba był już czerwiec, wojna się skończyła, od Bronka nie było wiadomości, a o Tobie Wojtek Dzygała, który wrócił z frontu powiedział, że był razem z Tobą i widział, że jesteście zabity. Była niedziela, jak pod nasz dom podjechała furmanka i wyskoczył z niej fajny żołnierz. To byłeś Ty. Ojciec omal nie zemdłał, my nie posiadałyśmy się z radości i pamiętam, że częstowaliśmy takiego gościa barszczem- botwinką i czarnym chlebem razowym. Pod domem zebrało się wiele ludzi, bo przywiozłeś patefon z niemieckimi płytami. W jednej z nich było: "kajne, majne szuh". Byłeś ranny i dostałeś urlop, ale nie długo byłeś na tym urlopie.

Ojciec z gospodarzem Krasowskim pojechali do Krasnegostawu po oficera, który miał w Czajkach kwaterować. Patrzymy, a tu wchodzi Bronek, krzyk, radość, ale też długo nie był i gospodarz odwiózł go do Żmudzi, do naszych krewnych Ziółkowskich, których osiedlono w Klesztowie k. Żmudzi, pow. Chełm.

Olej się skończył, a my obie chodziłyśmy do ludzi na pielęgnię i to tylko za jedzenie. Nikt tu za robotę nie płacił. Ojciec dalej pracował u p. Adamskiej. Przed żniwami wyjechał na zachód IwoWiak, który był osiedlony na poukraińskim gospodarstwie. Przydzielono je nam. Podziękowaliśmy państwu Krasowskim za ich

dobroć i przenieśliśmy się do swojej chałupy. Wreszcie po pół roku byliśmy sami. Ten Ukrainiec nie posiał zboża, więc sołtys przydzielił nam od innego Ukraińca kawałek żyta i pszenicy, więc w dalszym ciągu żęłyśmy sierpami to zboże.

Poznałam wtedy Edka Gradowskiego, starszego o trzy lata. Dobry był chłopak, tutejszy, jednak, mieli średnie gospodarstwo. Pomagał nam we wszystkim, woził snopy, pożyczył cepy, którymi z Józia młóciłyśmy zboże, pożyczył młynka (wialnię), woził drzewo z lasu na opał. Jeszcze wówczas nie wiedzieliśmy, że zostanie moim mężem. Chodziłyśmy do Gradowskich z Józia do młocki maszyną. Jesienią chodziłyśmy kopać ziemniaki. Ciągłe był jeszcze u nas głód i niedostatek, choć Edek nam bardzo pomagał, bo były takie dni, że nie było nic do jedzenia.

Wyście wyjechali w grudniu 1945 r. w Poznańskie, a ja wyszłam za męża za Edka. Po dwóch latach urodził się nam syn Ryszard. Skończył średnią szkołę mechanizacji rolnictwa. Ożenił się aż w Bełżycach, ma syna Adama, który w Lublinie skończył studia i córkę Annę, która też w Lublinie studiuje medycynę. A my tu w Czajkach jesteśmy na rolniczej emeryturze."

Tyle siostra Adela.

Ja po powrocie z frontu otrzymałam poniemieckie gospodarstwo rolne w Sośnicy gmina Dobrzyca, pow. Krotoszyn. Ściągnąłem ojca z siostrą Józia i brata Bronka. Pracując razem z nimi w gospodarstwie, pełniłem funkcję Gminnego Komendanta Przystosowania Rolniczego i Wojskowego w Dobrzycach. Skierowano mnie do Poznania, gdzie skończyłem 7 klas, średnią szkołę i studia rolnicze na Uniwersytecie Poznańskim, a następnie Wydział Inżynieryjno- Ekonomiczny w Szkole Głównej Gospodarstwa Wiejskiego w Warszawie. I tu zostałem. Ożeniłem się z Anną Winicką – lekarką, mamy córkę Jolantę, która wyszła za męża za Tomasza Dąbrowskiego – prawnika, oraz wnuka Miłosza.

Ojciec zmarł w Sośnicy w październiku 1954 r., siostra Józia została w Sośnicy na gospodarstwie. Wyszła za męża za tutejszego Witolda Ciesielczyka. Ich córka Grażyna skończyła wyższe studia pedagogiczne. Wyszła za męża za Janusza Chrobotę, mają dwójkę dzieci Małgosię i Sławka.

Brat Bronek skończył technikum rolnicze w Słupsku, kurs dyrektorów PGR w Bożkowie i praktykę rolniczą w Czechosłowacji. Był ponad 30 lat dyrektorem PGR w Zalesiu k. Złotowa. Ożenił się

z Genią, też dyrektorem PGR, wychowali trzech synów. Janusz jest inżynierem, ożenił się z lekarką Ewą, mają córkę Karolinę. Piotr skończył studia w Poznaniu, jest lekarzem dentystą. Ożenił się i ma jedno dziecko. Tadeusz studiował w Szczecinie Rybołówstwo Dalekomorskie, ale przerwał studia i został biznesmenem. Ożenił się i ma syna Kubę. Zmarł w 1991 r. pochowany w Złotowie.

Oto los tylko jednej, polskiej, rodziny chłopskiej wyrzuconej za burtę z pięknej, bogatej i żyznej Ziemi Podolskiej.

A ile takich lub podobnych rodzin było?

*Danuta Szychulska-Skowron  
Podkowa Leśna*

## Moje wspomnienie o wysiedleniu z Tarnopola

Postawiono przed nami, a właściwie przed naszą matką, gdyż ja z bratem Januszem byliśmy nieletni, alternatywę: albo przyjmujemy paszport sowiecki, albo wyjeżdżamy na zachód.

Nasza matka (ojciec był w oflagu) długo zwlekała, ale jak w maju 1946 roku wyjeżdżała nasza parafia, to zdecydowała się na wyjazd. Dostaliśmy tzw. Kartę repatriacyjną, ale już w samej nazwie było zakłamanie. Przecież my nie powracaliśmy do ojczyzny, tylko ją musieliśmy opuścić. Tu w Tarnopolu od zawsze była moja ojczyzna, tu rosłam i uczyłam się, tu przeżyłam straszną wojnę i zburzenie Tarnopola, tu żyli moi dziadowie, wreszcie tu były groby moich przodków.

Ale wracając do rzeczy. Pod koniec kwietnia zapowiedziano, że niebawem będzie nasz transport. Nie wolno nam było brać żadnych mebli tylko rzeczy osobiste i pościel. Przy pomocy sąsiadów Ukraińców przywieźliśmy nasz skromny dobytek na rampę kolejową. Nie wiedzieliśmy, kiedy zostaną podstawione wagony. W takiej sytuacji jak my, było wielu innych, więc dyżurowaliśmy na zmianę dzień i noc. Wreszcie 2 maja podstawiono wagony, na szczęście kryte. Ładowaliśmy się do nich, chyba po osiem rodzin.

Z nami w jednym wagonie jechał ks. Chabło z rodziną, innych nie pamiętam.

Podróż trwała bardzo długo, często transport stawał w polu, wtedy ludzie wyskakiwali z wagonów, żeby rozprostować nogi i coś ugotować na improwizowanych kuchenkach (dwie cegły i jakaś blacha, pod którą rozpalano małe ognisko). Często nie zdążono nic ugotować, bo lokomotywa gwizdnęła i trzeba było w pośpiechu wsiadać. Ale jeszcze częściej postój przedłużał się, zwłaszcza w nocy, wtedy ktoś z transportu chodził od wagonu do wagonu i zbierał datki "na paliwo". Nie pamiętam po ilu dniach przekroczyliśmy granicę i znaleźliśmy się w Przemyślu.

Na granicy mieliśmy incydent. "Soldat" kazał nam otworzyć skrzynię z książkami. Mój brat na wierzchu umieścił czasopismo "Świat", w którym na ostatniej stronie była jakaś mapa i "bojec" powiedział gromko – "nie!zia" i kazał zostawić skrzynię, była tam między innymi nasza klasyka w pięknych wydaniach.

Po przybyciu do Przemyśla przeżyliśmy szok. Była to niedziela, ludzie pięknie ubrani, maszerują harcerze i wojsko, wszyscy mówią po polsku. Wszędzie polskie napisy, wystawy sklepów pękającą od różnorodności towarów, czego nie widzieliśmy od dawna.

Nasz transport jechał dalej, po drodze ludzi ubywało. Zdążyliśmy do Wrocławia, po drodze zatrzymaliśmy się w Oleśnicy, która spodobała się mojej Mamusi i tam zostaliśmy. Był to już 6 czerwiec 1946 r.

*Jerzy Stopa  
Warszawa*

## Ekspatriacja z Tarnopola

Po moim niefortunnym spotkaniu oko w oko z banderowcem, który przybył do młyna w Kozówce, pow. tarnopolski (gdzie wówczas pracowałem) by zrabować pasy skórzane, powróciłem do Borek Wielkich; tam mieszkałem z rodzicami po wygnaniu nas z Tarnopola w 1940 r. (tzw. 14 § sowieckiego kk.). Banderowcy nie zważali na to, że rabując pasy we młynie uniemożliwiają przemiał

zbóż swoim przede wszystkim pobratymcom zamieszkującym w przeważającej ilości tę wieś i wsie okoliczne.

Do Borek W. wróciłem w połowie stycznia 1945 r. Niedługo zatrudniłem się u Rejonowego Pełnomocnika Polskiego Komitetu Wyzwolenia Narodowego do spraw Ewakuacji w Tarnopolu. Miejscem pracy były Borki Wielkie. Stronę rosyjską reprezentowała niewiasta, której nazwiska nie pamiętam. Powodem dla którego podjąłem się tej pracy było na wszelki wypadek zapewnienie sobie otrzymania tzw. karty ewakuacyjnej.

W czasie okupacji nasza rodzina zmniejszyła się o dwie osoby: prababka Michalina Bobrowicz z d. Okińczyc zmarła w 1943 r. w wieku ponad 100 lat, a siostra Krystyna została zmobilizowana w 1944 r. do wojska do Sum.

Kartę ewakuacyjną otrzymaliśmy, mając nadzieję na szybkie opuszczenie tych jakże niebezpiecznych stron. Ale nie tak prosto to się stało.

Pewnego dnia kierowniczka strony rosyjskiej poprosiła, by przynieść kartę ewakuacyjną do sprawdzenia nieścisłości. Prawda była inna. To NKWD zażądało odebrania nam tej karty, by wyjaśnić podejrzenia, jakie mieli do ojca.

Aby tę sprawę wyjaśnić cofnę się nieco wstecz. W czasie pierwszej okupacji sowieckiej przybył wraz z sowieckim personelem okupacyjnym do sąsiedniej wsi Stupki inżynier elektryk o nazwisku Adaś. W międzyczasie ożenił się z miejscową Ukrainką, urodziło mu się dziecko. Gdy w 1941 r. trzeba było wracać ze swoimi do Rosji, tak długo zastanawiał się co ma zrobić, miał przecież żonę i dziecko, że w końcu było już za późno.

W czasie okupacji niemieckiej nie przyznawał się do swego pochodzenia, był zatrudniony jako elektryk w niemieckiej firmie Organizacji Todt'a (Beton u. Monierbau AG Beuthen O/S), która budowała drugi tor kolejowy do Podwołoczysk. Firma miała siedzibę w Borkach Wielkich. W niej pracował mój ojciec w tzw. rachubie.

Adaś jak i mój ojciec posiadali aparaty fotograficzne, którymi chcieli się zamienić, więc przekazali je sobie do wypróbowania. Pech chciał, że aparat Adasia miał ochotę zabrać jeden z brygadystów firmy (podobno Ślązak). Więc doniósł do gestapo, że niejaki Adaś jest szpiegiem i ma aparat fotograficzny. Myślał, że podczas rewizji uda mu się ten aparat zarekwirować. Gestapo przyje-

chało do firmy i wezwano Adasia do kancelarii firmy. Były tam co najmniej dwa pokoje; w jednym pracowali miejscowi rachmistrze (obliczali zarobki najemnym pracownikom) a drugi był pokojem "Nur für Deutsche".

Gdy Adaś zjawił się we drzwiach pokoju rachmistrzów zobaczył ojca i zapytał: *Łagier?* Ojciec, jako żołnierz I wojny światowej (służył w wojsku austriackim we Włoszech nad Piawą) - dobrze znał niemiecki. Orientował się o czym Niemcy w sąsiednim pokoju dyskutują. Więc skinął Adasiowi potakując tylko powiekami. Ten, nie wchodząc dalej wycofał się na korytarz, tam błyskawicznie przedostał się na strych parterowego budynku, zeskoczył na ziemię a przy okazji skręcił sobie nogę.

Po jakimś czasie zaniepokojeni Niemcy zaczęli pytać o Adasia. Miejscowi pracownicy pokrętnie odpowiadali, że jest, że był, gdzieś tu powinien być itp. Wówczas Niemcy chwycili karabiny i wypadli go szukać. Mimo potwornego bólu Adaś gdzieś się zaszył – nie znaleźli go. Po kilku tygodniach noga coraz bardziej mu dokuczwała; nie mogąc znaleźć odpowiedniej pomocy lekarskiej postanowił pojechać do Tarnopola do szpitala. Na stacji kolejowej w Borkach W. został rozpoznany przez ukraińskiego policjanta, aresztowany i przekazany do gestapo w Tarnopolu.

W toku śledztwa pytano go dlaczego uciekał, skoro nie był winnym i nic mu nie groziło. I to było niestety prawdą, czego nie można powiedzieć o śledztwie sowieckim. Tu bowiem obowiązywała zasada: "dajcie mi człowieka a ja mu paragraf znajdę". Adaś odpowiedział, że bał się śmierci w obozie koncentracyjnym. To nie wyjaśniało wątpliwości gestapo więc pytano, dlaczego miałby zginąć w obozie? Adaś odpowiedział, że kierownik firmy (Bauleiter) wysłała żonę do Berlina złoto w puszkach po konserwach, które on musiał przedtem zalutowywać, co wzbudziło jego podejrzenie i jest przyczyną obecnych kłopotów. Gestapo "aresztowało" na poczcie w Borkach W. paczki adresowane do żony Bauleitera i na wszelki przypadek dokonało i u nas w domu rewizji, przeglądając dokładnie wszystkie filmy znalezione u ojca. Gdy wszystko się wyjaśniło powiedziano Adasiowi, że w tej sytuacji miał prawo oczekiwać obozu. (Niemcy w czasie wojny zobowiązani byli oddawać posiadane złoto na skarb państwa). Wobec braku zarzutów Adaś został zwolniony, a ponieważ w wyniku tych okoliczności ma uszkodzoną

nogę, gestapo wystawiło mu skierowanie do szpitala i to był "gwóźdź do jego trumny".

Gdy w Borkach W. znowu znaleźli się Sowieci – NKWD aresztowało Adasia. Bronił się jak mógł. Przywołał na świadka mego ojca, który dopomógł mu uniknąć pewnej śmierci w obozie koncentracyjnym. A więc jest też współnik! (którym stał się mój ojciec). Dlatego odebrano nam kartę ewakuacyjną. Wzywano ojca kilka razy na przesłuchanie do NKWD. Widocznie zeznania ojca i Adasia były zgodne tak dalece, że nawet NKWD nie znalazło możliwości przyczepienia się do ojca. Ojciec był tylko przypadkowo w to zamieszany, pomógł obywatelowi sowieckiemu - więc go zwolniono od zarzutów. Natomiast Adaś moim zdaniem, nie wytłumaczył się nigdy. - Nie wrócił do "raju" w 1941 r. i leczony był na koszt gestapo. Co się z nim stało nie wiemy, ale przypuszczenia są jednoznaczne.

Dla nas okres wyczekiwania na zwrot zatrzymanej karty ewakuacyjnej był bardzo denerwujący. Mogliśmy wyjechać zarówno na wschód, jak i na zachód. Dlatego po zwrocie karty, zaraz w tym samym dniu uciekliśmy do Tarnopola, gdzie skryliśmy się u znajomej rodziców – p. Mili, (pracowała z matką w Borkach W. na poczcie). Fakt ten okazał się wielkim szczęściem dla mnie na całe prawie życie. Tam spotkałem moją przyszłą żonę, z którą spędziłem w szczęściu dokładnie pół wieku i pół roku.

Po aresztowaniu w Czortkowie mego teścia za działalność w AK, jego żona z córką i synem skryła się przed aresztowaniem również u p. Mili gdzie właśnie spotkaliśmy się.

12 maja 1945 r. przenieśliśmy się na rampę stacji kolejowej. Następnego dnia załadowaliśmy się wraz z innymi rodzinami do otwartej węglarki. Pół godziny po północy pociąg ruszył w kierunku Lwowa. 14-tego byliśmy w Medyce, a 15-tego w Bytomiu, gdzie wyładowaliśmy się ponieważ ojciec spotkał tu swego znajomego, którego w styczniu 1940 r. uprzedził o możliwości wywiezienia go na Sybir. Podróż trwała zaledwie trzy doby i nie była uciążliwą. Było ciepło i pogodnie, raz tylko popadał lekki deszcz. Rozmyślenia, co będzie z nami w tej podróży w nieznane, wyciszyły wszelkie niedogodności. Dla mnie jedyną niedogodnością były kłopoty z paleniem papierosów. Oficjalnie nie miałem na to zgody rodziców, a oni udawali, że nie widzą; mnie się wydawało, że palę nie zauważony i jakoś te trzy doby minęły.

Gorszą sytuację miała teściowa i jej dzieci, ponieważ pod swoim nazwiskiem nie mogła przekroczyć granicy a śledztwo męża dopiero się zaczęło. (Załączam kopię zaświadczenia o pracy w Komisji do spraw ewakuacji mego teścia A. Pronkiewicza, który zamordowany został w sowieckich łagrach po 8 latach katorżniczej pracy w kopalniach złota w Karelo-Fińskiej Republice w okolicach Miedwieżegorska). Udała się więc autostopem (tzn. wojskowymi pojazdami za pół litra) do Lwowa a tam AK-owcy pomogli jej uzyskać, za odpowiednią opłatą, kartę ewakuacyjną na inne nazwisko (kopia poniżej).

Przyjechała do Polski nieco później od nas. Przed rozstaniem ustaliliśmy, że nawiążemy kontakt przez ich rodzinę mieszkającą stale w Radomsku.

Tak opuściłem rodzinne strony na zawsze.

## W popłochu na Zachód<sup>3</sup>

U początków roku 1946 w gruzach Tarnopola gnieździły się już tylko resztki Polaków. Podobna sytuacja była wszędzie. Ludność polska w popłochu uciekała z tych ziem przed gwałtem władzy radzieckiej, która postanowiła całkowicie oczyścić je z elementu polskiego. Za każdą cenę. To było postanowione, zdecydowane i wykonywane z całą radziecką bezwzględnością, dla której wszystkie środki są dopuszczalne. Kto z Polaków chciał żyć – musiał uchodzić. Innego wyjścia nie było.

Musiał uchodzić, bo do ucieczki dla ratowania życia gnaly go te potworne, niesamowite, straszne, piekielne rzezie ludności polskiej. Kto nie żył w tamtych czasach na Kresach Wschodnich, nigdy nie pojmie i nie wyobrazi sobie tej grozy życia, jaka tam była, zwłaszcza po wioskach. Każdego dnia płonęły ogniem pożarów polskie wsie, a ziemia broczyła strugami polskiej męczeńskiej krwi. Najgroźniejsze były lata 1944 i 1945. wtedy każdego dnia, powtarzam: każdego dnia – krzyczę głośno, aby słyszał cały świat – każdego dnia mordowano Polaków. Więc w niepojętym popłochu uciekano na Zachód. Życie jest największą ludzką wartością.

Tak uciekano w roku 1944. U początku roku 1946 zbrodnia akcja wyrwania korzeni polskich na tych ziemiach gwałtami i zbrodnią była już prawie ukończona.

Były usiłowania ze strony najbardziej patriotycznej części społeczeństwa, aby położyć tamę tej panicznej ucieczce na Zachód. Grozie wydarzeń i strumieniom krwi usiłowano przeciwstawić argumenty patriotyczne. Mam przed oczyma powielaczową ulotkę z końca roku 1943, kiedy to jeszcze akcja wywożenia Polaków nie nabrała pełni swego rozwoju. Kierownictwo "Samobrony" w województwie tarnopolskim apeluje do Polaków, by nie poddawali się panice uciekania przed nożami, siekierami i bronią automatyczną

zbrodniarzy z pod znaku Bandery. Przytaczam dosłownie wycinki z tej powielaczowej ulotki:

"Cóż może być wygodniejszego dla naszych wrogów? Każdy Polak powinien pamiętać, że nie jest sam, że jest członkiem narodu, którego zaszczytną misją od stuleci jest obrona Europy przed dziczą i rolę tę spełnić winien także teraz, w okresie szczególnie trudnym.

Za cenę ofiar nawet nie wolno nam porzucać rodzinnej ziemi. Nie idzie tu o każdego Polaka z osobna, a o polski stan posiadania na ziemiach wschodnich. Musimy tkwić tu jak drzewo i nie dać się stąd wyrwać.

(...)Polacy, nie dajcie się zastraszyć. Pamiętajcie, że wasza ucieczka pogarsza sytuację tych, którzy zostają. Musicie zostać i bronić tej ziemi przed wrogiem(...)".

Tego rodzaju apele, siła ich przekonania była zbyt słaba w zestawieniu z grozą życia i strumieniami krwi, wytaczanej każdego dnia z żywego ciała narodu. Nie było siły, która mogła przeciwstawić się grozie tych dni. Ucieczka Polaków w tych czasach i w tej sytuacji była nieodwracalna. Więc szły transporty na Zachód. To przesiedlanie kilku milionów Polaków odbywało się w warunkach potwornych. Można by je zestawić z wywożeniem kilku milionów sztuk bydła. Brak wagonów do przewożenia. Długie czekanie na transport na stacjach kolejowych nawet w miesiącach zimowych pod szałasami. Długie wleczenie się wagonów i postoje przez całe dni na różnych bocznicach kolejowych. Nieludzka udręka chorych i starców, matek z małymi dziećmi i umierającymi po drodze z wyniszczenia, niewygód i chorób. To wszystko jest osobnym rozdziałem wyniszczania narodu polskiego przez piekielny Kraj Rad.

W Tarnopolu dla księży nie istniał problem: zostać czy wyjechać. My musieliśmy wyjechać. Nie było miasta, bo zostało zabite. Nie mieliśmy parafian, bo wyjechali i uciekli przerażeni grozą wciąż trwających rzezi. Trwaliśmy w Tarnopolu prawie o jeden rok dłużej, niż w innych parafiach, bo do Tarnopola wciąż przyjeżdżali nowi ludzie z różnych miejscowości, w których repatriacja była zakończona. Mogli dojechać do miasta wojewódzkiego, gdzie organizowano jeszcze dodatkowe transporty.

Nasza obecna parafia to ci koczujący na stacji. Zmęczeni do ostatnich granic, żyjący wśród zwalów skrzyń i tobołków, wśród ryku bydła, które zabrali ze sobą, - o ile nie uciekali bezpośrednio

<sup>3</sup> Fragment z książki: "Kronikarskie zapiski z lat cierpień i grozy w Małopolsce Wschodniej", Kraków 1996. Skrót w opracowaniu redakcji.

od noża bandyty i płonącego domostwa – żyjący w stanie lęku, przerażenia, grozy i rozpacz.

My księża trwaliśmy z tymi biednymi ludźmi i dla nich, by się nie czuli tak bezgranicznie opuszczeni przez wszystkich i skazani na jakąś bliżej nieokreśloną, a przecież bardzo groźną i niepewną przyszłość...

Do naszego wyjazdu przygotowaliśmy się dość długo. To nie taka prosta rzecz likwidować parafię. Z ks. Stasiem (Małczyńskim) robiliśmy paki na rzeczy kościelne. Było tego sporo. Parafia była duża i prężna. Żeby zabrać jak najwięcej rzeczy rozmieszczyliśmy je do różnych transportów. Nasi parafianie zabierali je częściami i ze swoimi rzeczami wywozili na Zachód. Tam dawali do przechowania różnym parafiom w Bytomiu, Katowicach czy innych miejscowościach.

Zaplanowaliśmy wyjazd z Tarnopola ostatnim transportem. Już jutro to jest 23 maja 1946 roku wyjeżdżamy. Jest już transport. Długi skład wagonów czeka na stacji. Paskudne i obskurne są te wagony. Krytych i zamkniętych jest mało, najwięcej otwartych, które normalnie służą do wożenia węgla, kamieni, czy cegły do budowy domów. Trud przygotowania parafii do wyjazdu spadł na księży wikarych, to jest na ks. Stasia Małczyńskiego i na mnie. Bardzo skomplikowana sprawa owo przygotowanie do wywozu i likwidowanie agend parafialnych z tą przerażającą świadomością, że tu się wszystko kończy, że trzeba będzie zabrać najwartościowsze rzeczy z kościoła i jechać na ślepo przed siebie. Trochę pociesza nas myśl, że w Tarnopolu zostanie jeszcze jeden kapłan i garstka ludzi, którzy nie chcą jechać i zostają mimo strasznej rzeczywistości tarnopolskiej: miasto w ruinie, kościół roztrzaskany znacznie, tak, że go niedługo całkiem rozbiorą, bo przecież nikt z zostających Polaków nie będzie go remontował.

Dziś pod wieczór mamy wyjechać. To ostatni dzień naszego pobytu w tym mieście i na tej ziemi. Ostatnia Msza św. w naszym kościele. I mówią nam, że wyjeżdżamy na zawsze, że Polska już nigdy tutaj nie wróci. Zostawiamy to Bogu i Jego rządzeniom. My tu już teraz nie mamy nic do powiedzenia. Jest jak jest. Wyrzucają nas gwałtem, przemocą i rzeziami.

Przed wyjazdem jeszcze wiele pracy do wykonania. W zasadzie jesteście już załadowani, wiele rzeczy kościelnych wywieźli nasi ludzie w poprzednich transportach. Na dziś do załadowania

została jeszcze piękna marmurowa figura Matki Bożej naturalnej wielkości i wielki marmurowy krzyż z Chrystusem z rozpiętymi szeroko ramionami na grubej belce. Zbyt cenne to przedmioty, aby je zostawić na pastwę losu i zniszczenia. Nie było to łatwe i namęczyliśmy się z tym ogromnie. Chcieliśmy zabrać ze sobą jeszcze stacje drogi krzyżowej, czternaście pięknych, artystycznie wykonanych obrazów. Obrazy były wielkie, a wagonach mało miejsca. Z prawdziwym bólem serca zostawiliśmy je na pewne zniszczenie.

Wyjechaliśmy z Tarnopola nie 23 maja, ale już 24 maja, bo w nocy o godz. 4<sup>30</sup>. Jest nam ciężko na sercu. Żal nam tych ziem. Żal nam tych dziejów. Żal nam tej krwi, która wsiąkła w tę ziemię. Wszystkiego nam żal. Ale losy nasze i naszego narodu są w ręku Boga. Modlę się: "Boże, nie opuszczaj nas. Nie opuszczaj Polski".

Tułacza droga na Zachód wiedzie przez mój Złoczów. Moje serce rozkrwawia się ogromnym bólem. Tam, niedaleko stacji kolejowej jest cmentarz, a na nim wielka zbiorowa mogiła bestialsko pomordowanych kilkuset więźniów. W tej męczeńskiej mogile zmasakrowane ciało mego Ojca...

Żegnaj Ojczy, przez wszystkie dni mego życia będę o Tobie pamiętał i nie zapomnę Twego męczeństwa. Żegnaj, każdego dnia moja modlitwa będzie przy tej zbiorowej mogile...

Żegnaj i ty, Złoczowie, miasto mojej młodości i mojego życia...

Dojeżdżamy do Lwowa... Tu studia uniwersyteckie, tu święcenia kapłańskie. Tu cmentarz Obrońców Lwowa. Lwów zawsze wierny. Zawsze bohaterski, stary, kresowy, polski... A teraz go żegnamy. Jest bezbrzeżnie smutno...

Na stacji ładunkowej masy ludzkie wygnańców. Czekają na wagony. Tysiące paczek, skrzyń, tobołów, ryk bydła, wrzawa i krzyki. Nad wszystkim potworna groza życia i niepewności ludzkiego jutra.

Żegnamy cię Lwowie. Bądź jednak pewny: nie zapomnimy ciebie.

Nie zapomnimy nigdy!

Jadwiga Kowalska  
Warszawa

## Pamiętny św. Mikołaj (fragment)

Rankiem 6 grudnia 1945 roku najmłodszy brat Mamusi – Zbyszek przybiegł do domu (po nocnym dyżurze na rampie kolejowej) z okrzykiem: “Wanda są wagony!” Cieszymy się i płacemy jednocześnie. Cieszymy się, że skończyła się 6-cio tygodniowa udręka oczekiwania na wyjazd do Polski, ale smutek bezmierny czaił się w oczach dziadków, że trzeba opuścić swój dom, swoje gospodarstwo, dobytek całego życia.

Na zachodzie przebywała już cała nasza rodzina. Dziadek do ostatnich chwil nie chciał z domu wyjeżdżać, ale gdy przewodniczący “silrady” powiedział Mu, że nie może zapewnić bezpieczeństwa, Dziadek zdecydował się na wyjazd nie chcąc brać odpowiedzialności za życie dzieci i wnuczki. (Przebywałam wówczas z rodzicami u Dziadków).

Dla nas oczekiwanie na transport nie było bardzo ciężkie, mimo dużych mrozów, ponieważ mieszkaliśmy na stacji kolejowej. I chociaż do domu Dziadków wprowadzili się już Ukraińcy spod Przemyśla, mieszkaliśmy razem z nimi, aż do momentu wyjścia z domu do wagonu.

A co przeżywali i przecierpieli ludzie, których domy były odległe od stacji kolejowej o kilka, częściej kilkanaście kilometrów? I często nie mieli już wstępu do własnego domu. Koczowali po 6 tygodni na mrozie w zbudowanych prowizorycznie “budach”, warując, żeby ktoś nie podpalił czy nie ukradł ich ostatniego dobytku zwiezonego już na stację. A zdarzało się to nie rzadko.

Otrzymaliśmy dla siebie cały wagon, co było luksusem, gdyż wyjeżdżaliśmy z Maksymówki jako dwie rodziny. Był to już ostatni transport z tej stacji kolejowej.

Jechaliśmy wyjątkowo szybko. Widać św. Mikołaj opiekował się nami przez całą drogę, ponieważ już 12 grudnia byliśmy w Mikulczycach, gdzie znajdował się duży punkt Państwowego Urzędu Repatriacyjnego (PUR). Tam odczepiono nasz wagon ze składu pociągu i wyładowaliśmy się do baraku; reszta wysiedlonych poje-

chała dalej. W Bytomiu mieszkała już moja starsza siostra, więc pojechaliśmy z rodzicami do niej, a dziadkowie do Biskupic k. Zabrza. Zatrzymaliśmy się bliżej polskiej granicy sprzed wojny, aby szybciej móc wrócić do domu. Wszak mieszkaliśmy tu tylko tymczasowo – dwa, trzy lata najwyżej – jak myślała większość. Dziadek przed wyjazdem z domu zakopał nawet w stodole zboże (byśmy mieli, co jeść, gdy wrócimy) oraz niektóre narzędzia rolnicze. Gospodarstwo zaś na piśmie przekazał gospodarzowi Ukraińcowi z prośbą, by wszystkiego dopilnował. A gdy wrócimy to... (Dzięki temu pismu nie odebrali mu sowioci w 1945 r tego gospodarstwa, jak mówiła mi córka tego pana).

Ja jeżdżę często, odwiedzam Tarnopol i Zbaraż, a to już tylko 12 km do Maksymówki. Z gospodarstwa dziadków pozostała tylko piwnica i studnia, oraz niektóre drzewa owocowe. Dom jest nowy. Zachowała się jeszcze pochylona jabłoń, na której huśtaliśmy się. Kościół i cmentarz giną w Maksymówce śmiercią naturalną. W kościele rosną krzewy czarnego bzu. A przecież tak niedawno – zdaje się – w tym kościele Ludka Husakówna pięknie śpiewała w czasie okupacji kolędy na pastercie, przy akompaniamencie organisty p. Stasia Ciastonia.

Zakończenie jednej z nich brzmiało:

*Ciebie Panie błaga  
Naród Twój znękany,  
Zakończ wojnę,  
A nam daj pokój pożądaný. Amen.*

Anna Popiel - Majchrzak  
Warszawa

### Tak wyjeżdżaliśmy

Boże! Tu wszyscy mówią po polsku! Uczucie radości było wprost oszałamiające, gdy po tylu latach okupacji przejechaliśmy granicę w Przemyślu.

Dotąd słyszało się tylko ukraiński i rosyjski język. Przyjechaliśmy więc do Polski!

Jechaliśmy ponad dwa tygodnie w odkrytym wagonie, w deszczu i "dzyndrze" okutani w co się dało, bo zimno było okropnie.

W naszym wagonie jechało 7 osób dorosłych i dwoje dzieci (poza mną mój brat Romek z żoną Zdzichą i dwójką dzieci - Ewą i Tereską, kuzynka Latuskowa z synem Julkiem i p. Bilińska z córką Urszulą), 3 konie, krowa, świnka i trochę drobiu w kojcu, to inwentarz żywy. Było sporo słomy, siana, różnych worków i pak z żywnością. Wszystko to było pozakrywane od deszczu jakimiś płachtami i kapami. Ale deszcz padał cały czas równomiernie i wszystko przemakało. Był to jesienna październikowa słońca 1945 r.

Wcale nie chciałam opuszczać Maksymówki i jechać w nieznaną do Polski. Jeszcze wiele polskich rodzin pozostawało w Maksymówce licząc, że coś się zmieni i nie trzeba będzie wyjeżdżać. Ale tak się złożyło, że przyjechał z Tarnopola brat Romek z żoną i dwiema małymi córeczkami. Brat przedstawiając nam sytuację w jakiej się znaleźliśmy namówił nas do wyjazdu. Listownie zachęcała nas do jak najszybszego przyjazdu także cała reszta mojego rodzeństwa i rodzina bratowej, którzy już byli w Polsce. Brat Norek urządził się w Tarnowie. Właśnie w tym czasie urodził mu się pierwszy syn Adaś. Siostra Matylda była już u rodziny męża w Mielcu. Reszta rodziny urządziła się w Bytomiu i Zabrze. Bratowa Helena z córkami czasowo zatrzymała się w Jarosławiu u swojej siostry, czekając na męża, który miał być zwolniony z wojska po wyjściu ze szpitala wojskowego. Następnie osiedlili się w Morażu gdzie pracowali w szkole. Brat Dyziek - weterynarz zadomowił się we Wrocławiu, ale pracował w rzeźni w Zabrze

Nie obiecywali jakichś nadzwyczajnych warunków życia, ale zwracali głównie uwagę na to, że pobyt w Polsce będzie dla nas

bezpieczniejszy. Po wyrażeniu zgody przez władzę na nasz wyjazd, czekaliśmy długo na transport. W końcu przyszło zawiadomienie, że są podstawione wagony na stacji w Maksymówce i trzeba się szybko załadować. Wyjazd nastąpił w ostatniej dekadzie września. Do granicy w Przemyślu dojechaliśmy po sześciu dniach z licznymi postojami po drodze, głównie aby zrobić zbiórkę pieniędzy dla maszynisty żeby chciał jechać dalej. Był to Ukrainiec, który stale groził, że odczepi lokomotywę i wróci do Tarnopola.

Po przekroczeniu granicy, pobieżnej rewizji i zmianie lokomotywy transport dość szybko dotarł do Tarnowa, gdzie jadące z nami p. Bilińska z córką, które jechały do syna i brata Aleksandra przebywającego we Wrocławiu wysiadły, aby przesiąść się na inny transport.

Zważając na niekończącą się jazdę naszego transportu i zapowiedziany trzydniowy postój w Tarnowie, postanowiłam zostawić wszystko na "głowie" brata, a samej "skoczyć" do Mielca, do siostry Matyldy, której nie widziałam już kilka lat. W tym czasie urodził się jej drugi syn, który teraz miał już ponad 2 lata, a którego nigdy nie widziałam. Zrobiłam więc sobie "przerwę w podróży" i wzięwszy trochę żywności pojechałam tam po raz pierwszy w życiu. Zobaczyła stojącego w oknie małego chłopczyka. Domyśliłam się, że to pewnie jest ich drugi synek - Wojtuś. Radości nie było końca. Niestety po 2 dniach musiałam wrócić do transportu.

Jak to było przed wyjazdem z Maksymówki? - Szczęśliwym zrządzeniem losu przyjechał do domu brat Romek, którego umiejętności i pomysłowość bardzo się przydały. Gdy już wiedzieliśmy co możemy ze sobą zabrać, trzeba było zrobić z desek paczki na rzeczy potrzebne w drodze, na rzeczy gospodarcze i osobiste, wsypać do worków zboże, kasze, mąkę. Każde miejsce w wagonie musiało być wykorzystane. Część wagonu przeznaczona była dla koni i krowy oraz paszy dla nich. My - na reszcie powierzchni z pozostałymi rzeczami. Dodatkowo pośrodku wagonu trzeba było umieścić kojec z tucznikiem kuzynki Latuskowej. Ponieważ otrzymany wagon był węglarką odkrytą, a była to słotna jesień, nad tym wszystkim trzeba było porozwieszać duże płachty na naciągniętych nad wagonem drutach telefonicznych.

Już niemal na początku drogi spotkała mnie niemiła przygoda, gdy rozwiesiłam zmokniętą garsonkę - mój najlepszy ubiór, jeszcze z gimnazjum. Świnia wspięła się na deski kojca, ściągnęła



z drutu moją spódnicę i potargała ją. Koniec, kropka - co robić? Moja strata!

Trzeba było pilnować siana, słomy, zapasów żywnościowych aby nie zamokły, donosić wodę dla 3 koni, wyrzucać nawóz. I tak dziękować Panu Bogu, że pozwolili nam je zabrać. Jeden koń był własnością kuzyna Józka Popiela, on wyjechał wcześniej, a konia zostawił nam na przechowanie. Teraz postanowiliśmy go zabrać i udało się nam przywieść go do Polski. Po przyjeździe do Bytomia kuzyn po niego przyjechał. Był nam bardzo wdzięczny. Koń bardzo przydał się do pracy Ziemiach Odzyskanych.

Przed wyjazdem zerwałam w sadzie wszystkie jabłka - złote renety. Były w dwóch pakach. Część ofiarowałam rodzinie, aby przypomnieć ojcowiznę, a część wymieniłam sobie u Niemki na całkiem niezły płaszcz. Pamiętam, że ktoś w pace z sieczką przewoził jajka, żeby mieć towar na wymianę. Tymczasem ten stale padający deszcz zamoczył sieczkę jajka zatęchły i nie nadawały się ani do jedzenia, ani do sprzedaży.

W końcu transport nasz dotarł do Bytomia, dla nas stacji docelowej i końca naszej podróży. Tu razem z bratem i przy pomocy kuzyna Józka rozładowaliśmy nasze rzeczy z wagonu. Moja kuzynka kapitanowa Latuskowa z synem Julkiem, którzy mieli jechać do Poznania, pozostali w wagonie i z resztą transportu pojechali dalej.

W Bytomiu konie zostały początkowo umieszczone w pralni w piwnicy. Po schodkach schodziły jakby były szkolone w cyrku. Potem brat znalazł dla nich miejsce na folwarku w Miechowicach koło Bytomia i tam pracowały, a ja z tego miałam własne "stypendium" na swoje utrzymanie. Podjęłam w tym czasie naukę, początkowo w szkole średniej, a potem wyższe studia.

Brat z trudnościami znalazł dla swojej rodziny i dla mnie mieszkanie. Jeszcze w Bytomiu zrobiłam maturę w Liceum dla Dorosłych, mieszkając u brata. W lutym 1947 r. przenieśliśmy się do Wrocławia, gdzie rozpoczęłam studia we Wrocławskiej Państwowej Wyższej Szkole Sztuk Plastycznych (WPWSSP).

Wrocław był cały w gruzach. Sprawił przynębiające wrażenie. Budynki przyznane na WPWSSP też prawie całkowicie w gruzach. Młodzież pomagała odgruzowywać te budynki. Remontowało się po jednej sali tworząc coraz to nowe pracownie. To były niezwykle warunki i okoliczności. Musiało się w tym żyć. Co było

robić? Droga powrotu zamknięta. I tak bez nadziei, z dnia na dzień, z tygodnia na tydzień, z roku na rok ...

*Henryk Sokół  
Bolesławiec*

## Wspomnienia

Po przeczytaniu w "Głosach Podolan" wspomnień z wyjazdu z Maksymówki wszystko stanęło mi przed oczami, nasze przeżycia w czasie wyjazdu w 1945 roku. Mieszkaliśmy wtedy w Górach Stryjowieckich. 50% mieszkańców naszej wsi stanowili Ukraińcy. Myśmy im nie ufali mimo, że być może byli między nimi porządni ludzie. Mój ojciec poszedł po radę do księdza proboszcza, który mu powiedział, że 60% parafian już wyjechało i on także może już opuścić kościół, gdyż dostał takie pismo z kurii ze Lwowa. Poszedł tatko także na stację do dziadka Soleckiego. Ten nakrzyczał na ojca mówiąc: – wyjeżdżajcie, nie orzcie, nie siejcie, a na drugą zimę z głodu poumieracie tak jak w Rosji.

Ojciec wrócił i mówi mi, że bym się wziął do roboty bo zostajemy. Wyniósł plewę hreczaną na strych, bo na podwórku była słoma i plewa, a to wszystko deszcz zamoczył. Myśmy młócili i to wszystko zostało pod gołym niebem. Ale ojciec szybko zmienił zdanie i zaczęliśmy przygotowywać się do wyjazdu.

Ludzie z opisanego w "Głosach Podolan" transportu mieli szczęście, bo jechali tylko 6 dni. My - całe 6 tygodni. 1 października 1945 r. wyjechaliśmy z Maksymówki, a 8 listopada 1945 r. dojechaliśmy do Bolesławca. W Chyrowie koło Przemyśla przeładowaliśmy się z wagonów sowieckich na wąskie tory i kolejarze puścili nasz transport podkarpacką linią na Śląsk.

Na wystrzał czerwonej rakiety z wysokiej skały o godz. 10-tej w listopadowy wieczór w 1944 r. banderowcy wzniecili cztery pożary: w Maksymówce u Duderki i Klepaczków, gdzie całe gospodarstwa się spaliły – domy mieszkalne, stajnie i stodoły. U dziadka

Soleckiego szopa, u Mazurkiewiczów w Czaharach i u mojego stryja w Górach Stryjowieckich (był sołtysem za Polski), całe gospodarstwa. W tym czasie matka taty, moja babka była u stryja w Górach Stryjowieckich. Podczas pożaru babcia wyskoczyła z domu tylko w koszuli aby wypędzić bydło ze stajni, a było zimno, więc przemarzła i rozchorowała się. Zabraliśmy ją chorą do wagonu. W drodze zmarła w Szopienicach. Pociąg jechał bez zatrzymania aż do Milicza i dopiero tam mogliśmy ją pochować.

Tadzio Solecki znalazł w Miliczu młyn. Parę rodzin z Maksymówki wraz z Soleckimi tam się wyładowało i tam osiedliło. Kiedy zobaczyliśmy, że teren tam jest podmokły, a wiedzieliśmy, że pierwszy transport z Maksymówki pojechał do Lwówka Śląskiego, to i my postanowiliśmy koniecznie tam pojechać aby być ze swoimi ludźmi. Trzymali nas w Miliczu 12 dni, aż ktoś mądry wysłał telegram do premiera Osóbki Morawskiego i dopiero wtedy pociąg ruszył.

Gdy w czasie postoju w Miliczu poszedłem do fryzjera, to na białym ręczniku ukazało się pełno wszy i fryzjer mi to pokazał. Było mi wstyd, ale ja przebywałem w wagonie cały czas z owcami i nawet z nimi spałem. To była dla mnie wielka mitręga. Jak pociąg raptownie zatrzymywał się owce wpadały na mnie i swoimi małymi raciczkami mnie budziły. Jak ja mogłem nie mieć wszy, kiedy przez 6 tygodni nie mogłem porządnie się umyć i ani razu się nie kąpałem.

W końcu dojechaliśmy 8 listopada 1945 roku co prawda nie do Lwówka Śląskiego, a do Bolesławca, gdzie znajdowało się już parę rodzin z Maksymówki i tam pod miastem tatko objął gospodarstwo, które ja teraz prowadzę.

*Zdzisława Popiel - Jaszczakowa  
Poznań*

## Ekspatriacja ze Skąlatu

W Skąlatcie powołano komisję do spraw wysiedlenia Polaków z Kresów. Na przewodniczącą komisji powołano przyslaną z Tarnopola była nauczycielkę skąlatką p. Irenę Krotkiewską, a na jej zastępcę p. Marię Łebską mieszkankę Skąlatu.. Ludzie są zdezorientowani, zakłopotani, zdenerwowani i niezdecydowani, nie wiedzą czy wyjeżdżać dobrowolnie, czy trwać do ostatka na ojczyźnie. Nikt nie wie nic pewnego. Czy to na pewno transport pojedzie do Polski, czy może zostanie w ostatniej chwili skierowany na Syberię. Nie mają się kogo poradzić. Boją się jednak zostawać, gdyż z jednej strony Ukraińcy mordują, a z drugiej strony Sowietci wiele osób aresztują i wywożą na Sybir.

Ojciec nasz Hipolit Popiel, który jest na wojnie w Wojsku Polskim, a obecnie przebywa w szpitalu w Sosnowcu, pisze w listach do Mamy, aby jak najszybciej wyjeżdżała ze Skąlatu. Jeżeli nie jest możliwe oficjalnie, to przez "zieloną granicę", aby jak najszybciej znaleźć się w Polsce poza bezpośrednim zasięgiem władz sowieckich. Ojciec nasłuchiwał się tyle od kolegów w wojsku co się dzieje na Kresach, że boi się o nas - to jest o Mamę, Ewę i o mnie, że zamordują nas Ukraińcy lub wywożą na Sybir. Wobec tak postawionej sprawy Mama zaczyna robić starania o wyjazd do Polski.

Do pierwszego transportu zgłasza się około 30 rodzin, zwłaszcza takich, które mają jakieś oparcie w rodzinach w Polsce między innymi i my. W Jarosławiu jest siostra Mamy, więc mamy do kogo pojechać, zwłaszcza, że z korespondencji z Tatą wynika, że gdy wypuszczą go ze szpitala to równocześnie zostanie z wojska zwolniony i będzie nas oczekiwał w Jarosławiu.

Rodziny, które zgłosiły swój wyjazd i załatwiły formalności wyjazdowe, zostają zawiadamiane o dacie wyjazdu. Po kilku tygodniach otrzymujemy zawiadomienie, że transport odejdzie 28 maja i będzie w nim wagon dla nas. Pakujemy się, zostawiając większość rzeczy w domu, bo jak tu wszystko zabrać kiedy w domu jest jedynie jedna dorosła kobieta - Mama i dwie młode dziewczyny (15

i 16-lat). Mama część rzeczy między innymi fortepian umieszcza w szkole, w której uczyła, licząc w swej naiwności, że tam nie zostanie zniszczony i po powrocie z wygnania uda się go odzyskać. Jedziemy z naszymi bagażami na dworzec, a tam okazuje się, że wagonów nie ma i trzeba wracać do domu. Szczęśliwie nasze mieszkanie jeszcze nie zostało zajęte przez Ukraińców i nie musimy czekać na dworcu. Po dwóch dniach "siedzenia na walizkach" jest wiadomość, że przyszedł wagon. Jedziemy na stację, ale wagonów znowu nie ma. Musimy jednak pozostać na dworcu z bagażem, gdyż nie możemy już wrócić do domu. Nocujemy na peronie bezpośrednio przy swoim bagażu. Śpimy na ziemi przykrytej jedynie kilimem, gdyż Mama boi się rozpakować materace w których są nasze naczynia. Mimo, iż jest to koniec maja noc jest zimna i na efekt nie trzeba było długo czekać. Rano obie z siostrą budzimy się z wysoką gorączką. Mamie, która w nocy nie spała gdyż pilnowała rzeczy, nic się nie stało, a my obie mamy zapalenie oskrzeli. Mamie udało się przez znajomych sprowadzić na dworzec dr Strzałkowskiego, który ratuje nas jakimiś zastrzykami. Na szczęście już na drugi dzień przychodzą wagony, ale zamiast wagonów krytych podstawiano odkryte, do których ładowano po kilka rodzin. Teraz już w wagonach - węglarkach czekamy na odjazd transportu. Pamiętam, że odjazd nastąpił w święto Bożego Ciała w czwartek 1 czerwca 1945 roku. Ładowaliśmy się do wagonu pełne obaw, gdyż był to pierwszy transport do Polski czy też na Sybir. W "naszym" wagonie jechało kilka rodzin każda ze skromnym dobytkiem. My wiozłyśmy trochę żywności (między innymi suchary, którymi żywiłyśmy się przez całą drogę), odzież, pościel, trochę naczyń stołowych i kuchennych, materace i maszynę do szycia, która zachowała się do dzisiaj. Dobytek ten jak i siebie przykrywałyśmy kilimami. Siedziałyśmy na nim i pilnowaliśmy go, gdyż w międzyczasie trzeba było bronić swoje mienie przed Ukraińcami, którzy okradali odjeżdżających. Taką przygodę miałyśmy we Lwowie, gdzie podczas postępu złodziejów bosakami usiłowali ściągnąć z wagonu nasze bagaże okryte kilimami. Szczęśliwie w tej szarpaninie ze złodziejami, w której brała udział cała "załoga" wagonu, poza rozdarcie jednego z kilimów nic się nikomu nie stało, a złodziejom nie udało się nic nam ukraść. W naszym wagonie jechały razem z nami rodziny: pp. Laskowskich, Orszulaków, Włochowiczów i prawdopo-

dobnie Muszyńskich. Po trzech dniach transport szczęśliwie dotarł do granicy w Mościskach.

Nasz transport po przekroczeniu granicy i jeszcze jednym dniu jazdy (26 km) zatrzymał się po raz pierwszy w dniu 4 czerwca 1945 roku w Jarosławiu i tam też udało się nam wysiąść i wyładować nasz dobytek, dzięki uprzejmości maszynisty (za drobną łapówkę), który przytrzymał pociąg na stacji. Reszta pojechała dalej do Wielkich Strzelec (obecnie Strzelce Opolskie). Tam też wszyscy wysiedli, by zacząć nowe życie, wprawdzie w Polsce, ale w zupełnie obcym środowisku.

Co prawda w Jarosławiu nie zastałyśmy Ojca, gdyż nadal był jeszcze w szpitalu, ale byliśmy już w Polsce i mogłyśmy żyć spokojniej, znów chodzić do polskiej szkoły i nie bać się, że zamordują nas Ukraińcy.

## Moja odyseja...

Z sentymentem wspominam uroczę lata mego dzieciństwa, kiedy życie płynęło wolno, spokojnie i bezpiecznie. Dom rodzinny był przytulny, pełen miłości, z tradycjami. Byłam dobrze i ładnie ubrana, dobrze odżywiana. Niewątpliwie wspomnienia te są wyidealizowane, ale dobrze, że w pamięci utrwalają się te najlepsze.

Wojna zniweczyła wszystko. Nastaly dni strachu i grozy, trudne dzisiaj do opisanía. Dla mnie – dziećka, potem nastolatki, było to życie “na niby”. Czekalo się z nadzieją na odmianę.

Jest maj 1945 roku. Pamiętam niezwykły nastrój, piękną wiosnę, świeżą zieleń, dużo słońca, a w sercu ogromną ulgę i radość, bo skończyła się wojna. Pewnie wróci ukończony ojciec, który pewnego dnia zostawił wszystko i w grupie innych mężczyzn – kolegów znalazł się w Wojsku Polskim. Zaczęły nadchodzić od niego “trójkątné listy” z numerem poczty polowej. Pamiętam tylko niektóre miejscowości: Sumy, Lublin, Warszawa. Dziś nie pamiętam gdzie był ojciec w dniu zwycięstwa, ale wiedziałam, że na pewno żyje.

Wojna skończyła się, ale oto nowy dylemat: “repatriacja”. Moźni tego świata postanowili, że nie tu będzie teraz nasza ojczyzna.

Ojciec listownie ponaglał, żeby nie zwlekać z rejestracją w powołanej komisji do spraw przesiedlenia. Pierwszy transport przesiedleńców odjechał w czerwcu 1945 roku. Wiadomo już, że dojechali do Strzelca, ale takiej miejscowości nie umiemy znaleźć na mapie. Dziś wiem, że to Strzelce Opolskie.

Brak zdecydowania i niepewność już poza nami. “Mieszkamy” na dworcu kolejowym oczekując podstawienia wagonów. Jeszcze nagła śmierć babci (matki ojca) i pogrzeb. Jeszcze namawianie dziadków (ze strony mamy), aby jechali z nami. Nie! – oni zostają, aby dopilnować swojego i naszego dobytku, bo według nich – my i tak niedługo wrócimy. Zaistniałe wydarzenia były dla nich tak absurdalne, że w nie niewierzyli.

A co myślała moja Matka, wyjeżdżając w nieznanę i niepewne jutro z pięciorgiem dziećki? Dziś wiem, że zasługuje Ona na ogromny podziw i szacunek. A ile takich matek było?

Jest połowa lipca 1945 roku. Opuszczamy nasze rodzinne strony. Wagony odkryte (węglarki), transport ogromny, około 40 wagonów. W naszym wagonie mieściły się trzy rodziny, razem 15 osób. Nam dziećkom – było wesoło, pachniało przygodą. Pociąg na trasie Skalał – Tarnopol wlokł się powoli. Na polach wzdłuż toru, pracowały kobiety – Rusinki. Kiedy ktoś z nas udawał, że je fotografuje – jednomyślnie podnosiły do góry spódnice, pokazując nam swoje poślądki. Od czasu do czasu któraś z nich krzyczała: “Za San Lasze, bo tu nasze!” Nacjonalizm ukraiński ujawniał się w tej nienawiści.

Podróż trwała ponad dwa tygodnie. W czasie długich postojów niejednokrotnie robiono “zrzutkę” dla “kogoś tam” – aby pociąg ruszył. Na jednym z takich postojów złodzieje opróżnili nam dwa duże wiklinowe kufry, w których mama zapakowała naszą zimową odzież.

Dojechaliśmy do Kędzierzyna. Tu w lesie, między Kędzierzynom i Koźlem kazano nam z wyladowanym dobytkiem oczekiwać na wagony (na nasze węższe tory), które miały zawieść nas gdzieś dalej. Dla mojej rodziny dalsza podróż była niemożliwa z powodu mojej choroby. Wysoka gorączka i ból w klatce piersiowej. Było to zapalenie płucnej, efekt przeziębienia po silnej, nocnej ulewie.

Kędzierzyn był wówczas małym miasteczkiem. Duży dworzec węglowej stacji kolejowej, kilka ulic. Mama szukała lekarza, ale wszędzie napotykała nieufnych, przestraszonych ludzi. Do Koźla dostała się promem przez Odrę. W Koźlu były jakieś urzędy, napływała ludność mówiąca po polsku, urząd repatriacyjny. Mama wróciła ciężarowym samochodem wojskowym. Kierowca żołnierz przywiózł nas do Koźla. Zamieszkaliśmy na poddaszu w mini pokoju i kuchni. Znalazł się lekarz i lekarstwa – szybko wyzdrowiałam.

Jak żyło się nam w Koźlu w tych pierwszych dniach? Chyba lepiej niż tym autochtonom, z którymi mieszkaliśmy w kamienicy. Moja życzliwa dla ludzi Mama dzieliła się z nimi swoimi zapasami żywnościowymi. Przed wyjazdem przygotowała suszony makaron, jarzyny, cukier, mąkę, cebulę, czosnek. Szybko zaskarbiła sobie

przyjaźń i życzliwość tych ludzi, którzy przecież również byli “zbałamuceni” dziejami historii.

Rozpoczął się rok szkolny. Najstarsza siostra dostała pracę “urzędniczką” w PUR-ze (Państwowy Urząd Repatriacyjny). – Oczekiwaliśmy powrotu ojca, który został zdemobilizowany w listopadzie i otrzymał pracę w Powiatowej Radzie Narodowej. Przenieśliśmy się do wygodnego, (ale pustego) mieszkania. Zaczęło się normalne, powojenne, biedne życie.

I nic już nie było tak jak dawniej.

*Czesław Kominek*  
*Żary*

## **Ekspatriacja z Hrycowiec**

Już wcześniej, na przełomie sierpnia i września przybyli do nas osadnicy ukraińscy wysiedleni z rzeszowszczyzny. Ziemniaków już nie pozwolono nam wykopać. Stalinowi bardzo zależało na tym, żeby jak najszybciej pozbyć się Polaków zamieszkujących przedwojenne Kresy Wschodnie. Zapewne wydał tajne dyrektywy swoim służalcem z PKWN by zorganizowali przesiedlenie ludności ukraińskiej (tzw. “zachodniaków”) na nasze tereny, jeszcze przed naszą ewakuacją. Chodziło o takie “umilanie” życia Polakom, aby jak najszybciej opuścili te tereny.

Zaczęliśmy przygotowywać się do wyjazdu. Zbijaliśmy z desek skrzynie na zboże i inny dobytek, w które ładowaliśmy to wszystko co zamierzaliśmy zabrać ze sobą. Z mebli zabierano tylko te, które można było demontować i ponownie złożyć.

Na początku października 1945 r. wyjechaliśmy z rodzinnych Hrycowiec, w podróż bez powrotu. Żegnajcie Miodobory, żegnajcie krystaliczne źródła wody, żegnaj rodzinna chato!

Gdy na widnokręgu ukazały się zabudowania Zbaraża, ojciec pokazał mi (odbudowany częściowo przed wojną) dach zamku zbaraskiego.

Przy stacji kolejowej w Zbarażu stało miasteczko szałasów. Każdy budował je jak umiał. Przeważnie były to szkielety z tyczek drewnianych, kryte słomą. Tu mieliśmy oczekiwać na podstawienie

wagonów. Konie i krowy stały uwiązane do kołków, na wolnym powietrzu. Trzody chlewnej nie było. Pod naszą opieką była nasza Krasula i koń oraz krowa babci.

Mijały dni, a wagony nie nadchodziły. Tymczasem robiło się coraz chłodniej. Przy pierwszym jesiennym deszczu wyłoniły się mankamenty w skonstruowanej przez mojego ojca i jego pomocnika budzie. Obudziłem się, gdy na moją twarz i pierzynę zaczęły spadać krople deszczu. Posiłki gotowano na oddalonych nieco od torów ogniskach. Były to na przemian makaron lub kasza. Strasznie przydymione.

W cieplejsze i słoneczne dni łąziłem z rówieśnikami w pobliżu stacji, patrzyliśmy na przejeżdżające z rzadka pociągi. W jednym z takich dni ojciec pokazał mi wzgórze z ruinami zamku w Starym Zbarażu. Nie wiedziałem wtedy, że po latach (w 2001 roku) stanę na tym wzgórzu własnymi stopami.

Gdy życie w budach na dworcu stało się nie do zniesienia z powodu zimna, dwie noce spędziliśmy w poczekalni dworca kolejowego, wśród tłumu współtowarzyszy tułaczki i różnych przybłądów czy żebraków. Jedną noc spędziliśmy u znajomych ojca w mieście. Pod koniec listopada 1945 r. nikt już nie chciał oczekiwać dłużej na wagony w tych warunkach. Mieszkańcy obozowiska rozproszyli się po peryferiach Zbaraża. Były poważne trudności ze znalezieniem jakiegoś przytułku. W końcu trafiliśmy pod dach wdowy, która mieszkała z córeczką młodszą ode mnie. Była to jednoizbowa chałupa kryta słomą, z wnęką na kuchnię. W podwórzu stała wiata, bez ścian, z dachem krytym słomą, wspartym na 4 drewnianych słupach. Było to schronienie dla naszych zwierząt podczas zimy 1945/1946 roku.

Razem z właścicielką mieszkaliśmy tam w sześć osób. Kosztowało to nas sporo. Płaciliśmy zbożem. Część naszych towarzyszy niedoli zdecydowała się skorzystać z podstawionych w połowie grudnia wagonów bez dachów (“lory”).

Dla mnie zimowanie w Zbarażu było kolejną przygodą. Sanki, narty z nowopoznanymi kolegami. Niewiele docierało do mojej świadomości z tego, co musieli wycierpieć moi rodzice. W tej okropnej ciasnocie trzeba było gotować posiłki, oporządzić zwierzęta. Gnój wytworzony przez stojące pod wiatą zwierzęta był wykorzystany przez ojca do “murowania” ścian między słupami wiaty. Do końca stycznia ściany z obornika sięgnęły już okapu wiaty. Był

to wielki sukces. W ten sposób nasze zwierzęta miały osłonę od wiatru i dodatnią temperaturę. W tych warunkach ocieliły się szczęśliwie obydwie krowy.

Gdy ojciec wszedł tam rano, po ocieleniu się tej krowy, która znajdowała się w bezpośrednim sąsiedztwie konia, zastał ciekawy obrazek. Krowa leżała pod koniem, liżąc swego noworodka, a koń stał przyciśnięty do ściany (z obornika), z podniesioną jedną nogą, aby jak najwięcej miejsca dać krowie- matce. W takiej pozycji stał chyba całą noc. Co za wspaniały przykład zwierzęcej solidarności.

Kwiecień 1946 rok. Kolejna przeprowadzka do podstawionych wagonów. Tym razem definitywny wyjazd na zachód. Pierwsza w moim życiu podróż koleją. Nie było we mnie, wtedy 8-latką, miejsca na tęsknotę za pozostawioną ojczystą ziemią. Byłem ciekawy tego, co się wokół mnie działo, tej podróży w nieznaną, postoje na różnych stacjach, mijane miejscowości.

W jednym wagonie jechaliśmy razem z rodziną mego stryja (brata ojca), który wiózł więcej dobytku od nas. Wiózł nawet klatki z gęsiami i kaczkami, które tarasowały wejście do wagonu do połowy wysokości drzwi. Tak więc pomieszczenie dla ludzi znajdowało się wysoko, między dachem wagonu a workami ze zbożem i innymi rupieciami. Pozycję stojącą, w niektórych miejscach wagonu, mogłem przyjąć tylko ja i kuzynki w wieku zbliżonym do mojego. Wszystkie osoby dorosłe jechały siedząc lub leżąc. Wszystkie postoje wykorzystywane były do rozprostowania ciała oraz do karmienia i pojenia zwierząt jadących w odkrytych wagonach. Każde zaś wyjście i wejście do wagonu kosztowało niemało wysiłku. Trzeba było się wspinać po szczeblach i uchwytach klatek ze stryjkowymi gęsiami, które szczypały nas dziobami po rękach.

Po przyjeździe naszego pociągu na "Ziemie Odzyskane", przy dłuższych postojach przedstawiciele PUR-u proponowali nam osiedlenie się w okolicznych miejscowościach. Oprawdzali nas po opustoszałych domostwach, wyszabrowanych już z wartościowszych mebli. Najdłuższy postój był w Kaliszu Pomorskim, staliśmy także jakiś czas w Pile. Miasto było zrównane z ziemią. Część rodzin z naszego transportu osiedliła się w proponowanych miejscowościach, część pojechała dalej. Mój ojciec postanowił jechać z transportem do końca. W końcu dojechaliśmy do Żar, gdzie trzeba

było rozładować wagony, gdyż wracały one z powrotem po następnych przesiedleńców. I tak zaczęliśmy tu nowe życie.

*Stanisława Doktor-Jarosiławska*  
*Warszawa*

## **Mój wyjazd z Czortkowa w 1945 r.**

Chociaż minęło już 60 lat i czas zaciera w mojej pamięci szczegóły, opisuję to, co mi jeszcze pozostało.

Mieszkałam z rodzicami i rodzeństwem, miałam trzy siostry i brata, mieszkał też z nami dziadek Paweł.

Do szkoły powszechnej uczęszczałam na Górnej Wygnance, dyrektorem tej szkoły był p. Stanisław Kotowicz i tam ukończyłam czwartą klasę.

Już w czasie okupacji niemieckiej zaczęły się morderstwa Polaków przez bandy ukraińskie. Po spaleniu i wymordowaniu Polaków w Majdanie zimą 1943 r. ciocia z córką zamieszkały u nas, a kilka rodzin u naszych sąsiadów, ponieważ stracili cały dorobek życia.

Zimą w 1944/ 1945 r. i my byliśmy zmuszeni opuścić nasz rodzinny dom i zamieszkać przy ul. Podgórznej u cioci Plecan. W domu został tylko dziadek Paweł. Nie chciał iść z nami, ponieważ był chory i leżał w łóżku; musieliśmy przynosić mu żywność i zapewnić opiekę.

W tym czasie moja starsza siostra Helena pracowała w sklepie na Górnej Wygnance (przed wojną był to dom Kółka Rolniczego). Pewnego dnia siostra poszła po pracy odwiedzić dziadka i zanieść mu żywność, ale o tej porze roku szybko zapadał zmrok, było ciemno, a lampy nie można było palić. Nagle rozległo się silne walenie do drzwi i krzyk w języku ukraińskim, żeby otworzyć, bo drzwi wyłamią. Strach siostrę ogarnął, wiedziała co ją czeka gdy wejdą do domu. Upadła na kolana, zaczęła się modlić i prosić Boga o ratunek.

Długo to trwało, wreszcie napastnicy przekonani, że nie ma nikogo w domu, odeszli. Po chwili siostra podeszła do okna i zobaczyła jak odchodzili; było ich około dziesięciu z karabinami.

Polacy organizowali w tym czasie warty nocne, mieli przywiązane do drzew żelazne przedmioty i w razie zbliżania się bandytów mieli obowiązek dzwonić. Wszyscy mieli schrony w piwnicach lub na strychach i wtedy uciekali z mieszkań.

W mroźną noc mój ojciec pełnił wartę z p. Witkowskim na rozdrożu pod krzyżem, gdzie na świerku zawieszono było żelazo do dzwonienia. Około północy usłyszeli, że zbliżają się sanie. Siedziało na nich kilku mężczyzn z karabinami. Zatrzymali się i po ukraińsku powiedzieli, żeby nie dzwonić, bo ich zabiją. Zapytali ojca czy ma dzieci i czy chce żyć? To niech idzie do domu! I odjechali inną drogą. Po tych zajściach sąsiedzi też opuścili swoje domy i nocowali w schronach albo u znajomych w mieście.

W czasie okupacji niemieckiej ukończyłam 5 i 6 klasę w szkole handlowej koło cerkwi. A po wkroczeniu wojsk radzieckich ukończyłam 7 klasę w szkole koło zamku. W polskiej szkole z polskim językiem wykładany był ponadto j. rosyjski i ukraiński. Dyrektorem tej szkoły był p. Kędzierski.

8 maja zastał nas koniec wojny. Lekcji w szkole nie było. Panowała radość, Rosjanie grali na harmoniach tańczyli na ulicach oraz strzelali na wiwat. Do szkoły uczęszczało coraz mniej uczniów, bo Polacy już wyjeżdżali na Ziemię Odzyskaną.

Moi rodzice też otrzymali odpowiednie dokumenty i szykowaliśmy się do wyjazdu. Mama piekła suchary i kupowaliśmy konserwy od żołnierzy radzieckich oraz inne produkty żywnościowe. Na początku października przyszedł do nas sołtys Ukrainiec i zapytał rodziców kiedy wyjeżdżamy, bo dom jest potrzebny dla Łemków przesiedlanych na nasze tereny. Otrzymaliśmy polecenie, że za tydzień mamy opuścić dom. Rodzice spakowali rzeczy do worków i paczek oraz żywność i furmanką przewieźli na stację kolejową. Oczywiście wszystkie meble zostały w domu.

Na dworcu była już długa kolejka oczekujących na wyjazd i my także ustawiliśmy się. Z każdym dniem kolejka się wydłużała i czekaliśmy na dworcu dwa tygodnie, bez dachu nad głową, pod gołym niebem.

Moja matka urodziła siostrę 21 marca 1945 r. i zamieszkała u cioci, a my pełniłyśmy na stacji dyżury nocne i dzienne pilnując swego dobytku. Mama prosiła, żeby dziecko ochrzcić w kościele w Czortkowie. W tym czasie most na rzece Seret w czasie bombardowania został zwałony i przęsła leżały w wodzie. W kościele był tylko ksiądz, brat zakonny, rodzice chrzestni i ja. Na imię daliśmy jej Teresa i po chrzcie szczęśliwie przepawiliśmy się przez zwałony most z dzieckiem pod pachą, bo drugą ręką trzeba było przytrzymać się, żeby nie wpaść do wody. Później Rosjanie zbudo-

wali drewniany most trochę dalej od zwałonego i już swobodnie można było przejść do miasta i do kościoła.

Noce były już zimne, była to druga połowa października, a widoków na szybki wyjazd nie było. Ojciec mój pracował na kolei i za wódkę załatwił wagon towarowy. W nocy załadowaliśmy się do wagonu po jednej stronie, a po drugiej dwie rodziny i byliśmy szczęśliwi, że już jesteśmy w wagonie. Wagon został doczepiony na końcu do transportu, który jechał do Jeleniej Góry.

Rano 1-go listopada zaczął padać śnieg, ale my byliśmy już w wagonie i pociąg ruszył już w kierunku Wawrynowa i nagle rozległ się głos trąbki, ktoś zagrał poranną pieśń "Kiedy ranne wstają zorze..." Wszyscy w naszym wagonie płakali i tak żegnaliśmy na zawsze nasze kochane miasto Czortków. Pociąg wiół się wolno, transport był bardzo długi. Dojechaliśmy do Lwowa i tu usiłowali odczepić nasz wagon. Twierdzili, że osie się palą, ale ojciec nie pozwolił im dokonać tego czynu, na pewno chcieli zostawić nas na bocznicę i okraść.

Jechaliśmy z ciągłymi postojami już kilka dni, aż dojechaliśmy do Bieżanowa pod Kraków, tam już stało 9 transportów. Na pewno długo byśmy czekali, żeby ruszyć w dalszą podróż. W tym celu zorganizowano zbiórkę pieniędzy i wódki dla maszynisty i ruszyliśmy w dalszą drogę. Tak dojechaliśmy do Opola. Wszędzie widać było ślady po przejściu frontowych walk, uszkodzone czołgi oraz inne ślady wojny.

I tak podróż nasza trwała 13 dni, aż wreszcie dojechaliśmy do stacji Brochów pod Wrocław. Tam musieliśmy się przeładować do innych wagonów z szerokiego toru na wąski i jechać do Jeleniej Góry. Tymczasem chodzili ludzie i pytali skąd jedziemy i spotkaliśmy znajomych z Czortkowa. Poradzili żebyśmy zostali w Brochowie, bo w Radwanicy mieszka kilka rodzin z naszych stron. Pomogli nam się wyładować i przewieźli nas do Radwanic.

Tu sołtys przydzielił nam dom uszkodzony przez działania wojenne. Jedna ściana była rozwalona, a na drodze leżało skrzydło z samolotu i silnik. W domu tym mieszkała Niemka i my z nią zamieszkaliśmy. Święta Bożego narodzenia spędziliśmy razem. Dopiero w maju 1946 r. Niemcy zostali przesiedleni do Niemiec. Do Wrocławia trzeba było iść pieszo, po drodze pełno domów rozwalonych i gruzu ze zniszczonych kamienic i groby poległych żołnierzy.

Nie było żadnej komunikacji, żeby dostać się do Wrocławia. Sklepów również nie było. Ojciec dopiero na wiosnę dostał pracę na kolei w Brochowie, tam też zorganizowano sklep i żywność kupowało się na kartki.

Do Wrocławia poszłam z matką aż na plac Grunwaldzki, żeby sprzedać trochę owoców przywiezionych z Czortkowa z naszego sadu, i kupić chleba. Tam można było kupić różne rzeczy, ale mama nic nie kupowała tylko płakała i mówiła, że zaraz wrócimy na swoje ziemie. Niestety tak się nie stało i rodzice mieszkali tam, aż do śmierci.

*Danuta Butrówna-Stancel*  
*Warszawa*

## **Repatrianci z za Buga (fragment)**

9 maja 1945 r. cieszyliśmy się wraz z całym światem z zakończenia II wojny światowej. Nareszcie skończył się ten – trwający prawie 6 lat koszmar, który pociągnął za sobą śmierć milionów ludzi, ogrom nieszczęść i strat.

Pod koniec czerwca zostaliśmy wyznaczeni do repatriacji. Zwieźliśmy na rampę kolejową cały nasz dobytek, ale nie podstawiono nam na czas wagonów towarowych. Musieliśmy więc dyżurować na zmianę przy bagażach dwie lub trzy doby. Dopiero gdy wagony były już przy rampie, mój wujek Antoni Bandurek z Sienikowej przywiózł najważniejszy bagaż, duży kosz na bieliznę, w którym ukryty był prof. Józef Opacki! Miał on przejechać z nami granicę nielegalnie, ponieważ jako ukrywający się przed władzą radziecką, nie miał żadnych dokumentów, a więc i karty ewakuacyjnej, która stanowiła glejt wyjazdowy. Pod osłoną nocy doszedł do naszego wagonu jeszcze drugi uciekinier pan Paweł Michali-



szyn, również jeden z szefów miejscowego AK, odbywający także tę podróż nielegalnie.

Do granicy w Medyce siedzieliśmy jak trusie, przejęci ważnością chwili i naszą niezwykłą "kontrabandą".

Później – odprężeni czekaliśmy, kiedy ktoś przyjdzie zapytać nas, dokąd chcemy jechać.

Tymczasem nikt nas o nic nie pytał, pociąg włąkł się - przy pięknej lipcowej pogodzie – chyba 2 doby, aż zawiózł nas do Punktu Etapowego w Mikulczycach koło Katowic. Tam kazano nam się wyładować z wagonów i zaproponowano tymczasowe mieszkanie poniemieckie. Nareszcie mogliśmy odpocząć po podróży, rozpakować trochę rzeczy i rozejrzeć się po okolicy.

Krajobraz Śląska był całkowicie różny od naszego słonecznego Podola. Wszędzie było szaro i czarno, wszędzie kominy i dźwigi. Najbardziej ciekawili nas ludzie, jakże inni, niż u nas. Przeważały ciemno ubrane kobiety w kapeluszach (tego się u nas nie widziało przez całą okupację). Spotykaliśmy wielu starszych ludzi mówiących po niemiecku. Jak to, przegrali wojnę i ośmielają się tu w Polsce rozmawiać po niemiecku! (Widać było, że szybko uznaliśmy tzw. Ziemię Odzyskane za polskie). Przez dłuższy czas żyły w nas wtedy uczucia nienawiści do wszystkich Niemców, których utożsamialiśmy z hitlerowcami, sprawcami całego wojennego zła. Z czasem wiele się w nas zmieniło, potrafiliśmy zrozumieć ich punkt widzenia, pojąć ich krzywdy. Z niektórymi Ślązakami zdążyliśmy się nawet zaprzyjaźnić i mimo, że opuścili później kraj i wyjechali do "Reichu", utrzymują z nami dobre stosunki do dzisiejszego dnia.

W Mikulczycach odnalazł nas mój mąż, który kontynuował służbę wojskową w Armii Kościuszkowskiej do września 1945 roku. W sierpniu wpadł do nas tylko na jeden dzień i zaraz wrócił do swojej jednostki. My zaś rozpoczęliśmy na własną rękę poszukiwania stałego mieszkania.

Ktoś ze znajomych powiedział nam, że jest wolne mieszkanie w Gliwicach, w domu częściowo już zajęтым przez Czortkowiaków pp. Czerwińskich. Pojechaliśmy tam z bratem – istotnie, było puste 3 pokojowe mieszkanie na Wójtowej Wsi, ale w strasznym stanie, przypominającym bardziej stajnię niż dom. Wypełnione śmieciami i błotem prawie do połowy ścian. Cóż, wzięliśmy się do

roboty i po kilku dniach mogliśmy się nareszcie wprowadzić do tego lokalu, na który nasza mama otrzymała przydział.

Miasto Gliwice bardzo nam się podobało, było czyste i zadbane, wszędzie słyszano się lwowską gwarę. Widać było, że sporo ludzi przyjechało tu przed nami i od razu zabrali się do pracy. Powstało dużo sklepów, dobrze zaopatrzonych, kwitł handel i szaber. Można było właściwie wszystko dostać, jeśli tylko miało się pieniądze. My ich nie mieliśmy, ale mieliśmy nasze zapasy, które teraz się przydały. Mój brat zaraz zaczął chodzić do szkoły, starsza siostra poszła do pracy, a ja – po demobilizacji męża z armii, spakowałam walizkę i wyjechałam do upragnionej Warszawy!

*Józefa Choina- Drabkowska  
Warszawa*

## Moja droga repatriacyjna

Zbiorowa akcja banderowców na polską wieś Głęboć z 4 na 5 stycznia 1945 r. zapoczątkowała terror nacjonalistów wobec ludności polskiej w rejonie Borszczowa, już w okresie administracji radzieckiej. Bandyty bezkarnie mordowali przez całą noc bezbronną ludność, ponieważ jej obrońcy znajdowali się w Wojsku Polskim. Głęboć ogarnięty był ogromną łuną pożaru widoczną na odległość wielu kilometrów. Rano po wycofaniu się bandytów pojawiły się radzieckie oddziały ewakuacyjne, zarządzając natychmiastową ewakuację mieszkańców wsi do Borszczowa. Po akcji tej zidentyfikowano 88 zamordowanych Polaków. Administracja radziecka nie ukrywała już, że "Polacy powinni wyjechać do Polski", bowiem oni nie są już w stanie obronić ich przed bandami banderowców. Od grudnia 1944 r. w Borszczowie działała mieszana komisja do spraw repatriacji ludności polskiej i w styczniu 1945 r. pierwszy transport wyruszył do Polski. Dokąd ten pierwszy transport dotarł – nie wiadomo. Później już systematycznie wyjeżdżały jeden po drugim, co miesiąc.

Mimo zakończenia wojny, jeszcze w połowie czerwca 1945 r. wieś Słobódka Muszkatowiecka (w parafii borszczowskiej – 2 km

od miasta) była miejscem likwidacji bezbronnej ludności polskiej przez ukraińskich nacjonalistów. Jednej nocy zamordowano w niej ze szczególnym okrucieństwem 28 osób. To był wielki szok dla wszystkich. Kiedy moja Matka dowiedziała się o rzezi, nie żałowała już dobytku i wyraziła zgodę na jak najszybszy wyjazd, aby tylko uciec od Ukraińców. Zaczęto załatwianie formalności związanych z wyjazdem. Na placu przy stacji kolejowej tygodniami koczowały rodziny polskie w oczekiwaniu na podstawienie wagonów. Wyznaczano nam kilka terminów wyjazdu.

I wreszcie na początku października 1945 r. wagony podstawiono, ale znowuż zaistniał problem. Co mamy zabrać ze sobą, gdyż wyjeżdżamy całą rodziną – matka, ja, siostra z mężem i troje dzieci, najmłodsze trzymiesięczne. Od rodzin osób, które poprzednio wyjechały dowiedzieliśmy się, że podróż trwa około dwóch tygodni, toteż zabieramy rzeczy najpotrzebniejsze – dla niemowlaka musi być mleko, więc zabieramy krowę. Ponadto zabieramy jednego konia, zapasy żywności i ubrania. Kiedy już wszystko załadowano, na stacji kolejowej czekaliśmy w wagonie jeszcze tydzień na odjazd. To był chyba szósty z kolei transport. Wreszcie odjazd! Wagon dwuosioowy jest przepelniony: trzy rodziny, tj. 17 osób, w tym sześcioro dzieci, które płaczą, bo noc są zimne. Ponadto w wagonie jest pasza dla dwóch koni i jednej krowy, które jadą w oddzielnym wagonie i wymagają karmienia. Na przypadkowych postojach na trasie przejazdu, z przytorowych pól uzupełniamy paszę dla tych czworonożnych pasażerów, a na stacjach kolejowych – wodę dla wszystkich. I tak dojeżdżamy do Gorzowa Wlkp. Tutaj nastąpiło rozdzielenie transportu. Ostatecznie po dwóch tygodniach jazdy z końcem października dobijamy do miejsca przeznaczenia – Konotop (22 km na wschód od Zielonej Góry).

Szukamy wolnego domu, aby tylko móc się położyć na noc, bo wszyscy jesteśmy bardzo umęczeni i zajmujemy chałupę byle jaką, poniemiecką, a w niej pustka, nie ma nic, tylko na podłodze pełno ludzkich odchodów. Trochę sprzątamy i kładziemy się spać. Rano szwagier idzie na stację kolejową, aby zabrać konia i krowę, bo tam zostały wszystkie zwierzęta pod opieką żołnierza Armii Radzieckiej. I znów wielki szok: krowa jest, a konia nie ma, podobno widziano jak konia prowadzili żołnierze. Ale co można było zrobić w tych okolicznościach? Dla nas była to wielka strata, bo liczyli-

śmy, że ten koń będzie nam pomocą w zagospodarowaniu nowego miejsca.

Początek naszego tułaczego życia był wręcz żałosny. Dom pusty, nadal śpimy na podłodze, zapasy żywności, jakie przywieźliśmy ze sobą kończyły się, a o pracę również bardzo trudno, bo miejscowość była mała. Co robić? Stopniowo pościągaliśmy poniemieckie łóżka, krzesła i jakoś się mieszkanie umeblowało. Wcześniej przed nami do tej miejscowości przybyli repatrianci z rejonu lwowskiego, z księdzem, a miejscowy kościół nas powoli jednocył. Zaczęto też pracować i po jakimś czasie życie względnie się ułożyło.

Pierwsze Boże Narodzenie świętowaliśmy już w nowej rzeczywistości. Cieszyliśmy się uratowanym życiem, uciekając przed długimi nożami ukraińskich nacjonalistów.

Ale tego wszystkiego, co przeżyliśmy w związku z przesiedleniem nikt z nas żyjących nie zapomni – na pewno!

*Janina Szajna*

*“Wspomnienie jest rajem  
z którego nic nas nie może wypędzić”*

## **Moje wspomnienia z drogi na zachód<sup>4</sup>**

Był maj 1945 roku. Cały świat odetchnął z ulgą, że skończyła się II wojna światowa. Dla nas Polaków mieszkających w Małopolsce Wschodniej nie był to dzień nadziei. Nadal grasowały bandy ukraińskie. Wciąż drażyła nas niepewność czy nie wywiozą na Sybir. Ogłoszono repatriację Polaków na odzyskane ziemie zachodnie. Niektórzy Polacy przyjęli wiadomość z radością i już 14 IV 1945 wyjechał pierwszy transport z Husiatyna. Z Czabarówki jako pierwszy wyjechał Grzegorz Brzezicki z rodziną, a następnie w lipcu Adam Biliński z rodziną. Zaczęłam i ja swoją rodzinę przyna-

<sup>4</sup> Przedruk z *Semper Fidelis* nr 3 (20) 1994.

glać do wyjazdu, gdyż życie stawało się coraz bardziej uciążliwe. Okna w domu powybijane, nocowanie po różnych dziurach stawało się koszmarem. Prace na polu były niebezpieczne. Przy zbieraniu pszenicy na Madroszczyźnie moja siostra Helena odkryła w kukurydzy na sąsiednim polu kryjówkę Ukraińca Myśki Tonasa. Już nawet nie skończyliśmy zbierania zboża, uciekłyśmy do domu.

Ojciec mój nie wrócił z wojny do Czabarówki, a nam nie bardzo radził wyjeżdżać. Po zdemobilizowaniu zgłosił się do budowy drogi na lotnisku Okęcie w Warszawie. Babcia moja, znana całej wsi jako "Szymczycha", bardzo troszczyła się o to, żeby przygotować jak największe zapasy na wyjazd. Przygotowała: 10 worków pszenicy, 4 żyta, 6 ziemniaków, worek mąki żytniej, worek mąki pszennej, różne kasze i bimber też. Kiedy nalegałam na wyjazd babcia mi odpowiadała. - "Czy ty wiesz gdzie nas zawiozą? Już Adaśko Biliński mieszka w jakimś betonie." On się początkowo osiedlił w Bytomiu, stąd takie skojarzenia. Mimo wszystko miały miejsce takie naciski, że wiedziałyśmy, iż trzeba opuścić te nasze kochane ziemie. Do nas Myśków przyszedł i powiedział, że on już między zorał i nasze pole (1 mórg) przyłączył do swego, a teraz przyszedł po młynek do młynkowania zboża.

Hołowa silrady Iwan Dykała przyszedł, zabrał kierat, sieczkarnię, maszynę do młócenia i parę worków pszenicy, która w tym roku bardzo obrodziła i mieliśmy 50 cetnarów. Dużo rzeczy zabrała z naszego domu sąsiadka Sahajdaczka z myślą, że jak wrócimy, to nam odda. We wrześniu przyjechał stryjek Zygmunt Ziobrowski i zaczął organizować nasz wspólny wyjazd. Zaczęliśmy wywozić nasze zapasy na stację w Husiatynie do budy zbudowanej z drzewa i słomy. Dźwigaliśmy ponad nasze siły worki ze zbożem (chyba po 120 kg), z ziemniakami, mąką żytnią, pszenną, kasze, sznycle w garnku zalane smalcem, beczki ogórków, ser kwaśny w beczce, masło, masło topione, słoninę w torbie z płótna, cały wypiek 9 bochenków chleba, worek sucharów, które u nas były pieczone w razie wywozu na Sybir. Na koniec mama moja przyprowadziła konia, krowę i małą świnkę, którą umieszczono w kufrze drewnianym. Krowa zaraz dostała jakiejś furii, urwała się z postronka, zburzyła całą naszą budę i jeszcze trzy sąsiednie. Proponowałam sprzedać krowę, ale babcia i mama nie chciały o tym słyszeć – jak można żyć bez krowy. Nareszcie 17 października 1945 r. otrzymaliśmy do załadunku na dwie rodziny z całym dobytkiem platformę bez da-

chu. Stryjek zaczął ją jakoś obijać deskami i drabinami, na zadanie użył pałatek, które babcia zamieniła z żołnierzami radzieckimi z myślą, iż przydadzą się one na wsypy do poduszek. Po jednej stronie ustawiono rozebrane wozy, 2 konie, 1 źrebię, 2 krowy, umieszczono karmę dla bydła, koniczynę i worki z siewką. Po drugiej – worki ze zbożem, mąką, kaszami, na to poduszki pierzyny, a na nie dzieci: Edka, Marysię, Tolka, Henryka, dziadka Ziobrowskiego, który liczył wówczas 84 lata i babcie. Niżej ustawione były beczki z ogórkami, serem, ziemniakami, a na tym znajdowało się spanie mojej mamy, stryjenki Franciszki i stryjka. Stryjenka moja miała jeszcze na stacji łopatę do wsadzania chleba, kociubę, kądział, zatulę, "terfecia", ale te przedmioty stryjek powyrzucał z braku miejsca. Między bydłem, a ludźmi ułożono kuferek ze świnką, a na tym kufrze miałyśmy spać z moją siostrą. Na zewnątrz platformy na wbitych hakach wisiał płot z kuchni i wiadra.

Kiedy już wszystko było załadowane i parowóz dymił, zaczęliśmy się żegnać z rodzinami i znajomymi. Ja szczególnie żegnałam Ziunka Horodeckiego i Władka Klementowskiego; byli to moi najlepsi przyjaciele, razem uczyliśmy się. Rozżaleni, nawet nie spostrzeżliśmy, kiedy pociąg ruszył i pojechał. Pojechała cała rodzina stryjka i mój brat, który miał wówczas 5 lat. Babcia została z garnkiem po kuleszy, mama moja ze złości wyrwała ten garnek i rzuciła, aż zadudniło na torach.

Za pół godziny odjeżdżał osobowy pociąg do Kopyczyniec, ale my nie miałyśmy ani grosza na bilety. Władek Klementowski kupił nam bilety i z wielkim płaczem wsiadłyśmy do pociągu. W Kopyczyńcach po wjeździe na stację poznałyśmy z daleka naszą platformę, biegłyśmy szybko przez tory i ledwo zdążyłyśmy wsiąść, pociąg ruszył. Nasze 4 wagony zostały doczepione do transportu. Po ujechaniu może 20 km zawieziono nas na boczny tor, gdzie spędziłam pierwszą bardzo zimną i niewygodną noc. We dwie z siostrą na kufrze i na dodatek śmierdziało świnia. Nie mogłam spać, więc chodziłam po peronie i spotkałam Żelę Jadwińską, Kiełarową, Staszka Kołodyńskiego, Michała Ogonowskiego. Okazało się, że ich rodziny pojechały wcześniej, a oni z bydłem mieli ich dogonić. Rano brakowało wody do mycia, do picia, daleko nie można się było oddalać od wagonu, bo nie było wiadomo, kiedy transport ruszy. W pierwszych dniach krowy dawały trochę mleka, piły je dzieci. Dla nas trzeba było gotować co się dało na blacie

kuchni położonym przez stryja na kamieniach. W sumie było nas 11 osób. Najczęstszym pożywieniem były gotowane ziemniaki, ogórki kiszzone, chleb, suchary. Do Lwowa jechaliśmy 5 dni. Wciąż kursowały pociągi na wschód z towarami wyszabrowanymi przez Rosjan z ziem zachodnich. Żeby nasz transport posuwał się do przodu trzeba było maszynistom dawać wódkę.

Po dwóch tygodniach zaczęły dokuczać nam wszy. Wieczorem było widać, jak ludzie z innych transportów rozpalali ogniska, zrzucali odzież i strzepywali ją na ogień. Przypomina mi się rozmowa ze Staszkiem Kołodyńskim na peronie. Pytam: "Staszek masz wszy?" Staszek odpowiada: "Nie. Wszy mnie mają".

Pewnej niedzieli w okolicach Przemyśla stryjek rozłożył kuchnię, zapalił ogień. Obraliśmy duży garnek ziemniaków i gdy już były prawie gotowe, z przeciwnej strony nadjechał pociąg. Wystawał z niego jakiś hak, przewrócił całą kuchnię i zbił spiżowy garnek na ziemniaki. Stryjek zarzucił kuchnię na hak, a do nas powiedział: "jedzcie teraz gówno". Była to jednak już przestroga. Im dłużej trwała ta podróż, tym życie stawało się uciążliwsze. Dokuczalo zimno, zaczęło brakować karmy dla bydła, trzeba było w czasie postoju zrywać suchą trawę. Świnia dostawała dziennie trzy kaczany kukurydzy. Nieczystości trzeba było wylewać na postojach. Między polskimi transportami były też transporty Łemków, których przemieszczano na nasze ziemie.

Ojciec mój był w odwiedzinach u Grzesia Brzezickiego we wsi Korchowice koło Pyskowic. Zajął tam sobie domek i zaczął nas szukać po stacjach. Kiedy zorientowałam się, że przejechaliśmy Pyskowice i zatrzymaliśmy się w Opolu, zaczęłam kombinować, jak się odłączyć od transportu i wrócić do Pyskowic. Wzięłam mapę przedwojenną i zaczęłam śledzić gdzie jesteśmy. Podchodzi do mnie radziecki oficer i mówi: "Siejczas nie nada smotriet po etoj kartinie, wy udierajete od ruskich, no ot nas i tak nie udierniotie".

W Opolu zabrałam mego brata i poszłam do dyżurnego ruchu mówiąc, że wszyscy zostali w Pyskowcach, a ja z tym dzieckiem nie mogę jechać dalej. Odłączyli nasz wagon, wtedy dotarł do nas nasz ojciec, był nawet niezadowolony. Mówił: "trzeba było jechać dalej ze wszystkimi". Po kilku dniach cofnęli nasz wagon do Pyskowic i tu zaczął się rozładunek. Znow dźwiganie, żreback zaraz po wyładunku zdechł.

Dom, który ojciec zajął, był całkowicie wyszabrowany, ale byliśmy szczęśliwi, że mieliśmy dach nad głową. Ustawiliśmy swoje dwa łóżka, skrzynie, zapalili w piecu i pierwszą rzeczą było mycie, pranie i odwszenie. Ślązacy byli dla nas życzliwi, ale było trudno się porozumieć – szmata to hadra, duży to srogi, uderzyć to piznać. Świnię z kufra na wiosnę zabililiśmy i tak jak u nas bywało, stryjek opalił ją słomą. Zleciało się całe podwórze Ślązaków, gdyż nie wiedzieli, że się opala, myśleli, że my będziemy tą czarną jeść. Stali do końca przyglądając się.

6 III 1945 r. rozpoczęliśmy z moją siostrą naukę w liceum w Pyskowicach. Tak zaczął się drugi rozdział w moim życiu.

*Katarzyna Cilińska  
Nowa Sól*

## Wypędzenie z Ojcowizny

Po zamordowaniu Ojca, najstarszy brat Józef został jedynym opiekunem i podporą Mamy oraz czworga młodszego rodzeństwa.

W 1945 roku zmuszono nas, częstymi pogroźkami i mordowaniem Polaków w okolicy, do ucieczki z ojcowizny dla ratowania życia.

Po opuszczeniu domostw przez sąsiadów przywędrowało do nas 15 kotów. Jedzenia im u nas nie brakowało, zwłaszcza mleka. Gdy pakowaliśmy się, koty posmutniały, a w ostatnim dniu naszego pobytu nie piły mleka. Płakały razem z nami. Mama przez wiele lat zastanawiała się nad ich zachowaniem.

Ja z mamą opuszczaliśmy Janów ostatnie. Ona szła przodem, trzymając krowę na powrozie, ja ją z tyłu popędzałam. Rodzeństwo z dobytkiem było już na stacji w Trembowli, odległej o 14 km. Kiedy doszliśmy od strony zachodniej Janowa drogą wciąż idącą w górę do cementarza, Mama zatrzymała się w połowie wzgórza cementarnego odwróciła w lewo i kierując wzrok na nasz dom mocno płakała, tak że i mnie płacz się udzielił. Z tego miejsca było widać całą panoramę Janowa.

Był okres kopania ziemniaków. Pobyt pod gołym niebem na stacji, w budach zrobionych z chrustu i słomy, wielotygodniowa jazda towarowymi wagonami w kilka rodzin, chłód, brud, głód, wszawica – sprzyjały chorobom. Moi młodszy bracia ledwie przeżyli. Jakby tego było mało, wagon, w którym znajdowali się ludzie z bydłem, spalił się. Nasz koń na szczęście był w drugim wagonie.

Gdy pociąg zatrzymywał się, ludzie wychodzili z wagonów, robili z cegieł prowizoryczne kuchnie by móc zagotować wodę, ale nie zawsze się to udawało. bo pociąg zaczynał ruszać w dalszą drogę.

Wagony z bydłem odczepiają i zostawiają na jakiejś stacji, a ludzie jadą dalej.

W Oświęcimiu padł rozkaz przeładowania się do innych wagonów.

Jechaliśmy i jechaliśmy i dopiero w Wigilię Bożego Narodzenia znaleźliśmy się na stacji w Kożuchowie. Miejscowi ludzie z furmanką zapraszali do siebie na święta, prosili, żebyśmy wysiadali. Nie usłuchano. Pojechaliśmy dalej i dopiero 6 stycznia 1946 r. dał rozkaz konwojent, że mamy tylko kilka minut na wyładowanie się z dwóch przyczyn: nadjeżdża drugi pociąg i bardzo blisko są Niemcy. Było to na stacji w Zagajniku przed Węglińcem.

Część dobytku, którego nie zdążyliśmy wyładować, pojechała dalej. Na domiar złego konwojent transportu zabrał Mamie kartę majątkową i do dziś jej nie zwrócił.

Nie poszliśmy daleko od stacji. Trzy rodziny weszły do małego domku z ogródkiem. Rano w ogródku tym zobaczyliśmy dwie mogiłki, a na nich drewniane krzyże.

Niesamowicie baliśmy się Niemców. Mieszkaliśmy w Zagajniku pod numerem 56. W styczniu 1946 r. zapukał wieczorem nasz bliski sąsiad z Janowa Kazimierz Kopaczyński, który brał udział w wojnie. Brata nie było w domu, a my tak mocno krzyczałyśmy i płakałyśmy żeby Mama nie otwierała drzwi, że zdezorientowana i przestraszona Mama nie poznała sąsiada po głosie i nie wpuściła go.

### **Życie na Ziemiach Odzyskanych**

Po wojnie koń na wsi był rarytasem. Plan był taki, że mąż ciotki Marysi (szwagier ojca) miał naszym koniem uprawiać swoją i

naszą ziemię, a brat Józio miał pójść do średniej szkoły, my do podstawowej, a po szkole pomagać Mamie przy pracy w polu (łany były obok domu).

W początkach marca 1946 r. brat pojechał do Tarnowskich Gór po naszego konia. Wrócił bez niego, ponieważ urzędnicy nie wierzą, że jest naszą własnością. Mama pojechała do Zgorzelca i załatwiła odpowiednie papiery. Brat wyjeżdża ponownie, wstępuje do rodziny. W dalszej podróży towarzyszy mu wujek. Po załadowaniu konia brat stał w drzwiach wagonu paląc papierosa. Była godzina 1-sza w nocy. W tym momencie nadjechał pociąg z materiałami budowlanymi, uderzył w skład pociągu, drzwi się zatrasnęły i mój brat poniósł śmierć na miejscu z winy przetokowego, Stanisława Słoty. Był 7 marca 1946 roku. (Wiadomość wyczytana w protokóle sądowym w Tarnowskich Górach).

Wujek po tygodniu zawiadamia, że brat nie żyje. Mama przez wiele dni nie jest w stanie wstać z łóżka. Radzono Mamie, żeby starała się o odszkodowanie z kolei. Odpowiedziała, że "nie mogłaby jeść ciała swojego dziecka".

Edukacja siostry Rózi kończy się w lesie na korowaniu łopata drzewa, o czarnej kawie z plackami, byśmy nie zginęli z głodu. Zarobione pieniądze oddaje mamie. Po zamążpójściu w 1948 roku mieszka o 2 km od nas.

Lata szybko płyną. Wakacje 1951 r. Co za radość, mam własne pieniądze. Spełniam w połowie swoje marzenia. Odszukuję przez dyżurnego ruchu na stacji milicję, sąd, księdza, grabarza i miejsce pochówku mojego brata.

Nie chodzę, ale biegam od urzędu do urzędu. Zapada zmierzch, wreszcie trafiam... wg księgi miejscowego grabarza – pole 8. rząd 11, nr grobu 350 – mała zapadająca się mogiłka z kamienną tabliczką o tym numerze.

Z Zagajnika wyruszam w drugą podróż z nadzieją, że do wiem się o miejscu pochówku Ojca i okolicznościach, w jakich zginął. Nic z tego. Pomyślałam – są złe czasy, trzeba przeczekać. No i wreszcie mamy III Rzeczypospolitą. Jadę ponownie. Podróż z Nowej Soli do pana Krila i pana Duchnickiego jest krótsza. Po drodze dowiaduję się, że obaj panowie już zmarli. W 1951 roku nie wiedziałam, że Duchnicki, który pojechał przewozić z moim ojcem leśniczego, mieszka w tej samej miejscowości, co Kril. Nie tracę nadziei, dopytuję się o najbliższe osoby. Od córki pana Duchnic-

kiego niczego się nie dowiedziałam, twierdzi, że nic jej ojciec nie mówił. Na szczęście żyje żona pana Krila. Napotkane nastolatki zwracają mi uwagę, że źle wymówiłam nazwisko, nie Kril tylko Król.

Owszem, pani Królowa poczęstowała mnie herbatą, pokazała jak mieszka. Na pytanie, czy wie coś o moim ojcu, powiedziała te słowa: W drodze powrotnej z Kopyczyniec, między Kobyłówekami a Młyniskami, wyszli na zakręcie nieznani osobnicy, jej męża i p. Duchnickiego przepuścili, a mego ojca zatrzymali. Po czym zaśpiewała króciutką zwrotkę piosenki, dając wyraz swej narodowej dumy. Tyle było rozmowy po wieloletnim spotkaniu z bliską sąsiadką z Janowa. Gdy dowiedziałam się od niej, że żyje jeszcze jej matka (rówieśnica mego ojca), znów zaczęłam pałać wielką nadzieją, ponieważ bardzo dobrze ją znałam, słyszała ze swej szczerości. Niestety wnuczka tej pani (która również urodziła się w Janowie), na moją wielokrotną prośbę telefoniczną o kontakt z babką (wyjaśniłam, dlaczego chcę się z babką widzieć) uniemożliwiła mi to.

Jestem za tym, żeby każdy naród miał swoją ojczyznę. I niech broni jej do ostatniej kropli krwi. Byłe nie stosował takich metod, jak ukraińska UPA i to nie tylko wobec narodu Polskiego.

Przez całe życie myślałam i wciąż myślę o tym, gdzie jest pochowany mój ojciec. Mam wielki żal do polityków w Polsce. Gdy w Ameryce zginęła garstka ludzi, to wielkie aj, waj. Współczułam tym, co żywcem się spalili, a ich rodzinom jeszcze bardziej. Prezydent Kwaśniewski wyraził gotowość przyjscia z pomocą Ameryce w zwalczaniu terroryzmu. A, że ponad pół wieku temu zginęło z rąk terrorystów dużo więcej Polaków niż Amerykanów, to nic nie robi w tej sprawie, żeby Ukraińcy przynajmniej wskazali, gdzie są ofiary pochowane. Prezydent ich jeszcze w imieniu Polaków przeprasza.

W tym momencie czuję, że jestem purpurowa ze wstydu. Na terenie Nowej Soli, gdzie mieszkam, pomników upamiętniających Polaków zamordowanych na Kresach przez OUN-UPA jeszcze nie ma.

Związek Nauczycielstwa Polskiego ogłosił z okazji 60-rocznicy wybuchu wojny konkurs historyczny pt.: "Rok 1939". Wzięłam w nim udział. Moje 43-stronicowe opracowanie pt.: "Moje opłakane dzieje dochodzenia do zawodu" zostało nagrodzone.

*Helena Drzewiecka-Szmigielska*  
*Warszawa*

## Przesiedlenie

Dzień 4 marca 1945 r. pozostał w pamięci mojej, mojej rodziny i wielu polskich rodzin, które opuszczały swoje rodzinne strony na zawsze.

Pochodzę z niedużego miasteczka Załóżce – leżącego w powiecie Zborów. W Załóżcach były cztery tury repatriacji: w styczniu, w marcu, maju i lipcu 1945 r.

My jechaliśmy w marcu. Moją rodzinę stanowiło osiem osób: dziadzio, babcia, ciocia, mama (córka dziadków), ja, dwie siostry i nasz kuzyn.

Przed wyjazdem chcieliśmy niektóre rzeczy z domu sprzedać, dziadek chciał też sprzedać: konie, wóz, sanie, ale nikt nie chciał kupić (może Ukraińcy mieli zakaz kupowania czegokolwiek od Polaków), bo i tak muszą to zostawić. Każda rodzina dostawała furmankę do przewiezienia zabieranych rzeczy na dworzec kolejowy. Można było zabrać tylko jedną krowę na rodzinę. Wszyscy zabierali tylko rzeczy osobiste i żywność. Mama piekła chleb, który był krojony i suszony. Mieliśmy całe worki kaszy gryczanej, jęczmiennej, mąki. Zabijane były kury, świnie – robiono z nich wyroby, topiono tłuszcz, wędzono. Prawie każda rodzina miała blaszany piecyk zwany kozą, który służył do gotowania i ogrzania się. Ustawiany był na peronie i wtedy można było gotować lub się ogrzać.

Ludność z Załoziec i okolicy zjeżdżała się na stację kolejową w Zborowie. Nikt nie wiedział jak długo będziemy czekać na podstawienie wagonów towarowych. Wagony zostały podstawione i zaczęliśmy się załadowywać. Załadowywanie ludzi wraz z rzeczami trwało kilka dni. Nasz pociąg był bardzo długi. Pamiętam, że siedziałam na tobołkach sięgających do okienka towarowego wagonu. W transporcie, którym jechała moja rodzina było 110 osób wraz ze swoimi rzeczami. Liczbę pamiętam, bo byliśmy liczeni przed wyruszeniem i drugi raz na granicy. Jechaliśmy przez Lwów i Rawę Ruską. Pociąg zatrzymał się we Lwowie na dłużej, ale poza

stacją. Ludzie ruszyli na zakupy, aby wydać ostatnie pieniądze, gdyż po przekroczeniu granicy nie miały one żadnej wartości.

Gdy transport ruszył ze Lwowa to zatrzymał się dopiero w Rawie Ruskiej, gdzie były sprawdzane dokumenty. Naszymi dokumentami były karty ewakuacyjne, na których był spisany cały zastawiony majątek i wszystkie osoby z danej rodziny.

Wszyscy byliśmy bardzo wzruszeni i niektórzy płakali, gdy pociąg przekraczał granicę. Mieliśmy uczucie jak gdyby wyrzucono nas z naszych domów i drzwi zostały za nami zaryglowane – nie ma powrotu. Dojechalśmy do stacji Bełzec. Nasz pociąg odstawiono na bocznicy i musieliśmy się z niego wyładować.

W Bełczu był obóz koncentracyjny dla ludności żydowskiej, niedaleko dworca kolejowego. Przed wycofaniem się Niemców, obóz został zlikwidowany, my o tym nie wiedzieliśmy tylko czuliśmy silny odór rozkładających się ciał przywiewany wiatrem do naszego transportu.

Wyjazd z Bełzca na Zachód to także była gehenna w owych czasach. Pociągi były przeładowane, ludzie jeździli na dachach wagonów, na stopniach i na buforach. Mieliśmy kilka przesiadek i na dalsze połączenia czekaliśmy na stacjach po kilka godzin. Od Poznania do Gorzowa Wlkp. jechaliśmy pociągiem mniej przeładowanym, już mogliśmy zająć miejsca siedzące w przedziale. Byliśmy wszyscy bardzo zmęczeni i wszyscy usnęliśmy, gdy się obudziliśmy to naszych tobołków już nie było.

Wysiedliśmy na dworcu kolejowym w Gorzowie Wlkp. – miasto było wyludnione, gruzy leżały na ulicach. W mieście widać było żołnierzy armii czerwonej i jeńców włoskich. Strach było zostać w mieście i trudno było zdobyć jakąś żywność.

Pieszko poszliśmy do wsi Ciecierzycy, tam już byli Polacy, ze znalezieniem domu do zamieszkania nie było problemu. Najważniejszą sprawą była żywność. W okolicy pola wszystkie były uprawione, zboża dojrzały, rosły ziemniaki, w ogrodach były warzywa i owoce. Sąsiadka miała polską krowę, kazała przychodzić codziennie po mleko za darmo, bo w owym czasie trudno było o pieniądze. W tym czasie „modne” było słowo „szaber”, chodziło się po opuszczonych domach i każdy brał, co komu było potrzebne. Szukano także zakopanych skarbów.

Stopniowo zaczęto organizować życie społeczne. Powstawały szkoły, przyjeżdżał ksiądz raz w tygodniu odprawiać nabo-

żeństwa. W każdej wsi był kościół, w niedzielę ksiądz jeździł furmanką z jednego kościoła do drugiego. Nieraz nie zdejmował szat liturgicznych, aby na czas zdążyć do następnej miejscowości.

W roku szkolnym 1946/1947 rozpoczęłam z siostrą naukę w gimnazjum w Gorzowie Wlkp. Był to pierwszy rok działalności Państwowego Gimnazjum i Liceum Handlowego w Gorzowie Wlkp. Dyrektorką szkoły była pedagog z Poznania, ale nie pamiętam jej nazwiska. Naprzeciw szkoły mieścił się Caritas i młodzież korzystała tam z tanich posiłków. Caritas otrzymywała pomoc materialną z UNRA.

Pomału przyzwyczailiśmy się do nowych warunków życia. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że możemy spokojnie przespać noc bez strachu i obawy, że napadną nas banderowcy.

*Kapłun Franciszek  
Zamość  
Kapłun Józef  
Dzierżoniów*

## **Z Podola na Dolny Śląsk (wspomnienia nastolatków o repatriacji w 1945 r.)**

W 1945 r. miałem już 15 lat, brat 11 i dobrze pamiętam tzw. repatriację Polaków z Kresów Wschodnich. Mieszkaliśmy we wsi Białokiernica, pow. podhajecki, woj., tarnopolskie. Wieś leżała 6 km na wschód od Podhajec. Posiadała 428 zagród. 291 rodzin było czysto polskich; 76 rodzin ukraińskich, 60 mieszanych i 1 rodzina żydowska (właściciel majątku i gorzelni – p. Rotenberg). We wsi miały siedziby: gmina, parafia rzymsko-katolicka i greckokatolicka oraz czteroklasowa szkoła powszechna.

Sąsiednie wsie to: Nowosiółka, Michałówka, Brongelówka, Popławy, Zahajce.

Rodzice posiadali 8 morgowe gospodarstwo rolne. Mieszkaliśmy w murowanym domu z opoki, o wymiarach 14 m długości i 10 m szerokości, kryty blachą będzińską dach wysoki czterospadowy. Była też stajnia, stodoła, kierat, młockarnia, wialnia i inny potrzebny sprzęt rolniczy. Dom i zabudowania gospodarcze

zostały wybudowane w 1928 roku w ogrodzie dziadka Marcina Kapłuna (ur. 1870 r.).

Od niepamiętnych czasów żyli tu Polacy razem z Rusinami (Ukraińcami). 1/3 mieszkańców stanowili Ukraińcy, a 2/3 - Polacy. Było też dużo małżeństw mieszanych, ale do 1939 r. nie widać było różnic między mieszkańcami. Młodzi pobierali się patrząc czy dziewczyna lub chłopak ma morgi, czy będzie z czego żyć, a nie na to jakiej jest narodowości. Przestrzegali zwyczaju, że gdy Polak żenił się z Rusinką, to ślub odbywał się w cerkwi. Córki z takiego małżeństwa były Ukrainkami, a synowie Polakami. I odwrotnie, jeżeli Ukrainiec żenił się z Polką, to ślub był w kościele katolickim. Synowie byli Ukraińcami, a córki Polkami.

Dopiero II wojna światowa, polityka okupantów, poróżniła nasze narody. Ukraińskie podziemie spod znaku OUN – UPA już w 1943r. nasiliło akcje przeciw Polakom. UPA zaczęła mordować i palić wioski polskie. Nasila się eksterminacja inteligencji polskiej. W Białokiernicy zaczęło się od tego, że wypędzono pod groźbą śmierci siostry zakonne, które przed wojną pracowały w charakterze nauczycielek i wpajały dzieciom polskim patriotyzm. Udało im się szczęśliwie wrócić do macierzystego zakonu w Starej Wsi w woj. rzeszowskim.

W nocy widać było łuny ognia. Bez przerwy nawoływały Polaków do wyjazdu za Bug napisy na budynku siedziby gminy – “Za San Lasze, bo to nasze”. W 1944 r. na wiosnę Ukraińcy spalili Kolonię Dębiki, która znajdowała się za wsią Białokiernicą. Dokonali tego: Stefan Hryniak zwany “Barabolka”, Maksym Mediuch, Onufryj Mediuch, Baganiec i kilku Ukraińców z Kotuzowa. Ludność polska w Białokiernicy miała szczęście, że wokół wsi nie było lasów tylko urodzajne pola.

Nasilała się też eksterminacja wiejskiej ludności polskiej. Upowcy zamordowali Polaków we wsi Markowa, Gniłowody, Małowody, Panowice, Horożanka, Toustobaby i w wielu innych wsiach województwa tarnopolskiego. Ocaleni mieszkańcy uciekali do Podhajec i zamieszkali w pożydowskich domach. W biały dzień zabili Rafała Manasterskiego, który mieszkał w Łęczówce. Pojmali go, gdy wiózł z pola snopy zboża dla swej matki. Uprawdzili i za-

mordowali ks. Mariana Działarskiego z sąsiedniej parafii Bekerów koło Nowosiółki<sup>5</sup>.

Banderowcy zamordowali w Białokiernicy Jana Wiernika. Wiernik zamieszkiwał dom Franciszka Krosnowskiego. Krosnowscy wyjechali do Starej Wsi koło Leżajska. (Tam w klasztorze opatem był rodzony brat Franciszka Krosnowskiego). W opuszczonym domu chciał zamieszkać miejscowy nacjonalista Wołodymyr Soroka. Ale Wiernik nie chciał się usunąć, więc zapłacił śmiercią. Banderowcy zaplanowali uprowadzić i zamordować także naszego stryjka Stanisława Kapłuna (ur. 1918 r.). Był już wydany wyrok na niego. Dzięki kuzynowi Mikołajowi Demczukowi, który powiadomił go o tym, uratował się. Stryjek po kryjomu wyjechał do Starej Wsi w Rzeszowskie. Jego chrzestny Franciszek Rybiński wywiózł go na saniach przykrytego słomą, na stację kolejową w Podhajcach.

Zimową porą była próba porwania proboszcza ks. Józefa Szyca, ale młodzi Polacy i sąsiedzi narobili alarmu a interwencja gr.-kat. księdza, uniemożliwiła porwanie proboszcza. Na drugi dzień ks. Józef Szyca udał się do Podhajec. Ks. dziekan Stanisław Papkiewicz dał mu schronienie. Zimą 1945 r. umarł dziadek Marcin Kapłun. Aby dziadka pochować, ks. Szyca, przybył na pogrzeb z obstawą – byli to chłopcy polscy z tzw. “istriebitielnych batalionów”. Po ceremonii pogrzebowej odwieźli księdza do Podhajec. (W 1945 r. ks. Józef Szyca wyjechał na Ziemie Odzyskane i był przez długie lata proboszczem w Kamiennej Górze koło Wałbrzycha).

Z każdym dniem miejscowi banderowcy stawali się coraz bezczelniejsi i brutalniejsi. Już niczego ani nikogo nie obawiali się. W biały dzień zbierali datki na UPA, nie tylko od Ukraińców ale i od Polaków. Pamiętam, jak pewnego dnia przyszedł do nas Maksym Mediuch i mówi do naszej Matki. “Ciotko, zbieramy żywność i dary dla UPA, jeżeli chcecie przeżyć wojnę i wyjechać do Polski, to trzeba coś ofiarować”. Matka przestraszyła się, Ojca w tym czasie nie było w domu. Poszła, więc do komory nabrała mąki i krup, i w milczeniu podała banderowcowi. A on, gdy zobaczył w kacie beczułkę z serem, też ją zarekwirował dla “rizunów” z UPA. Zapytał jeszcze, czy posiada kozuch lub ciepły koc, bo w lesie wojakom jest zimno i trzeba im pomóc.

<sup>5</sup> 28 lutego 1945 r. (Przyp. Red.).



W początkach 1945 r. wiele polskich rodzin opuszczało swoje domy i gospodarstwa, przenosząc się do Podhajec, gdzie stacjonował garnizon wojsk sowieckich. Początkowo chowaliśmy się na noc - latem w zaroślach ogrodowych, w konopiach, w kukurydzy, w kartoflach, a jesienią i zimą w stodole lub w schronie w stajni. W końcu też uciekliśmy do Podhajec. Zamieszkaliśmy w budynku bez okien i drzwi, gdzie było zimno i hulał wiatr. Okna Ojciec pozabijał deskami, drzwi wstawił i uszczelniał matą. Z nami był też młody koń. My siedzieliśmy obok piecyka, żeby się trochę ogrzać. W dzień Ojciec zostawiał nas w mieście, a sam wracał na wieś, aby nakarmić krowy i świnie. Pod wieczór zjawiał się w Podhajcach. I tak męczyliśmy się prawie przez dwa miesiące.

W lutym 1945 r., już po konferencji w Jałcie, gdzie Churchill i Roosevelt, sprzedali nas Stalinowi zatwierdziwszy granicę na linii Curzona i pozbawili nas Kresów Wschodnich, sprawy polskie potoczyły się zupełnie inaczej.

Rozpoczęto przygotowania do tzw. repatriacji ludności polskiej z Podola i całych Kresów Wschodnich. Jedyнным sposobem na przeżycie zdawał się być wyjazd do Polski. W Białokiernicy władze radzieckie powołały Biuro Repatriacyjne, gdzie zapisywano się na wyjazd do Polski. W międzyczasie do Białokiernicy zaczęli przyjeżdżać i osiedlać się Ukraińcy wysiedleni z Polski, zza Buga. Nasze gospodarstwo wybrał sobie Łemko z okolic Krynicy Górskiej. Przyjezdni rozmawiali między sobą i z nami po polsku, bo po ukraińsku nie umieli płynnie mówić. Ten Łemko znał się na stolarce, bo poprosił naszego Ojca żeby mu zostawił kłoc lipowy. Ojciec nie sprzeciwiał się, podarował mu drzewo, pokazał swoje pole i życzył mu powodzenia.

Po zakończeniu wojny UPA chwilowo zaprzestała napadać i mordować Polaków.

Mama zaczęła piec suchary, suszyć ser i mięso na wyjazd.

Nasz wyjazd nastąpił w sierpniu 1945 r. Stacja załadunkowa znajdowała się w Kozowej pow. Brzeżany, gdyż w Podhajcach wycofujący się Niemcy zerwali szyny kolejowe, mosty i zniszczyli stację. Do stacji załadunkowej było 18 km. W początkach sierpnia Ojciec zwiózł część dobytku na stację, sklecił szałas, pokrył go słomą i ustawił w nim worki ze zbożem i mąką. Te budy drewniane chroniły nas przed deszczem i wiatrem. Warunki życia na stacji były bardzo uciążliwe. Ja jako najstarszy pilnowałem tego dobytku

na stacji, a Ociec pojechał do Białokiernicy aby przywieźć swoją matkę Marię i siostrę Józefę Lisiewicz z małym dzieckiem Szczepkiem oraz młodszego brata Kazimierza. Na trzeci dzień pojechał zabrać naszą Matkę Katarzynę, siostrę Helę i brata Józia. Mój brat opowiadał, że Mama trzykrotnie mdlała wyjeżdżając ze swojej zagrody.

To była istna tragedia, gdyż zegnała się po raz ostatni ze swoją matką Apolonią, która nie chciała jechać w nieznane. Pozostawała w Białokiernicy ze swoją starszą córką Anną, która wyszła za mąż za Ukraińca Pawła Medziucha i mieli pięcioro dzieci. Mama opowiadała Józiovi, jak jej starsza siostra Anna przyszła do nas w okresie dokonywanych mordów na ludności polskiej i powiedziała: "Katarzyno, oddaj mi wszystko co masz, bo Ty żyć nie będziesz". Matka nasza odpowiedziała "przecież mam córkę, dla Heli wszystko zostanie". Początkowo Mama miała żal do siostry, że tak powiedziała zamiast poradzić nam jak mamy się chować, aby uniknąć zamordowania.

Po blisko czterech tygodniach oczekiwania, podstawiono wreszcie kryte wagony i otwarte lory na sprzęt rolniczy. Do każdego krytego wagonu ładowano po cztery rodziny. Z nami jechała babcia Maria z synem Kazimierzem i córką Józefą Lisiewicz z małym dzieckiem, której mąż był na wojnie. Ponadto ciocia Bronisława Struś, (młodsza siostra Ojca) ze swoją rodziną, a czwartą była rodzina kuzyna Strusiów.

Cały dobytek, jaki pozwolono zabrać - to jedna krowa i jeden koń na rodzinę, kilka worków zboża, mąkę, kaszę, naczynia kuchenne, pościel, odzież i sprzęt rolniczy (pług, brony, wóz itp.). Strawę można było ugotować jedynie podczas postoju pociągu, na ognisku przy torach. Krowy i konie jechały w oddzielnych wagonach i myśmy je z bratem pilnowali i karmili. Sprzęt rolniczy jechał na otwartych lorach.

Nasz transport odszedł z Kozowy w pierwszej dekadzie września 1945 r. udając się w kierunku Lwowa, Drohobycza i Chodorowa. Po przekroczeniu polsko-sowieckiej granicy w Przemyślu, trasa naszej podróży wiodła przez Krosno, Jasło, Nowy Sącz, Kraków, Katowice, Opole, Nysę, Jawornik Świdnicki (dzisiaj Jaworzyna Śląska), Legnicę, Jawor i Bolków. Nasz transport był pierwszym, który przybył do Bolkowa. Część repatriantów stanowili mieszkańcy z Białokiernicy, a część z Podhajec. Wiadomo, że w

tej podróży nie było mowy ani możliwości utrzymania higieny. Zatakowały nas wszy, które najbardziej dały się nam we znaki. Transport poruszał się w ślimaczym tempie. Podróż trwała prawie miesiąc. Nasz skład był długo przetrzymywany na bocznicach na wszystkich większych, węzłowych stacjach. W czasie jazdy i postojów widzieliśmy jak Rosjanie transportowali na wschód: bydło, konie, różne maszyny oraz jeńców wojennych i te pociągi miały pierwszeństwo.

Gdy w końcu dotarliśmy do Bolkowa k. Jawora, powiedziano nam kategorycznie, że musimy się tu rozładować, bo dalej nie pojedziemy. Po trzech dniach ludność podhajecka osiedliła się w Bolkowie, a białokiernicka rozjechała się po okolicznych wioskach, jak: Wierzchosławice, Wolbromek, Domanów, Mysłów, Kaczorów, Lisienice, Wiadrów, Płonina, Nadgorzewice, Kwietniki, Jastrów i inne.

Ojciec nasz znalazł dużą gospodarkę w Rochowicach Starych, mieszkał tam ze swoją rodziną bauer Emil Bergier. Był wzorowym i zamożnym gospodarzem. W stajni było pełno krów, świń, cztery pary koni i dużo ptactwa. Niemiec żywy inwentarz przechowywał w lesie i dlatego nic mu Rosjanie nie zarekwirowali.

Sołtys przydzielił nam tę gospodarkę. Ale przed naszym przybyciem zajęł ją kawaler wywieziony z kieleckiego na roboty do Niemiec. Stanisław Kuldys. Gospodarstwo zajęł dla swoich rodziców i czekał na ich przyjazd. Sytuacja się skomplikowała. Ojciec i Matka nie byli zadowoleni – chcieli sami gospodarzyć, nie ze współnikiem. Po miesiącu Ojciec dowiedział się, że jest wolna gospodarza w Rochowicach. Także z tym był problem, gdyż p. Szyszka zajęł gospodarkę, ale wyjechał do centralnej Polski i długo nie wracał. Ojciec pojechał do Jawora do PUR-u, przedłożył kartę ewakuacyjną i sprawę gospodarza załatwił pomyślnie. Po 3 miesiącach wrócił p. Szyszka, ale rodzice go nie wpuścili, gdyż nie miał aktu nadania gospodarza. Nawiasem mówiąc był fotografem, a nie rolnikiem. Prawdę mówiąc, to gospodarza na Odzyskanych Ziemiach Zachodnich należały się wysiedleńcom z Kresów Wschodnich, za pozostawione tam przez nich, a nie dla ludności z centralnej Polski, ale w praktyce bywało inaczej.

Była to duża gospodarza, bo aż 18 ha. Przez rok mieszkała jeszcze z nami właścicielka, stara Niemka Bider z córką Lotte. Była to schorowana wdowa, której synowie nie wrócili z frontu. Dom był

duży, przykryty dachówką, w jednej połowie mieszkała Niemka z córką, a w drugiej my. Stodoła była kryta słomą. Właścicielka gospodarza miała tylko jedną krowę i starego konia, gdyż kilkanaście sztuk bydła zarekwirowali Sowietzi. My przywieźliśmy swoją krowę i klacz ze źrebakiem. I tak zaczął gospodarzyć Ojciec na dolnym Śląsku. Pole było górzyste i kamieniste, nie taki czarnoziem jak na Podolu. W Starych Rochowicach osiedliło się kilka rodzin z Białokiernicy. Spotykali się krajanie w niedzielę przed kościołem i wspominali ciężkie czasy. Matka często po nocach płakała, nie mogła przyzwyczaić się do nowego środowiska. Tęskniła za swoim przedwojennym domem, za pięknym ogrodem z kwiatami. Początkowo "centralniacy" mówili na nas, na tych, którzy przyjechali z Kresów Wschodnich "Ukraińcy".

Życie na Dolnym Śląsku zaczęło się powoli stabilizować. Już nie trzeba było ukrywać się przed banderowcami, można było spokojnie przespać noc.

Latem 1946 roku wszystkich Niemców wysiedlono z Rochowic. Punkt załadunkowy był w Jaworze. Z całego powiatu Niemcy szli tam piechotą, ciągnąc małe wózki z podręcznym bagażem. Ojciec nasz był na tyle wrażliwym człowiekiem, że niezmiernie współczuł przesiedleńcom i nie bacząc na protesty ormowców, postanowił własną podwodą odwieźć gospodynię i jej córkę do punktu zbiorczego w Jaworze. Ormowcy krzywo patrzyli na ten gest ze strony Ojca, a nawet dogadywali, że za bardzo hołubi Szwabów. Ale nie mogli mu tego zabronić.

W jesieni 1946 roku przybył nowy transport Polaków zesłanych na Syberię. Kilkanaście rodzin trafiło do Rochowic. Trzeba było ich upchnąć po większych gospodarzach. I tak trafił do nas współnik. Trzeba było żyć i współpracować długie lata na jednym podwórku i zabudowaniach. Stopniowo zaczęły się niesnaski, kłótnie z byle powodu i podejrzenia. Matka ciągle z tego powodu płakała i modliła się o powrót do rodzinnej Białokiernicy. Później, w 1950 r. powstała Spółdzielnia Produkcyjna i gospodarzy zagnali strachem do polskiego kołchozu.

Rodzice ciężko to przeżyli, bo jako dobrzy gospodarze byli dyskryminowani i "nieprawowierni". Potwornie męczyli się w tej spółce, bo wspólna stodoła, obora, chlewnia i dom. Z początku myśleli, że współnik znajdzie sobie inną gospodarza, ale on tego

nie zrobił, było mu tu wygodnie i czekał żeby Rodzice nasi się wyprowadzili.

W końcu Matka postawiła na swoim. Miała trochę uskładanych w banku pieniędzy, powiedziała Ojcu, że tę gospodarkę zdamy na skarb państwa za emeryturę – rentę i kupimy jednorodzinny domek. Ktoś akurat wyjeżdżał ze wsi i sprzedał im taki domek. Było dużo radości i czekali chwili, żeby się przenieść. Jak tylko zdali gospodarkę, przenieśli się bez żalu do własnego domku w 1972 roku. I tu jeszcze kilkanaście lat przeżyli w spokoju. (zmarli w 1991 r).

Rodzice cieszyli się, że ich synowie pokończyli średnie i wyższe uczelnie, zamieszkali w mieście, założyli własne rodziny i uczciwie pracują. Nie mniej do końca swego żywota tęsknili za Podolem, za swoją ojcowizną. Okazało się, że wielu dawnych mieszkańców Białokiernicy marzyło o powrocie na Podole, gdzie ich dziadowie i pradiadowie mieszkali od wieków.

*Kazimierz Simon  
Bielsko – Biała*

## **Z mojego pamiętnika - “repatriacja” w 1945 r.**

20 stycznia 1940 r. zostałem ostrzeżony przez znajomego fryzjera (narodowości żydowskiej, nazwiskiem Kohn), abym natychmiast “zniknął” z miasta. Podkreślił, że sprawa jest poważna, ale nic więcej nie chciał ujawnić.

Następnego dnia wyjechałem z żoną Kazimierą do Lwowa, pozostawiając w Czortkowie ładne, zagospodarowane mieszkanie.

Po oswobodzeniu Lwowa od Niemców w dalszym ciągu pracowałem w Instytucie Sanitarno-Bakteriologicznym, aż do końca 1944 roku..

W drugiej połowie styczniu 1945 r. dozorca domu powiadomił mnie o wywiadzie, jaki przeprowadził z nim milicjant na temat mojej osoby.

Wspomniany dozorca był podczas okupacji niemieckiej w szeregach AK, stąd potraktowałem jego informację jako ostrzeżenie. Nie poszedłem więc do domu, ale nocowałem u swojego szwagra A. Hassa. Do chwili wyjazdu ze Lwowa (w lutym 1945 r.) codziennie “kwaterowałem” w innym miejscu, dwa razy nawet w towarzystwie koni w stajni.

Następnego dnia po ostrzeżeniu przez dozorcę, udałem się do biura Pełnomocnika, gdzie wydawano “karty ewakuacyjne” na wyjazd do Polski. Dzięki pomocy znajomego członka Komisji otrzymaliśmy z Rajfem potrzebne dokumenty jeszcze w tym samym dniu.

“Repatriacja” do Polski odbywała się koleją. Obawiając się kontroli NKWD, zaryzykowałem podróż drogą kołową, końmi. Podobnie postąpił Rajf. Wprawdzie podróż koleją była wygodniejsza, a odjeżdżających żegnano we Lwowie nawet z udziałem orkiestry, ale przed odjazdem pociągu sprawdzano listy pasażerów, co w naszym przypadku nie było wskazane.

Sprzedaliśmy resztki naszego skromnego dobytku za marne ruble i kupiliśmy po parze koni i małym “sztrajferku”. Dopomogli nam uczynni ludzie, furman – Ukrainiec i kowal – Polak. Z urzędu parafialnego otrzymaliśmy przez ks. Stanisława Prasola list polecający do proboszczów na trasie naszego przejazdu, z prośbą o udzielenie wysiedlonym pomocy.

Pojechaliśmy z rodziną Rajfów na oddzielnych wózkach. Na moim prócz bagaży i paszy dla koni, jechały: matka Ludwika, szwagierka Zofia Kurdyban i żona Kazimiera, a ja powoziłem. Na drugim – Mieczysław Rajf z żoną Józefą i półtoraroczną córką Marysią.

Mieliśmy poważne obawy przed kontrolą graniczną w Medyce. Obyło się jednak bez kłopotów, poza lekkim podnieceniem nerwowym. Zatrzymaliśmy się około 100 m przed szlabanem. Znając lepiej język ukraiński, poszedłem z dokumentami do budki kontrolnej. Młodemu lejtnantowi zameldowałem, że jedziemy do Polski i okazałem dokumenty, na które zaczął padać śnieg. Zaproponowałem przejście do “kancelarii”. Tam wyciągnąłem z kieszeni kożucha szklanki i butelkę mocnej wódki, i chociaż lejtnant bronił się, że jest na służbie, wypiliśmy obaj “na tę okazję” uderzając dla fasonu szklankami.

Na pożegnanie lejtnant zasalutował, ja zawołałem na konie wioooo! i zniknęliśmy z sowieckiego terenu, jak na razie nazywaliśmy naszą ziemię. Do dyspozycji sympatycznego lejtnanta pozostawiłem pod stołem 3 butelki wódki. Myślę, że szybko je odnalazł.

Gdy znaleźliśmy się za szlabanem, od razu poczuliśmy się pewniej. W Przemyślu Wojsko Polskie zaopiekowało się nami do rażnie, bo wjechaliśmy na teren koszar. Zaprowadzono nas do żołnierskiego kotła, a ludność cywilna dostarczyła dla dziecka Rajfów żywności i mleka.

Nasza jazda końmi ciągnęła się długo, aż do kwietnia 1945 r. Ostatnim miejscem tej "wycieczki" było miasto Stęszew k. Poznania. Przedtem przymusowy trzytygodniowy postój wypadł nam w Tarnowie, ponieważ koń skaleczył nogę i okulał. Gościńczę znaleźliśmy u sióstr zakonnych. Z Rajfami rozstaliśmy się w okolicy Opatowa. Podczas podróży mieliśmy różne kłopoty, ale dzięki pomocy ludności, władz miejscowych i milicji, zostały usunięte. Z dużą życzliwością odnieśli się do nas Poznaniacy, który sami wiele ucierpieli od Niemców. Zaopatrzenie w żywność dla nas i paszę dla koni mieliśmy wystarczające. Dużą pomocą na trasie naszej podróży okazywały nam wówczas Rady Robotnicze, komisarze majątków, milicja, wójtowie i burmistrzowie małych miast. Z noclegów korzystaliśmy głównie na probostwach, niekiedy we dworach lub prywatnych mieszkaniach dobrych ludzi.

Przejeżdżaliśmy przez następujące miejscowości: Gródek Jagielloński, Lacka Wola, Medyka, Przemyśl, Jarosław, Przeworsk, Łańcut, Przybyszówka, Sędziszów, Dębica, Pilzno, Tarnów, Otwinówka, Boryżewo, Korczyn, Opatowiec, Chmielnik, Niechłowice, Smyków, Ruda Maleniecka, Żarnów, Piotrków, Wielopole, Buczek, Szadek, Kalisz, Witaszyce, Brodowa, Kurnik, Poznań – do Stęszewa. Małych osiedli i wiosek nie wymieniam, ale każdy nocleg wypadł nam w innej miejscowości. Podróżą byliśmy bardzo wyczerpani, a ja dodatkowo musiałem obsługiwać nasze konie.

Do Stęszewa skierował nas Państwowy Urząd Repatriacyjny w Poznaniu. Władze tego miasteczka otoczyły nas troskliwą opieką.

Raz jeszcze serdecznie dziękuję w tym miejscu za życzliwość i przychyłność mieszkańców. Nasze konie oddano pod opiekę roszarni Inu, nam zaś przydzielono tymczasową, ale wygodną

kwaterę, zapewniono wyżywienie i zaproponowano osiedlenie na stałe oraz pracę w miasteczku.

W planach naszych było jednak zamieszkanie w Gdyni lub w Gdańsku. Zaproponowano nam tam pracę w Porcie, ale były trudności z zamieszkaniem. Propozycja ta nie odpowiadała mi, wobec czego wyjechaliśmy do Krakowa. Koniec wojny 8 maja 1945 zastał nas na stacji kolejowej w Bydgoszczy, oczekujących na pociąg do Katowic. Silna detonacja i strzelanina wzburzyła oczekujących na dworcu pasażerów, Kiedy sprawa się wyjaśniła wybuchł entuzjazm i radość nie do opisanania. Koniec wojny! Koniec wojny!

Dojechaliśmy z żoną do Krakowa. Tu zgłosiłem się do wice wojewody, który po porozumieniu z PUR skierował mnie do Białej Krakowskiej na stanowisko kierownika Punktu Etapowego PUR, gdzie w końcu awansowałem na naczelnika tej instytucji.

Urzędowanie w Białej Krakowskiej objąłem 21 maja, prowadząc szeroko zakrojoną akcję osiedleńczą na Ziemiach Odzyskanych.

Ze Stęszewa sprowadziłem członków mojej rodziny i konie. Władze stęszewskie przydzieliły nam cały wagon kolejowy, do którego załadowaliśmy wóz konie, a rodzinę zaopatrzone w żywność na dwa, a nawet dalsze dni na nowym miejscu osiedlenia.

Doprawdy wspaniali ludzie byli w tym Stęszewie.

*Ks. Kazimierz Orkus  
Gdańsk Wrzeszcz*

## Ekspatriacja

Ostatnio w naszej wsi Wołczuchy zaczęto głośno mówić o przesiedleniu. Odżyła sprawa "Linii Curzona". Polacy mają przesiedlić się na zachód od tej linii, a Ukraińcy na wschód. Ale która to ma być linia, bo były trzy. Jedna na Sanie, druga na linii Bug – Strypa, trzecia na Zbruczu. Od początku my, Polacy nie łudziliśmy się. Na pewno będzie pierwsza ta na Sanie. I tak się stało, jak przewidywaliśmy. Więc my musimy przenieść się za San.

Gdy obecnie ludzie żyjący na zachodzie Polski słuchają o naszym przesiedleniu, wydaje im się, że to wszystko odbywało się normalnie, bez jakichś wielkich wstrząsów. Tymczasem było inaczej. Dla nas nie była to sprawa łatwa. Przeżywalismy te przenosiny z wielkimi trudnościami, kłopotami, narażeni byliśmy na niebezpieczeństwa, nawet na Sybir.

Gdy ogłoszono przesiedlenie, władze sowieckie zaczęły różnymi swoimi metodami wywierać na Polaków wielki nacisk, by jak najprędzej wynieśli się. Początkowo ludzie nie chcieli wyrzekać się swojej ojcowizny, swojego pola, swoich domów. Odkładali wyjazd na później. Nasz biskup Baziak też nie zezwalał księżom na wyjazd. Natomiast władze sowieckie domagały się wyjazdu Polaków.

Zaczęła wytwarzać się dla nas sytuacja kłopotliwa i groźna. Banderowcy rozpoczęli masowe napady i morderstwa. Płonęły całe wsie, ginęli ludzie, strach padł na nas. Bolszewicy zaczęli grozić, że jeśli Polacy nie chcą jechać na zachód, to łatwo mogą pojechać na wschód – tj. na Syberię. Zaczęto na różny sposób nękać Polaków. Posyłano ich do różnych przymusowych robót. Młodzież polską wysyłano do kopalni węgla w Donbasie, skąd mało kto wróciło. Wszystkich Polaków, którzy mieli konie wysłano w Wigilię Bożego Narodzenia spod Lwowa w Karpaty do wożenia drzewa. Na koniec do każdego polskiego domu dokwaterowano rodzinę ukraińską, sprowadzoną z za Sanu. Życie w takich warunkach było wprost niemożliwe i ludzie zaczęli myśleć o tym, aby jak najprędzej wydobyć się z "bolszewickiego raju".

Ale jak fałszywe i zdradliwe było postępowanie władz bolszewickich! Gdy stało się jasne, że ludzie zdecydowali się wyjeżdżać, władze zaczęły wyszukiwać różne trudności i wyjazd utrudniać. Chodziło im tylko o jedno, by wydusić od Polaków jak najwięcej łapówek.

Aby legalnie wyjechać za San do tzw. Polski Ludowej, czyli komunistycznej, należało uzyskać odpowiednie dokumenty. Chodziło o oszacowanie wszystkiego, co nasi ludzie po sowieckiej stronie zostawiają, a więc pola, zasiewy, domy, maszyny, meble.

Te dokumenty wystawiał Komitet Repatriacyjny, w którym byli przedstawiciele Polski i władz sowieckich. Sowieccy przedstawiciele to jakby sam kwiat łajdaków i szubrawców. Stałe odkładali swój przyjazd, aby te dokumenty wydać. Im większe groziło nam

niebezpieczeństwo, szczególnie od banderowców, oni wyszukiwali przeszkody, by nas zmusić do opłacenia się i większych łapówek.

Dopiero po słonych łapówkach zjechała do nas ta komisja w początkach maja 1945 roku i rozpoczęto wydawanie dokumentów. Były to więc ostatnie przygotowania do przesiedlenia i niewiele brakowało bym w tych dniach nie został aresztowany.

Na szczęście był w komisji pewien pułkownik, człowiek starszy, uczciwy i inteligentny, zdaje się jeszcze z formacji carskiej. Z tym pułkownikiem zaprzyjaźniłem się i on mi pomagał w trudnych sytuacjach.

W ostatnich dniach przed wyjazdem zaistniały dwa wydarzenia, które mogły skończyć się dla mnie źle. Według naszych pojęć były to wydarzenia błahe, ale w oczach sowieckich urzędników kwalifikowały się do miana niebezpiecznych przestępstw.

Otóż było tak. W pewnym domu urzędowała owa komisja - Komitet Repatriacyjny, wydający Polakom potrzebne dokumenty. Przed domem była duża łąka, na której stała gromada ludzi oczekujących na swoją kolej w ich odebraniu. W pewnym momencie poproszono mnie do komisji, bym coś ludziom ogłosił. Nie chciało mi się iść do tej gromady, więc krzyknąłem, aby podeszli do mnie. Gromada rzuciła się do mnie biegiem. Członkowie prześwietnej komisji, widząc biegnących ludzi w kierunku domu gdzie urzędowali, wpadli w panikę myśląc, że to jakiś zamach. Zabarykadowali się i z pistoletami w rękach gotowali się do obrony. Uśmialiśmy się porządnie, podziwiając odwagę sowieckich rycerzy, ale nie pomyśleliśmy o skutkach. Oto telefonicznie powiadomiono władzę wyższą, że ksiądz ma wielki wpływ na ludzi, a to w mentalności sowieckiej oznaczało wielkie niebezpieczeństwo dla sowieckiego państwa. Przyszła od władz odpowiedź, aby księdza aresztować gdy coś takiego się powtórzy. Mój znajomy pułkownik zaraz do mnie przyszedł, opowiedział o wszystkim i przestrzegł, abym był ostrożny i nie narażał się.

Dla nas śmieszny epizod, a dla Sowietów podstawa do represji.

Na zakończenie pobytu w raju sowieckim, tuż przed samym odjazdem, miało miejsce jeszcze jedno, groźne dla mnie zdarzenie.

Po załatwieniu wszystkich formalności czekaliśmy na transport. Na naszą stację w Rodatyczach zjechał pociąg złożony z

wagonów towarowych. Z sąsiedniej wielkiej wsi mieszkańcy wyjechali już poprzednimi transportami, z wyjątkiem kilkunastu rodzin. Te rodziny załadowano teraz do owego pociągu, ale połowa wagonów była jeszcze pusta. Władza bolszewicka poleciła zapelnąć resztę wagonów częścią moich parafian. I stało się to, czego nikt nie spodziewał się. Moi parafianie sprzeciwili się temu zarządzeniu. Byli to ludzie bardzo zadziorni i oświadczyli, że nie pozwolą nas rozdzielać, że wszyscy pojedą razem, a że byli bardzo do mnie przywiązani dodali, że wszyscy pojedą razem z proboszczem, albo nikt nie pojedzie. U bolszewików taki opór był groźnym wykroczeniem, buntem, kontrrewolucją, a więc czynem wymagającym najwyższej kary.

Zaraz też powiadomiono telefonicznie o stanowisku tutejszej ludności i w odpowiedzi przyszedł nakaz aresztowania księdza oraz tych, którzy buntowali się gdyby puste wagony odjechały.

Zaraz też przybiegł pułkownik, powiadomił mnie o całej awanturze i radził by jakoś wybrnąć z tej sytuacji, bo tym razem następstwa mogą być groźne. Ale i z tej opresji wyratował parafię i mnie Dobry Bóg. Mała sąsiednia wioska pod lasem – Bar, obawiając się napadu banderowców, chętnie załadowała się do tych pustych wagonów i nas wyratowała.

Następnym transportem opuściliśmy wreszcie ten dziwny “kraj wolności”, w którym za każde głupstwo wolność się traciło, a z nią nieraz i życie. Przy Bożej więc pomocy dotarliśmy szczęśliwie do końca naszej podróży, do Koźla nad Odrą.

Tu nas wyładowano i zakwaterowano tymczasowo w pustych poniemieckich domach. Ja prędko zdobyłem pracę w miejscowym gimnazjum, gdzie oprócz religii wykładałem także przedmioty “świeckie”.

*Janina Mikluszek-Hrycekowa*

## Wspomnienia z “podróży” w jedną stronę<sup>6</sup>

<sup>6</sup> Skrót wspomnień, które ukazały się w Spotkaniach Świrzan nr 4 (54) Lubin 2003.

Śledząc wspomnienia Kresowian, tj. Polaków, którzy do 1945 r. zamieszkiwali tereny na wschód od Sanu, zauważyłam, że gdy opisują swoje przeżycia, to nawiązują do okresu okupacji rosyjskiej i niemieckiej. Natomiast wydaje mi się, że ludzie tych najczęściej doświadczały chwile, gdy często w pośpiechu, bez należytego rozeznania, musieli opuszczać własne domy i udawać się na tzw.. zachód. Tak też było w przypadku moim i naszej rodziny.

Mieszkaliśmy w Przemyślanach, przed wojną powiatowym miasteczku w województwie tarnopolskim. Dom nasz usytuowany był naprzeciwko kościoła i dwóch szkół powszechnych (męskiej i żeńskiej). W czasie okupacji niemieckiej stacjonował w nich Wehrmacht. W maju 1944 r. zaszedł do nas Niemiec (wojskowy), który wcześniej mieszkał u nas na kwaterze. Poprosił moją Matkę i powiedział, że wojsko cofa się i oni z Przemyślan wyjeżdżają. Dlatego radzi nam, aby jak najszybciej wyjechać na zachód, gdyż w związku ze zbliżającym się frontem, fatalną sytuacją polityczną oraz domem zlokalizowanym w pobliżu szkół, w których skoszarowane było wojsko, jesteście szczególnie zagrożeni. Niezależnie od tej rady, prowadząc rozmowę z Matką i znając trudne położenie Polaków przekazał jej kilka ręcznych granatów. Nauczył ją obsługiwać się nimi i twierdził, że mogą przydać się do obrony własnej. Przestraszona Matka zrelacjonowała tę rozmowę Ojcu, po czym Rodzice podjęli decyzję o natychmiastowym wyjeździe na zachód. Powstał jednak problem, dokąd jechać? Nie mieliśmy nikogo na zachodzie Polski, ani krewnych, ani bliskich znajomych, do których można by się udać. Tymczasem w domu było nas coraz więcej, bo schronił się tu jeszcze mój starszy brat nauczyciel, z żoną i dwójkiem małych dzieci (4-ro i 2-letnie).

Tułaczka rozpoczęła się od wykupienia wagonu towarowego. Spakowaliśmy trochę rzeczy. Ojciec, doświadczony podczas I wojny światowej pilnował, abyśmy wszyscy zabrali swoje najważniejsze dokumenty, metryki, dyplomy itp. Reszta, tj. kilimy, meble, maszyna do szycia, sprzęt gospodarczy itd. zostały, bo przecież wierzyliśmy, że wkrótce wrócimy z powrotem do siebie. Niestety okazało się, że podróż odbyła się tylko w jedną stronę. Była straszna, wyczerpująca i długa.

Wagon podzieliliśmy na dwie części. W jednej my z tobołkami, w drugiej nasza żywicielka i trochę karmy dla niej. Na margi-

nesie chciałabym dodać, że Ojciec nie był rolnikiem, lecz pracownikiem poczty. Byliśmy jednak liczną rodziną (siedmioro dzieci) i właśnie dlatego Matka zawsze dbała, żeby dla dzieci było własne mleko, tym bardziej, że nie tylko dzieci, ale i wnuki jechały (Lesław i Antoni) z nami. Stąd wieźliśmy własną krowę.

Skierowaliśmy się w stronę Mielca, bo z oddalonej od niego o 20 km miejscowości Otałęż pochodził nasz sąsiad, Pan Głowacki, który chroniąc się przed aresztowaniem uciekł z Przemyślan w 1939 r., natychmiast po wkroczeniu Sowietów. Ta podróż trwała 8 dni, w czasie których raz nas z wagonem odstawiono na boczny tor i potem znowu dołączano do składu pociągu, a czasami trzeba było czekać na dołączenie całą noc. W końcu dojechaliśmy do Mielca i wagon ostatecznie odstawiono na boczny tor, nakazując jak najszybsze jego opuszczenie. Tak też uczyniliśmy. Zmęczeni, zmartwieni, wyszliśmy z "całym dobytkiem", lecz tu nikt na nas nie czekał. Pytanie: - Co dalej? I tu niespodziewanie zjawił się były burmistrz przemyślański, dr Stelmachowicz, który jak się później okazało mieszkał w Mielcu, o czym nie wiedzieliśmy. Od kogoś dowiedział się o koczujących na dworcu uciekinierach z Przemyślan i przyszedł do nas z żoną, która przed wojną była nauczycielką gimnazjalną i uczyła mnie logiki oraz propedeutyki w ostatniej klasie ośmioklasowego gimnazjum w Przemyślanach. Oczywiście serdecznie powitali moich Rodziców, wszystkich nas nakarmili i postarali się o samochód, którym dotarliśmy do Otałęży. Odszukaniliśmy w niej Państwa Głowackich, którym siedziało "na głowie" już kilka rodzin będących w podobnej jak my sytuacji. Mimo to Pan Głowacki natychmiast się nami zajął i podjął się trudu znalezienia jakiegoś locum dla nieoczekiwanych gości. Nie było to łatwe zadanie. W końcu umieścił nas w małym domku u pani Rżany. Byliśmy bardzo szczęśliwi, że mamy skromny kącik. Niestety, nie trwało to długo.

Już w sierpniu, jak grom z jasnego nieba, spadła wiadomość, że front rosyjsko-niemiecki zatrzymał się na niewielkiej rzece Breń przepływającej nieopodal. Znowu przyszło nam uciekać, lecz tym razem nawet nie zdążyliśmy zabrać swego skromnego dobytku. Uchodząc z życiem zatrzymaliśmy się we wsi Surowa, wcześniej koczując dwa dni w lesie, gdzie jedynym naszym pożywieniem były leśne owoce. Następnie do Surowej zajęchała sowiecka kuchnia polowa. Jeden z kucharzy, do którego zwróciliśmy

się o pomoc, mówił dobrze po polsku. Dla nas najważniejsze jednak było to, że przez kilka dni dawał naszej rodzinie zupełną koflę i chleb. Po kilku dniach dowiedzieliśmy się, że domek pani Rżany, w którym mieszkaliśmy i opuściliśmy pod gradem kul, spalił się doszczętnie. Tak więc straciliśmy dosłownie wszystko, pozostaliśmy w jednym ubraniu. Zupełnie straciliśmy głowę, nie wiedząc co dalej robić. Zdjęłam z ręki zegarek i pierścionek, poszłam do oficera sowieckiego i przekazując mu te ostatnie precjoza prosiłam o pomoc w wydostaniu się z tego "piekła". Udostępnił nam samochód, którym mogliśmy dojechać do głównej drogi, a później kolejnym samochodem chcieliśmy dotrzeć do Dobromila, rodzinnej miejscowości mego męża. Tym razem powiodło się nam, lecz po drodze dowiedzieliśmy się niestety, że Dobromil (mimo, że położony zaledwie o parę kilometrów od Przemyśla) jest już za granicą. Dlatego wysiedliśmy w Przemyślu, bo stąd pochodził kolega męża z Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, współpracownik prof. Weigla, Julian Końcowicz. Odszukaliśmy go, przyjął nas serdecznie, lecz nie mógł nam zapewnić miejsca. Pozwolono jednak moim Rodzicom, mnie z mężem i najmłodszej mojej siostrze przez parę nocy spać w pobliskiej małej szopce znajdującej się obok domu.

Następnie udałam się z mężem do Urzędu Miejskiego, do sekretarza Rady miejskiej w Przeworsku. Przyjął nas bardzo nieprzychylnie, mimo, że mąż pokazał mu posiadane dokumenty, świadczące o pracy początkowo na Uniwersytecie Jana Kazimierza, a potem profesora gimnazjalnego w Przemyślanach. Nie było mowy o tym, abyśmy mogli gdzieś zostać zakwaterowani. "Goli i bosci" udaliśmy się do wsi Żurawiczki, gdzie w sposób ludzki, w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku, przyjęła nas prosta lecz szlachetna kobieta – pani Jamrożyna. Przyjęła nas bezinteresownie z otwartym sercem i nakarmiła. Zaproponowała Rodzicom nocleg w mieszkaniu, a mnie z mężem i najmłodszej siostrze Józefie w szopie. Przez kilka kolejnych dni codziennie udawaliśmy się z mężem do Przeworska w poszukiwaniu mieszkania i pracy.

Któregoś dnia przypadkowo spotkaliśmy mgr. Jana Ćwierza, dobrego kolegę męża ze studiów, który zdążył już zorganizować gimnazjum, była bowiem połowa września 1944 r. I tak zaczęło się nasze nowe trudne życie. Dyrektor Ćwierz stwierdził: "Podział godzin już ustalony, godziny lekcyjne rozdzielone, bo przytuliłem kilkunastu profesorów kresowych, ale jednak trzeba wam coś

przydzielić”. I tak zrobił. Zaczął mój mąż pracować, lecz dochodził ciągle z Żurawiczek oddalonych o 7 km od Przeworska. Tymczasem zbliżała się zima, a my wciąż poszukiwaliśmy jakiegoś kąta. I tu zetknęliśmy się znowu z serdecznością dyrektora Ćwierza, który pozwolił nam sprowadzić się do malutkiego pokoiku w dawnej obozowej Lubomirskiego naprzeciw parku. Tworzono tu internat dla uczniów z okolicznych wiosek, w którym mąż został wychowawcą i następnie pełnił tę funkcję nieprzerwanie do 1976 r.

Wracając do 1944 r. chciałabym wspomnieć, że Rodzicom moim także udało się znaleźć mały kącik u przezacnej pani Zofii Wojtynowej na przedmieściu Przeworska.

*Maria Majcher-Tarniowa*

## Wspomnienia z Zaboжек

Powoli okolice wyludniały się. Wyjechali Polacy z Chodaczkowa, który rusczy zniszczyli “katuszami”. Hitlerowcy zabili tam 320 osób w czasie próby odbicia Niemców z oblężonego od 6 tygodni Tarnopola. Zniszczyli też Tarnopol w 80%. Już wyjechali Polacy z Kozłowa, który Niemcy spalili w 75% w same święta Wielkanocne. Już wyjechali Polacy z Poczapiniec i Draganówki, które też były bardzo zniszczone w czasie frontu. Tamtędy uciekali Niemcy z Tarnopola, którym rusczy zostawili otwartą drogę przez most w Tarnopolu na Zagrobeli, a potem tłukli ich na całej trasie ucieczki, aż do Zaboжек, gdzie ich wykończyli. Wszędzie na polach i łąkach było pełno grobów niemieckich.

Ludzie z Zaboжек wyjechali ostatni z rejonu Kozłowa. Ale zanim dali nam wagony, musieliśmy czekać dwa tygodnie na stacji w Tarnopolu. Wyjechaliśmy z domu 16 października 1945 roku, a przywieźli nas do Żar 5 grudnia. Podróż trwała 7 tygodni. Jak do Australii. Z załadowaniem też były problemy. Na jedną odkrytą lorę wyznaczyli 66 osób, wraz z pościelą i ubraniami. W jednym wagonie krowy, jedna przy drugiej, jeden na konie, jeden na wozy i narzędzia rolnicze. Dziwna rzecz: im więcej nas gnębia, tym ludzie są bardziej życzliwi dla siebie.

16 października wyjechaliśmy z domu i w budzie ze słomy i prasowanych buntów koniczyn siedzieliśmy na stacji 2 tygodnie,

aż przyszła na nas kolejka. W tym czasie odwiedzają nas, niedaleki nasz sąsiad Iwan Rubas wracający z wojska i Michał Pałyga, sympatia mojej siostry. Michał prosi moich rodziców, żeby siostrę zostawili, on zabierze ją do domu, do swoich rodziców i przysięga, że będzie szanował ją jak święty obraz i zaraz się z nią ożeni. Ale Mama, która kocha swoją córkę, nie może się z czymś takim pogodzić. Owszem – Michał jest pierwszorzędną partią, z dobrej, porządnej rodziny. Choć jest Ukraińcem, jego matka i dwie siostry są Polkami. Siostra miała łzy w oczach, ale rodzice nie chcieli jej pozwolić wrócić do wsi. Michał zmartwiony odszedł razem z Iwanem do Zaboжек.

Akurat podstawiają wagony, więc prędko ładujemy się. Pomagamy nawzajem jedni drugim. Już niedługo, a lory, choć wysokie są załadowane do wysokości piętra. Więc jakiś kolejarz Moskal z każdej lory zrzuca garnki, miednice, balie, cebrzyki, bo ludzie muszą siedzieć na tym zbożu i betach, a 66 ludzi to dużo osób na jeden wagon i choć te lory są dwa razy większe niż polski. Nikt się nie klóci, wszyscy sobie ustępują. Łączy nas niedola wywózka w nieznanie. Niektórzy, jak nasza sąsiadka Maria Gawłowska, zostawiła kilkanaście uli pasieki i maciore prośną, bo nie było już miejsca w wagonie. My – zostawiliśmy beczki, cebrzyki i blaszanki. Różne rzeczy musieli ludzie zostawić na stacji i tylko na pożegnania pomachać rękami.

Żegnaj ziemio kochana! Żegnaj miasto drogie! Ilu z nas ciebie nie zobaczy? W nocy jesteśmy we Lwowie. Nie wiadomo czemu odczepili parowozy, a ciągnęły nasze 70 wagonów dwie lokomotywy. Za dwa dni ruszyliśmy do Przemyśla. Już we Lwowie jakiś młody chłopak, kaleka na nogę, prosił moją siostrę i mnie, żeby mu ułatwić ucieczkę z ZSRR do Polski. On jest ze Żmerynki, z Ukrainy. Był wywieziony do Niemiec na roboty i tam okulał. Po wejściu ruskich do Niemiec wrócił do domu, ale domu już niema. A był już w świecie, widział, że ludzie mają o całe niebo lepiej niż w ZSRR, więc postanowił, że ucieknie do Niemiec, a może uda mu się uciec do Ameryki? Ryzykuje. Co robić? Jak będzie na granicy? A jak go złapią i wyda nas? Co na to rodzice powiedzą? Boimy się, ale on aż płacze, prosi. Jak go złapią, to powie, że sam się schował i nikogo nie wyda. No, więc co? Na wagonie z wozami stoi czyjaś beczka, ale przyłożona częściami od wozu, kołami. Zwalamy to wszyscy troje, on siada, a my z siostrą nakrywamy go becz-



ką. Jego sprawa żeby się nie udusił. Uszkodzamy jedną z klepek, żeby choć trochę miał powietrza, na wierzch narzucamy koła od wozu i inne rzeczy.

Niedługo po obiedzie jesteśmy na granicy w Medyce. Po dwóch żołnierze rusczy sprawdzają nasze dokumenty. A ten dokument to kartka papieru, a na niej wypisane kto jedzie i co zostawił: ile ziemi, dom, budynki gospodarcze, no i pieczęć rejonu - to cały dokument. Porachowali ci rusczy wszystkich, co byli na tych kartkach i puścili do Przemysła. A tu noc, nie widzę ani rzeki San, ani miasta. Ktoś pyta czy nie mamy rubli na wymianę na złotówki.

Rano już jesteśmy w Przeworsku. I tu znów Moskale odczepiają parowozy, bo muszą jechać na Śląsk po węgiel dla Rosji, bo kopalnie w Donbasie mają zatopione przez Niemców. Więc dniem i nocą, ile się da, ciągną z Polski za darmo węgiel i co tylko się da.

Wracając myślami do przekraczania granicy, to ten ukrywający się Ukrainiec szczęśliwie przejechał ją do Przeworska. Tam odgrzebałyśmy go spod beczki. Dziękował nam i odłączył się od naszego transportu.

Mieliśmy poczekać dwie godziny na inne parowozy, a tu stoimy już dwa tygodnie. Pada deszcz, zimno. Było już 4 pogrzeby. Ludzie chorzy i starzy umierają. Umarło też dwoje małych dzieci. Nikt się nami nie interesuje. Stoimy sobie, a że pasza dla bydła kończy się już, idziemy jak dziady prosić tamtejszych ludzi o słomę dla bydła. Ludzie szcują nas psami. "Z torbami pójdziemy, jak zaczniemy was wspomagać" – mówią. - "Czemuście jechali z domu?"

Rzeczywiście, u nas w domu u każdego gospodarza stały stogi ze zbożem, sterty ze słomą, po stodołach i strychach pełno siana i koniczyny. A tu, ani nigdzie stogu, ani sterty. Na płotach coś rozwieszono. Patrzę ciekawie, co to może być? A to łęty z rzepy... I co tu gadać z takimi bogaczami, co liście z rzepy suszą na płocie? Jeden chłopak z transportu dźwiga na plecach trochę słomy z rzepaku. Co będzie jadło takie badyle? Ale jak nie było nic innego, to konie i bydło zjadało to co dostało.

Ludzie są zrozpaczeni, nie ma widoków na dalszą jazdę, a tu znowu czyjeś dziecko umarło. Parę kobiet z rozpacz, z cegłami w rękach pobiegło i powybijają szyby w oknach na stacji w Przeworsku. Za kilka minut już kilku panów kolejarzy i jeden cywil, ele-

gancki pan, uspakajają ludzi, że oni nie mają wpływu na to żebyśmy mogli dostać parowóz, bo tu rządzą rusczy. Naszym największym pragnieniem jest, żebyście byli tam na swoim! Nie trzeba było jechać z domu. Trzeba było upierać się i walczyć z Moskalami o swoje! Dobrze to komuś mówić, kto ich roboty nie zna. W końcu ktoś wpadł na pomysł, złożyli się na wódkę, dali kolejarzom i tak zajechaliśmy z trudem do Tarnowa.

W Tarnowie znowu składka na wódkę i tak powoli dojechaliśmy do Krakowa. Tu znowu parę dni postoj. W tym ścisku między bydłem nasz byczek jednoroczny jest tak wymęczony i uwalany kałem, że zdycha. Jakoś z trudem wydobyliśmy go i umyli. Ktoś chciał to nieszczęście kupić. Nie pamiętam ile za niego zapłacił, ale zaraz poszłam do sukiennic i kupiłam od handlarek trochę soli i mydła i już tylko o tym marzyłam, żeby gdzieś dostać się pod dach, ugotować jedzenie, umyć się i wyprać brudną bieliznę, bo już wszy miałam nawet w butach.

Za kilka dni dojechaliśmy do Katowic. W Katowicach też stoimy parę dni, bo stale wyłączają nam lokomotywy. Wieczorem znajomi z Bucniowa mówią nam, że bym szła kraść. Ja? Oni mówią, że to nie grzech, bo to ruskim buty z transportu. Wyglądało to tak: Jakaś starsza kobieta mówiła, że umie wróżyć. No i wróży ruskim żołnierzom, tym co chodzą koło tych wagonów, co wiozą do Rosji różne rzeczy. A tam stoi wagon z butami, z którego za dnia rusczy kradli i "mieniali" na wódkę. Ponieważ wróżka wróży dobrze, wszyscy są zadowoleni, a mnie udało się ukraść parę butów, bo te, które miałam z domu to już mi się rozlażyły przez ciągłe łożenie po tych żelaznych szczeblach na lorach.

O tym, żeby zostać koło Rzeszowa, że nas Komitet polski oszukał, przekonaliśmy się w Polsce. Osiedlać się w Bieszczadach nikt nie chciał, bo tam stale świeciły luno na niebie. Wiedzieliśmy, co te luno znaczą. Dalej koło Krakowa nie było gdzie tyle ludzi pomieścić. Więc wieźli nas tam, gdzie były wolne gospodarstwa rolne. To jest na Śląsk.

Minęliśmy Katowice, Opole, Kluczbork, Środę, Wrocław, Legnicę Żagań i dojechaliśmy do Hermsdorfu. Wieś nazywa się teraz Jankowa Żagnańska. Kazali nam iść i szukać w okolicy wolnych gospodarstw, bo akurat w tym czasie Niemców stamtąd wysiedlili. Stąd niektórzy, co byli tu w czasie działań wojennych, kie-

rowali się w stronę Sohrau – teraz Żary, inni w okolice Żagania. My osiedliliśmy się w Drożkowie 4 km od Żar, w stronę Lubuska.

Mama nasza ciężko zachorowała, a w Żarach nie było jeszcze lekarzy polskich, tylko ruski szpital. Ktoś mówił, że jest tu gdzieś polski doktor, nazywa się Majzels – Żyd. Z trudem go odszukaliśmy i do niego zawieźliśmy naszą Mamę. Lekarz zbadał i powiedział, że na razie nie ma apteki ani lekarstw, że jest nadzieja, że otworzą niedługo aptekę ponemiecką. Może wtedy będą jakieś lekarstwa. Potem kazał mi przyjść za chwilę, jak Mamę ułożymy na wozie. Gdy wróciłam, lekarz smutnie pokiwał głową i powiedział, że to jest poważna choroba sercowa, nogi puchną. Wodna puchlina, brak lekarstw i wiek 63 lata. Trzeba się liczyć z najgorszym. Po 7 miesiącach nasza kochana Mama umarła. Ona tak nie chciała wyjeżdżać z domu. Tak całowała swoje progi na pożegnanie. Płakała za swoim domem, była przytomna do samej śmierci.

W czasie długiej choroby naszej Mamy dużo sąsiadów Niemców odwiedzało nas, czasem przynosili jakieś słoiki z kompotami, czasem tylko syrop z buraków. My też, jak mogliśmy rewanżowałyśmy się, dając im często mleko. Na pogrzeb, to chyba wszyscy Niemcy, co byli we wsi przyszli z kwiatami. Niemcy, których tu spotykałam, to byli dobrzy, uczciwi ludzie. Nawet się wierzyć nie chciało, że to ich synowie, może bracia, byli hitlerowcami, co mordowali Żydów, co gnębili w obozach koncentracyjnych miliony ludzi. Potem przyszedł rozkaz i musieli wszyscy wyjechać do Niemiec. Niektórzy sąsiedzi przychodzili do nas pożegnać się. Ojciec nasz trochę umiał po niemiecku z czasów służby w wojsku austriackim. Mieli żal do nas, że z niczym tylko z plecakami muszą iść precz. Cóż my temu winni? To Hitler wywołał tę wojnę. To Ribbentrop z Mołotowem sprzedali nas, jak Judasz Pana Jezusa. My też musieliśmy opuścić swoje domy, gospodarstwa, pola. I porzucić życie ciche i spokojne. To przez hitleryzm tyle nieszczęść i kłopotów. Jakby nie wy Niemcy, to bolszewicy może by sami nie wkroczyli do nas tak bezczelnie. Zresztą to są czasy apokalipsy. Trzeba w to wierzyć i żyć uczciwie, to nawet w nieszczęściu zachowa się godność i spokój. Niektórzy pisali do nas kartki świąteczno-noworoczne z Niemiec, czasem przyjeżdżali popatrzeć na swój dom. Przyjmowaliśmy ich grzecznie i gościnnie, bo cóż? To są ludzie jak i my.

*I wszędzie na świecie,  
Wśród lasów i pól,  
Jak my, czują radość,  
Jak my – czują ból.*

Ale na nasze nieszczęście w Drożkowie też zastaliśmy wojsko ruskie. Gdzieś w drugiej wiosce mieli swoją bazę i stamtąd stale przyjeżdżali do Drożkowa. Zachowywali się brutalnie. Ukradli u mojego kuzyna w nocy krowę, napadali po pijanemu na przechodniów, odbierali polskim chłopcom rowery. Nieraz nawet milicja bała się angażować w niejedną sprawę z ruskimi. Dopiero po jakimś czasie zostali przeniesieni do Świętoszowa i trochę się uspokoiło.

Na początku, jak tylko osiedliliśmy się, dostawaliśmy zapomogę 300 zł na rodzinę i kartki żywnościowe na darmowy prowiant na chleb, cukier, śledzie. Była to duża pomoc dla biednej ludności, która po wojnie z trudem wiązała koniec z końcem.

Maria Wierzbicka  
Warszawa

## Z Brzeżan na Zachód

Jest maj 1944 r. Wojska niemieckie w popłochu wycofują swoje oddziały żandarmów, które dla pozorów chociażby utrzymywały jaki taki ład. Wytworzyła się sytuacja anarchii na bezpańskiej ziemi. Pas między frontem a uciekającymi władzami okupantów niemieckich rozszerzał się z dnia na dzień. I w maju 1944 r. dopałały się już tylko resztki polskich wiosek i osiedli.

Razem z Niemcami uciekamy przed bolszewikami na Zachód. Ocaleni niemal cudem, podczas poprzedniej okupacji sowieckiej od wywozu na Sybir i noży ukraińskich bandytów, podjęliśmy decyzję wyjazdu.

W podróży, która trwała już ponad tydzień, kilka rodzin słoczonych w jednym wagonie godzinami snuła złe wspomnienia, a i niepewny los nie dawał spokoju. Podjęliśmy decyzję pozostania w Polsce Centralnej. Po rozmowach z kolejarzami, udało nam się przenieść nasz niewielki dobytek do wagonu, który miał być skierowany do Warszawy.

Zatrzymaliśmy się u brata męża w małej miejscowości pod Warszawą. Wydawało nam się, że mamy już spokój. Niestety wpadliśmy z deszczu pod rynnę. W Warszawie wybuchło powstanie. W rejonie stolicy gestapo i SD szaleje. Front zbliża się błyskawicznie. Nie wychodzimy w ogóle z domu. Jesteśmy przecież „zza Buga”, niepewni.

Niemcy wypędzają ludność cywilną do kopania rowów przeciwczołgowych. Pewnego dnia ludzie z tych robót nie wrócili. Zostali wywiezieni, daleko od swego miejsca zamieszkania. Czy wrócili kiedyś? Nie wiem, bo i my mieliśmy niebawem ruszać dalej.

Koszmar oczekiwania na wyzwolenie pogłębiały bolesne odgłosy walk w Warszawie. Strzępy spalonych papierów niosły wiatry z zachodu i kładły całymi płatami na podwórkach, ulicach i ogródkach cichego dotychczas osiedla.

Nadszedł dzień 13 września 1944 r. Byliśmy w wolnej Polsce. Mąż podjął pracę przy organizowaniu polskiej szkoły po wielu latach okupacji. Szybko jednak przekonaliśmy się, że nie takiej

Polski oczekiwaliśmy. Mój mąż, idealista, AK-owiec być może w rozmowie z innymi dał wyraz swoim rozczarowaniom. „Towarzy-sze” zaczęli się nim interesować. Uprzedzony przez życzliwych, ruszył w nocy piechotą do Warszawy i dalej na Zachód. Rozmowy prowadzone w domu o sytuacji na Ziemiach Odzyskanych nie wróżyły jednak i tam spokoju i stabilizacji, której tak pragnęliśmy.

Nazajutrz przyszli po niego. Wielu, których tej nocy zabrali, nigdy nie wróciło do domów.

Zostałam sama, bez oparcia i środków do życia w oczekiwaniu na dziecko mające przyjść na świat. Termin rozwiązania zbliżał się, a ja nie miałam żadnej wiadomości od męża. Czyżby macki UB dosięgły go?

Z początkiem czerwca 1945 r. przyjechał brat męża, który leżał od 1939 r w szpitalu na Węgrzech z okaleczonymi nogami kulą dum-dum. Staliśmy się jeszcze bardziej „elementem” niepewnym. Czekaliśmy na cud, który się zdarzył.

Pewnego dnia zjawił się nieznamy człowiek z listem i pieniędzmi od męża, z prośbą, żebym natychmiast wyjechała, bo później podróż z małym dzieckiem w tej nieustającej „wędrówce ludów” byłaby nie do pomyślenia.

W przepełnionych przedziałach wagonów życzliwość ludzka była przeogromna. Mój szwagier w mundurze żołnierza z 1939 r., o kulach, budził szacunek i zainteresowanie.

Po trzech dniach podróży dotarliśmy do Krotoszyna, gdzie mój mąż znalazł spokojną przystań, a ja czysty szpital, w którym przyszła na świat moja córeczka.

Niebawem, dzięki życzliwości miejscowego burmistrza otrzymaliśmy mieszkanie w ładnej dzielnicy i niezbędne ponie-mieckie meble. Mąż pracował już w Liceum Pedagogicznym, gdzie uczył biologii. Do liceum uczęszczała głównie młodzież już dorosła, której okupanci niemieccy uniemożliwili dostęp do nauki. Była to młodzież z małych miasteczek i wsi. Powstała konieczność zapewnienia im internatów. W tym czasie na terenie całego kraju rozpoczynało działalność „Towarzystwo Burs i Stypendiów”. Mąż znając warunki mieszkaniowe swoich uczniów, bardzo aktywnie włączył się w tą działalność Towarzystwa. Prężna działalność Koła TBS w Krotoszynie zwróciła uwagę Zarządu Głównego TBS i na Wałnym Zjeździe Delegatów w Warszawie, mąż został przeniesio-

ny na stanowisko kierownika Oddziału Wojewódzkiego TBS w Warszawie, gdzie potrzeby były ogromne.

Satysfakcję w tej ciężkiej organizacyjnej pracy dawały nam nowo powstające bursy i internaty, w których mieszkała młodzież z małych miasteczek i wsi pragnąca zdobywać wiedzę w szkole średniej. Znana warszawiakom "Dziekanka" na Krakowskim Przedmieściu została odbudowana przez TBS na internat, dla młodzieży uzdolnionej artystycznie.

Nie pracowałam w tym czasie zawodowo. Zajmowałam się domem i wychowywaniem dzieci. W 1949 r. z trójką dzieci wróciliśmy do Warszawy. Pojęłam pracę w zawodzie nauczyciela, gdy mój syn rozpoczął naukę w szkołach podstawowej i muzycznej. Cały czas pracowałam w Dzielnicy Ochota. Dużo się nauczyłam, spotkałam ludzi mądrych i szlachetnych. Z wielkim szacunkiem wspominam dyrektora szkoły nr 10 przy ul. Jasielskiej w Warszawie. Z tej szkoły odeszłam na emeryturę.

*Janina Saran  
Warszawa*

## Wywózka z rodzinnych stron

Był rok 1944. Na terenach środkowego Podola trwały jeszcze walki z Niemcami, ale już wówczas odczuwaliśmy wrogość Ukraińców. Pojawiły się żądania pod naszym adresem, żebyśmy wyjeżdżali do Polski, bo tu gdzie mieszkamy już jej nie będzie.

Polacy, chociaż byli nękani działaniami wojennymi i nocnymi napadami banderowców, początkowo nie rozumieli, dlaczego muszą opuszczać swój dom rodzinny, zostawiać dorobek całego życia, ziemię praojców od wieków zroszoną potem i znojem. Ale rzeczywistość przekroczyła ich rozumienie i obawy. Musieli jednak wszystko porzucić, bo dalej w tych warunkach nie dało się żyć.

Moja droga, mój wyjazd z rodzinnych stron przebiegał nieco inaczej niż ludzi mieszkających z dala od rzeki Strypy. Ta mała rzeczka, płynąca niemal przez środek woj. tarnopolskiego z północy na południe i wpadająca do Dniestru dzieliła teren województwa na dwie części. Ona to właśnie stanowiła linię zatrzymania się i oporu wojsk niemieckich po stronie zachodniej, przeciwko nacierającej Armii Czerwonej. Powstał front

walki na tej rzece, który trwał 5 miesięcy, tj. od lutego do 15 lipca 1944 roku. Ludność cywilna, która znalazła się w pasie przyfrontowym, szerokim ponad 20 km, musiała uciekać na tyły walk, zabierając ze sobą inwentarz żywy i trochę żywności. Gdy wreszcie w lipcu 1944 roku został przełamany opór Niemców i działania frontowe przesunęły się na zachód – mieszkańcy wracali powoli z tułaczki do swoich domów, które były zniszczone, podziurawione od kul, albo w gruzach. Musieli w pierwszym rzędzie zatroszczyć się o kąpiel do spania, o dach nad głową, bo czas szybko uciekał i zbliżała się jesień.

Po pierwszych emocjach, po szoku na widok ogromnych rozmiarów zniszczeń, zabrano się do naprawiania siedzib. W naszym domu stały podziurawione ściany, nie było w nim okien, drzwi i dachu. Tata był w wojsku - walczył na szlaku bojowym od Lenino do Berlina, a mama z czwórką nieletnich dzieci bardzo ciężko pracowała. Z odzyskanych z okopów belek ustawiono na ścianach strop i przykryto snopkami lebiody – chwastu, który wyrósł do ogromnych rozmiarów w pasie frontowym.

W owej jesiennej porze 1944 roku w mojej okolicy - zarówno Polacy jak i Ukraińcy - byli zajęci i zatroskani przygotowaniem siedzib na zimę. Dochodziły do nas, "pocztą pantoflową" wieści, że gdzieś za nami są bandyckie napady na ludność polską, palone są wsie i mordowani ludzie, ale my w Sokołowie i Sokolnikach byliśmy zbyt zajęci zabezpieczeniem siedzib na zimę, żeby o tym myśleć. Dopiero późną jesienią odczuliśmy na własnej skórze nocne napaści.

Pod osłoną nocy natarczywie stukano do okien i drzwi, wdzierano się do środka, zabierano z domu wszystko, co uratowało się po froncie tj. zboże, które udało się zebrać z pól niezaminowanych, ubrania, pościel itd., a nas bito kolbami i nakazywano milczenie. Mieliśmy dość nieprzespanych nocy, trwogi i strachu o to, że nie doczekamy dnia. W świadomości kiełkowała myśl, że musimy wyjechać. Już w styczniu 1945 r. zaczęto organizować transporty do wyjazdu Polaków z Sokołowa, Złotnik, Sosnowa, Chatek, Burkanowa i okolic<sup>7</sup>. Co "życliwsi" Ukraińcy radzili byśmy szybko wyjeżdżali na zachód, bo "tu bude samostijna Ukraina".

Mama zaczęła starać się o papiery, czyli tzw. kartę ewakuacyjną, którą trzeba było wyrabiać w gminie Złotniki, ale, że ta była całkowicie zniszczona przez działania frontowe, odsyłano Polaków do Wiśniowczyka. Mama zostawiała czwórkę dzieci na cały dzień w domu, a sama wędrowała przez jary i błota do urzędu w Wiśniowczyku, oddalonym od nas o 15 km. Podróż tę powtarzała wielokrotnie, gdyż nie wyznaczano terminu załatwienia sprawy, a chętnych do wyjazdu było dużo. Dostaliśmy wreszcie kartę ewakuacyjną z nakazem wyjazdu trzecim transportem tj. w drugiej połowie lutego 1945 roku.

<sup>7</sup> W powiecie Podhajce. (Przyp. Red.).

Do stacji kolejowej w Trembowli zawieziono nas furmanką i naszym koniem, który niestety wrócił do Sokolnik wraz z furmanem Ukraińcem. W Trembowli na rampie kolejowej, koczując na workach i snopkach słomy, czekaliśmy na wagony. Było wówczas bardzo zimno i mokro, padał śnieg z deszczem, przejmujący chłód przenikał do głębi, a ogrzać się nie było gdzie. Matki z małymi dziećmi zajęły dworcowe poczekalnie, a nastoletnie dzieci – takie jak ja – wałęsały się po okolicy i ruinach zamku trembowelskiego.

Wreszcie pod koniec lutego 1945 roku podstawiono na peron długi pociąg – ze 30 wagonów bydłowych, bez okien, o szerokich rozsuwanych drzwiach, ze szparami w ścianach i podłodze i kazano zajmować miejsca. Lokowano mniej więcej po 10 rodzin do jednego wagonu. Nie pomieścili się w nich wszyscy oczekujący, doczepiono więc jeszcze jeden wagon, do którego i moja mama z dziećmi dostała się. Usiedliśmy wszyscy na słomie, na workach ze zbożem (jeśli komuś udało się je zachować) i na czym kto miał, szczęśliwi, że wyjeżdżamy już z tego piekła chociaż nie było wiadomo, gdzie nas powiozą i jak tam będziemy żyć. Ludzie usadowieni na swoich uratowanych „dobrach”, z przygotowanym na drogę prowiantem (np. mama nasuszyła makaronu i napiekła chleba), marzyli o lepszych, spokojnych dniach. Myślę, że to chyba wojsko zainstalowało nam w wagonach żelazne piecyki tzw. kozy, na których gotowało się strawę i grzało wodę do mycia. Wszystkim, co ludzie mieli w wagonie to się dzielili z każdym. Np. jak coś ugotowali lub wyjmowali z zapasów, to zaraz zjawiała się koło nich grupka dzieciaków. W wagonie było bardzo ciasno, tylko nieco szersze przejście koło piecyka. Opał zbierało się na postojach. A tych było dużo i długie. Co kilkanaście kilometrów pociąg zatrzymywał się w polu, odczepiano lokomotywę, a wywożeni ludzie czekali na jej powrót, Czasem dzień, dwa, a nawet tydzień. W Strusowie pociąg zatrzymał się pod lasem. Odczepiono lokomotywę, a nas pozostawiono na 3 doby. Pamiętam jak wszyscy się bali, że z lasu wyskoczą bandy i nas zlikwidują. Postoje się powtarzały, zostawiano pociąg na bocznicę kolejowej w Tarnopolu, we Lwowie, a najdłużej, bo aż dwa tygodnie stał pociąg poza miastem w Rawie Ruskiej. Można sobie wyobrazić jak czuli się i jak wyglądali wysiedleńcy po wielu tygodniach podróży, bez porządnego mycia i wygodnego spania. Kończyły się zapasy żywności, a brud, świerzby i wszy nękały wszystkich dniem i nocą. Wybrano delegację (w której uczestniczyła moja mama) do sowieckich władz wojskowych w Rawie Ruskiej. Domagała się ona spowodowania powrotu lokomotywy i ruszeniu w dalszą drogę. To istotnie pomogło, bo niebawem pociąg ruszył.

Z końcem kwietnia dotarł do Zamościa, gdzie odczepiono parę ostatnich wagonów – w tym wagon z moją rodziną, - pozostawiając je na bocznym torze, a reszta składu pociągu pojechała dalej na zachód.

Z Zamościa zawieziono nas do Świdnika i tam polecono opuścić wagony i ulokować się w pobliskiej stodole na słomie. W Świdniku czekaliśmy kilka dni na dalsze decyzje. Miejscowi ludzie przynosili nam coś do zjedzenia, a wojsko polskie podstawiało kotły z zupą. Ludzie wówczas byli życzliwi, przyjaźni, pomagali i współczuli nam.

Nadszedł dzień, kiedy i po moją rodzinę przyjechał wóz konny i zawiózł nas przez błotniste drogi ze 30 km do wsi Wólka Tuczępska gm. Grabowiec pow. Hrubieszów. Przydzielono nam w tej wsi gospodarstwo po wysiedlonych Ukraińcach, z podupadłymi budynkami i pustą drewnianą chałupą. Co tu robić? Od czego zacząć? Czym się dorabiać na gołej ziemi, przy braku narzędzi, maszyn i siły do pracy? Tata z wojska nie wracał, a tu czwórka dzieci w wieku szkolnym. (Wrócił dopiero wiosną 1946 r. odszukany przez Czerwony Krzyż).

Ale moja energiczna i zaradna mama nie traciła ducha. Pożyczyła od nieznanomych sąsiadów duży kocioł do gotowania bielizny, nagrzała wody, wykapała nas po kolei, włosy nam wysypała proszkiem DDT, wyprała naszą odzież i po tych zabiegach, nasza czwórka dzieciaków stała się lżejsza i radośniejsza.

Tak zaczęliśmy drugie życie w wymarzonej Polsce, dzięki której - chociaż po wielu trudach i znojach – wyrosliśmy na uczciwych i zadowolonych Polaków.

*Józefa Auterhoff  
Warszawa*

## Powrót do Polski<sup>8</sup>

Pewnego razu, a było to zimą, przyszła do mnie p. Leszczyńniczowa i zdenerwowana do najwyższego stopnia, chaotycznie mi opowiada, że jej sąsiadka była w rejonie, w Kellerówce i widziała na własne oczy, jak nasi ludzie płaczą ze szczęścia, tańczą na ulicy, śmieją się, śpiewają i krzyczą, że jadą do Polski. Zdenerwowana powiedziałam (przyznając, że dość niegrzecznie), iż mam dość tych wiadomości o wyjeździe, a te bajki krążą już przez 6 lat i nic z tego nie wynika. Ze swego pieca odezwała się babcia Kowalewska, że jutro jest drugi luty i jeśli to prawda, to nasz peł-

<sup>8</sup> Fragment pamiętnika pt.: "Podróż w nieznane 1940 - 1946

nomocnik, inż. Tarnawski z całą pewnością natychmiast mi przyśle wiadomość, tej tak przeogromnej wagi.

Wieczorem kładziemy się spać, czekając ranka i upragnionej wiadomości. Rano zaczynamy z Edziem chuchać w szybę, aby zobaczyć listonoszkę czy przyjdzie czy też nie. Wreszcie rozlega się przeraźliwy krzyk Edunia: "Idzie, idzie przez śnieg do nas Jadzia". Weszła do nas listonoszka Jadzia Korzeniowska i dając kopertę klejoną z gazety, powiedziała: "Jest dla was list". O Boże, o dobry Boże i Ty Najświętsza Panienko, której dziś jest święto, spraw cud! – Był to drugi dzień lutego – Matki Boskiej Gromnicznej. Czytam, nie widzę, ręce mi się trzęsą i łkanie wybucha z pierśsi...

Prawda! Prawda! O dobry Boże, to prawda! Pan Tarnawski pisze: "Przesyłam kochanej Pani depeszę z Pietropawłowska, bo sam pisać nie mogę". Depesza była wspaniała: "Suszcie suchary, szykujcie się do drogi, termin wyjazdu do Polski – podamy". Nie potrafię opisać, co się działo w naszej chatce! Eduś krzyczy, Babcia szłocha, Wacia, Danka i ja płaczemy ze szczęścia...

Wreszcie trzeba się było opanować. We wsi były trzy długie rzędy chat. Wyzначyłam, że pierwszy rząd – ja poinformuję naszych ludzi, drugi rząd – Wacia, trzeci Danusia.

Gdy wszyscy zostali zawiadomieni, przyszła wiadomość, aby Danusia poszła do rejonu (42 km), bo mają do niej ważną sprawę. Byłam bardzo zmartwiona, co to ma znaczyć? Jaka sprawa? Po powrocie do domu opowiedziała, jaką rozmowę przeprowadziła z urzędnikiem NKWD-zistą. Otóż bardzo ją namawiał, aby została z własnej woli u nich, że przecież tak szybko awansowała (z poganiaczki wołów na brygadzystkę) i jeszcze będzie awansować dalej. Wówczas zaczęła tłumaczyć, iż każdy człowiek ma swoją Ojczyznę (rodinę), że jej Ojczyzna to Polska, że tam ma wszystkich swoich bliskich, że mu dziękuje, ale pragnie jechać do kraju. Pan urzędnik słuchał jej wywodów, zamyślił się głęboko, wreszcie powiedział: "Nu, da! Ty prawa!" Na tym skończyła się audyencja w rejonie. Po sprawozdaniu Danusi byłam dumna, że tak wychowałam córkę, a nie inaczej!

Od dnia 2 lutego 1946 r. czekaliśmy wszyscy cały miesiąc, aby zrealizować nasze gorące marzenia o wyjeździe. Wszystkie panie rzuciły pracę w kołchozie, tylko Wacia, Danusia i ja pracowałyśmy w Kantorze do samego wyjazdu. Na drogę przygotowano

całe wiadra kapusty i dużo sucharów z pokrojonego chleba w plastry i suszonego w piecu. Wiele czasu spędziłam w Kantorze, gdzie razem z komendantem przyjmowaliśmy naszych ludzi, również z okolicznych wsi. Listy sporządzaliśmy: ja w języku polskim, a komendant w rosyjskim. Najtrudniejsza rzecz do załatwienia, to była sprawa mego męża. Komendant mi oznajmił, iż stosownie do rozkazu z góry, musi on jeszcze pozostać. Wiedziałam, że jako kapitan "rozminowuszczyk" był im jeszcze potrzebny. Choć z bólem serca, ale zaproponowałam mu, iż zostanę z nim, a Danusia pojedzie z Wacią. W odpowiedzi oznajmił mi, że zostanie w naszej chacie, a potem ucieknie, a samemu będzie mu łatwiej to uczynić. "Jedź z Danusią, a ja Was w Polsce znajdę".

Przed wyjazdem zastanowiło mnie to, że Danka chodzi zapłakana. Więc tak się przyzwyczaiła do tego prymitywu, że rozpacz z powodu wyjazdu? Miałam do niej straszny żal... Gdy chciałam z nią porozmawiać – uciekała ode mnie. O jakąż byłam niesprawiedliwa dla mojej córki! Potem już w wagonie dowiedziałam się, że nasza felczerka Ławska wezwała do siebie Danusię i uprzedziła ją, że ja tych 5000 km drogi nie wytrzymam, bo jestem osłabiona – jednym słowem, że czeka ją w drodze pogrzeb. Powiedziała tak, bo chciała ją przygotować na najgorsze. Mój Boże. A ja, co ujedziemy kilometr, to lepiej się czułam. Byłam zdrowsza nadzieją pracy w ojczyźnie, pracy w swoim nauczycielskim zawodzie, byłam weselsza i wszelkie niewygody znosiłam dzielnie – bo widziałam koniec tej podróży, która trwała 33 dni i nocy. Dziś, córko kochana, przepraszam cię za swą niesprawiedliwość, którą popełniłam wobec Ciebie zupełnie nieświadomie...

Najbliższa stacja kolejowa znajdowała się o 112 km od naszej wsi Krasnodolska. Inne kołchozy wysyłały ludzi wołami, co trwało cały tydzień. My w porównaniu z innymi, jechaliśmy wprost komfortowo, bo końmi. Kilka par sań jechało wolno, wolniutko, za nami zostaje Krasnodolsk, w którym przeżyliśmy sześć lat. Odprawiają nas ludzie, tamtejsi Polacy. Idąc obok, trzymają się brzegu sanek, kobiety śpiewają: "Kto się w opiekę". Jedna z nich prosi mnie, żeby koniecznie powiedzieć naszemu rządowi, aby i o nich pomyślał, boć też są Polakami, a że ludzie przesuwają granice, to, dlaczego oni mają cierpieć bez ojczyzny? Wyjechaliśmy 2 marca 1946 r. i przenocowawszy w Kellerówce, – 3 marca byliśmy już na miejscu, na stacji Tairńcza. Dzień był mroźny, choć pogodny. Ktoś

powiedział, że Miecio Lampart źle znosi tę podróż. W Kellerówce, gdzie nocowaliśmy, wzięłam go do naszych sań i posadziłam w środku, aby było mu ciepło. Po pewnym czasie zauważyłam, że twarzyczka robi się żółto-biała. Spytałam furmana, co robić? Ten się obejrzał i spojrzawszy na niego krzyknął, aby go prędko zrzucić z sań, bo zamarza. Byłam oburzona. Jak to? Wyrzucić dziecko? sierotę? Odpowiedział mi ten furman, urodzony Sybirak, że tak trzeba, by go ratować. Zatrzymał konie, wstał, wyjął Miecia z koca, którym go okryłam, postawił na nogi i szybko wskoczył z powrotem, poganiając konie: Hajda! Miecio, biedny, mały, 9-letni chłopczyk przy 40<sup>o</sup> stopniowym mrozie został za nami i przeraźliwie wołał: "Pani, pani, weź mnie!" Bełkotał, stojąc na dwu szeroko rozstawionych drewnianych nogach. Wreszcie zaczął się ruszać, potem zaczął iść, jak kaleka, następnie biegł za sankami wołając rozpaczliwie. Wreszcie sanie stanęły, wciągnęłam go do środka, przytuliłam się do mnie i płakał. Coś mówił, a właściwie bełkotał, a ja mu tłumaczyłam, że tak trzeba było zrobić, bo by zachorował. Furman zadowolony i roześmiany powiedział, że chłopak jest uratowany, a już myślał, że nic z niego nie będzie. Miecio wtulił się między mnie i Wacię i uśmiechnął się, że nie będzie chory. Przecież pamiętał on dobrze, że jego mama też była chora, a potem zakopano ją do ziemi...

Jesteśmy już na stacji! Pełno ludzi, władz i komendantów. Nasi szczęśliwi, rozpromienieni, słońce wyrzało z pomiędzy chmur. Każdy się wita i cieszy się, cieszy z radosnego spotkania, że zwyciężył, że przetrwał, że wraca... W tej ogólnej radości był jednak jeden wielki zgrzyt, który nam popsuł humory! A jak to było opiszę. Pewna dziewczynka, mając 12 lat, została wywieziona w 1940 r. do północnego Kazachstanu, gdzie przebywała jak i my wszyscy 6 lat, a więc miała 18 lat. Poznała się z tamtejszym Polakiem i pokochali się. Ponieważ była już pełnoletnia, więc "rozpisała" się w Kantorze. Prócz tego samorzutnie, z powodu braku księdza, urządziła w chacie ołtarzyk i przy zapalonych dwu lampkach (buteleczkach) i krzyżku – przysięgła mu miłość i wierność, że go nie opuści aż do śmierci. Również taką przysięgę złożył i on. Świadcami byli ich sąsiedzi i ci ludzie z naszych, którzy mieszkali w jej wiosce. Ona jednak twierdziła, że najważniejszym z jej świadków jest Bóg. Przy tym obiecała, iż jeżeli kiedyś pojedzie do Polski, to tylko z nim, swoim mężem. Czekali, czekali, aż się doczekali.

Sprzedali wszystko, co tylko mieli, nawet swą chatkę i przyjechali do stacji Taińcza. Tu im oznajmiono, że ona pojedzie, lecz on jest radzieckim obywatelem, więc jego puścić nie można. Płacz, prośby i błagania nic nie pomogły. Nie znałam jej, nie wiem nawet z jakiej jest wsi, czy kołchozu, lecz to, co sama widziałam na własne oczy, tego nigdy w życiu nie zapomnę! Płacząc weszła na swój skromny, drewniany kuferek i krzyknęła: "Rodacy! Nie wolno mi wziąć ze sobą męża! Wyprzedaliśmy się zupełnie! Nie mamy teraz dachu nad głową, ale ja go nie porzucę! Nie porzucę! Bom ślubowała! Tutaj przyrzekam, że kiedyś po staraniach z mej strony wrócę do Polski z nim, a pierwsze kroki na Jej ziemi, skieruję do kościoła, aby nam ksiądz dał ślub. Pozdrówcie ode mnie Polskę, ucałujcie Jej ziemię! Wierzę, że się spotkamy!" Tu szloch przerwał jej mowę, jej piękne, budujące słowa, więc zesza ze swej "trybuny", drewnianego kuferka, z całym majątkiem jaki jej pozostał, lecz bez dachu nad głową. W chatce ich już mieszkają ci ludzie, którzy ją od nich kupili. My, świadkowie tego zajścia, też płakaliśmy nad jej dołą. Mąż jej stał obok i prosił ją, by jechała razem z nami, bo teraz nie ma dokąd pójść, lecz ona twardo stała przy swoim, że wróci do Polski razem z nim, lub może już nigdy...

Ten smutny incydent wytrącił nas zupełnie z równowagi. Ale życie pędzi dalej. Tak jak mieszkaliśmy, "posiołkami" zaczęto nas ładować na stacji do wagonów. Różnica tylko taka, iż wywożono nas po 3000 osób, a przywożono po 1500. Przed odjazdem przyszli do nas jacyś mężczyźni, chyba urzędnicy radzieccy i polecili śpiewać hymn "Sojuz", a potem po polsku "Wyklęty powstań ludu ziemi". Były przemówienia, abyśmy budowali u siebie socjalizm i życzenia owocnej pracy dla dobra "rodiny".

Wreszcie pociąg ruszył. Pozostali na stacji ludzie, nieznanymi, lecz z pewnością Polacy, tamtejsi, radzieccy – płakali i żegnali nas krzyżem. Powoli, powoli, coraz prędzej jedziemy do Polski, do wymarzonej Ojczyzny. Przed nami 5000 km drogi. Zaczynamy urządzać się w wagonie, w którym pewnie wiele dni i nocy trzeba będzie przemieszkać. W kącie po prawej stronie wagonu urządziłyśmy się z Wacią, Edziem i Babcią Kowalewską. Jedziemy przez jakieś stacje, ludność nas żegna, a tamtejsi Polacy płaczą, że oni nie jada, nie o nich czynili starania nasi rodacy, a oni żyć muszą bez Ojczyzny, choć tak bardzo Polskę kochają...

Ucieszył nas bardzo piecyk w każdym wagonie, lecz nie było czym palić. Jeden urzędnik na którejś stacji, na zapytanie jak będzie z opałem, uśmiechnął się i powiedział, że po drodze przy stacjach jest dużo drewnianych płotów, pożyczcie sobie i palcie, żebyście w drodze nie zamarzli. Młodemu nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. Danusia z Marysią Babrajówną również łamały płoty i znosiły drzewo do wagonów. Nasz wagon miał nr 33. Zarząd polski całego "eszełonu" składał się z ośmiu osób, w tej liczbie i ja. Córka, jak zawsze dzielna i zaradna, a także jej koleżanka Marysia, zaopatrywały wagony w opał. Ogarnął mnie jednak wielki smutek, że trudno w tych czasach było być uczciwym, trzeba było kraść i to za pozwoleniem tamtejszych władz. Danusię naznaczono komendantem wagonu nr 33 i bardzo dobrze wywiązywała się z tego zadania. Obydwu młodemu panienkom wydajnie i bardzo chętnie pomagał pan Tolo Dworski – młodzieniec bardzo inteligentny, który dzielił z nami sześciolatekni okres pobytu w Kazachstanie.

Bardzo pragnęłam pisać, chociażby tylko nazwy stacji, przez które przejeżdżaliśmy, ale czym i na czym? Pamiętam, że w powrotnej naszej drodze był straszny wypadek. Na stacji, a właściwie za stacją, stał nasz pociąg. Jedna z kobiet wyszła z wagonu, a w tym czasie pociąg ruszył. Zaczęła go doganiać, poślizgnęła się na śniegu i opadła tak nieszczęśliwie, że nasz wagon przejechał jej nogi od kolan. Tego nie widziałam, tylko ludzie na stacji i w naszym wagonie zaczęli przeraźliwie krzyczeć. Pociąg się zatrzymał. Zaraz przybiegł lekarz i pogotowie. Biedna kobieta zostawiła dwoje dzieci i męża, który wrócił z więzienia po amnestii, kilka dni przed wyjazdem do Polski. Biedakowi zabrali żonę, zabrali dzieciom matkę, ją zanieśli do szpitala, a my pojechaliśmy dalej... Ten tragiczny wypadek był tak straszny, iż depresja ogarnęła wszystkich ludzi w wagonie. Nic nie wiemy czy umarła, czy żyje, czy wróciła do kraju jako kaleka bez nóg...

Obok naszego wagonu jechał samotny staruszek, poważnie chory na serce. Wiedział, że umrze, ale ciągle się modlił, by dojechać do polskiej granicy, by go pochowano na polskiej ziemi. Dojechał i skonał. Pociąg stanął na czas wykopywania mogiły i pochowano go w Polsce, w lesie tuż przy torach. To przecież ja miałam umrzeć i mnie Danką oplakiwała w Krasnodolsku przed wyjazdem! Lekarka, która знаła stan mego zdrowia, twierdziła, że tych 5000 km nie przeżyję. Przeżyłam, bo wówczas byłam młodą kobietą,

dziś jestem stara i jeszcze żyję. Boże! Niezbadane są Twoje wyroki...

Jeszcze w Rosji dojechaliśmy do bardzo dużej stacji, nazwy której dziś już nie pamiętam. Wiem tylko, że mieliśmy stać tam pół godziny. Zeszłam na peron i poszłam do bufetu, aby coś kupić do jedzenia. W pewnym momencie poczułam się jak przed wojną. Dworzec, bufet, lustrzana ściana na wprost wejścia. O! właśnie – lustrzana – lustrzana ściana! Przez sześć lat nie widziałam swej sylwetki w lustrze! Przystanąłam i czekałam, aż ta kobieta w chustce na głowie i w typowych, ruskich walonkach odejdzie, bo chcę się przejrzeć. Czekam, a ona też czeka, podniosłam prawą rękę, by poprawić chustkę na głowie – ona też! Spojrzałam zła na to babsko, że stoi jak malowana i nie raczy się odsunąć i przeraźliwie krzyknęłam, bo to byłam ja! Ja – cienka, chuda, brudna kobieta w lustrze – to ja! O. Boże! Ta baba, to ja! To ja! Uciekłam z powrotem do wagonu, nic nie kupiłam do jedzenia, chociaż byłam bardzo głodna, uciekłam od tej, która naśladowała moje ruchy, która była wprost straszna! Bo ja siebie pamiętałam zawsze elegancko ubraną, zadbaną, wesołą – a w tym lustrze, starym lustrze, ta okropna kobieta, która nie widziała swej sylwetki tyle lat! Nie wiem czy mnie ktokolwiek zrozumie, ale te sześć lat, które zobaczyłam na ścianie w starym popękany lustrze, było dla mnie wprost przerażające! Sześć lat! Tak mało, a tak wiele...

Jedziemy już 18 dni i nocy. Jutro, to jest 19 marca przypadają moje imieniny. Smutne imieniny, gdy człowiek jest taki brudny, wymiętoszony, śpi na brudnej podłodze, a najważniejsze, że nie wie, gdzie się obrócić, zatrzymać, czy znajdzie się rodzina jako przystań po tak ciężkiej i długiej podróży?

Bardzo nas zachęcano, aby jechać na Ziemię Odzyskaną. Myślałam sobie, że sąsiedztwa granicy mam już dosyć, ale obie z Danusią dyskutowaliśmy, że grunt, iż dadzą nam mieszkanie, to jest dach nad głową i kawałek ziemi. Zasadzę kartofli, to już człowiek nie zginie. Naturalnie te plany byłyby w przypadku, gdybyśmy nie odnalazły swoich. A przecież musi się człowiek zahaczyć choćby tymczasem, aby mógł żyć. Pociąg stanął za dużą stacją. Gdzieś mi zginęła moja Jędynaczka. Gdzie ona? A co będzie jak pociąg ruszy? Szalałam z niepokoju. Aż widzę, biegnie Danusia, trzymając coś w ręce. To była kanapka z kawiosem. Prezent na moje imieniny. Eduś też mi wieszował, przychodzili inni ze swoich



wagonów z życzeniami i jakoś ten uroczysty dla mnie dzień, choć bez przyjęcia, bez wygód, przeszedł spokojnie, w serdecznej atmosferze życzliwości i lepszych nadziei na przyszłość.

Mniej więcej za dwa tygodnie powinniśmy być w Polsce. Podobno, jak nas poinformowano, jedziemy na Warszawę, a potem punkt rozdzielnicy w Poznaniu. Zobaczymy to zburzone przez Niemców miasto-bohater, które tak dzielnie się broniło przed wrogiem, gdzie padło tylu ludzi w obronie swej stolicy...

Pod wieczór dojeżdżamy do granicy polsko-rosyjskiej. Brześć nad Bugiem. Deszcz pada, pochmurno. Pociąg stoi, bo mają robić rewizję. Najbardziej tego bała się p. kapitanowa Jędryczkowa, która "przemyciała" kilkuletniego chłopca – Koreańczyka. A było to tak: na wprost chaty pani Jędryczkowej była mała lepianka, w której mieszkała młoda Koreanka z dzieckiem. Była to kobieta słabego zdrowia i nie mogła stałe chodzić do pracy w kołchozie. No, ale kto nie pracuje, ten nie je. Ciąg dalszy znany... Kto nie je, ten nie może żyć. Pani Jędryczkowa, żona kapitana, od którego nie miała żadnych wiadomości z frontu, była bezdzietna i bardzo polubiła chłopczyka sąsiadki. Kiedyś zauważyła, iż z lepianki sąsiadki nikt nie wychodzi. Drzwi były zamknięte. Tknięta przeczuciem poszła i zaczęła wołać i stukać do drzwi. Odpowiedział jej słaby płacz dziecka. Wówczas zawołała znajomego mężczyznę, który wyważył drzwi i znalazła martwą kobietę na piecu, a przy niej bardzo słabe i płaczące dziecko, ledwo żywe. Wzięła chłopca na ręce, przyniosła do siebie i tak już u niej został. Mały szybko nauczył się polskiego języka, mówił do niej "mamo" i wszyscy się przyzwyczaili, że to jej synek. Przed wyjazdem adoptowała chłopca, ochrzciła go "z wody", kochała go bardzo i on ją również. Potem, gdy dowiedziała się, że mamy jechać do Polski, ogromnie się bała, że jej odbiorą dziecko. Przewodniczącemu kołchozu powiedziała, że jak wyjedzie, to mały zostanie u nich i będą mieli bardzo dużo kłopotów, bo się wówczas wyda, że jego matka umarła z głodu. Widać, że przewodniczący zorientował się, iż może być źle, więc ustąpił. Twierdził jednak, że nie ręczy, co będzie na granicy. Zrozpaczona kapitanowa schowała go do kosza, tam spał, jadł i w ogóle przebywał w tym oryginalnym legowisku przeszło miesiąc, bo całe 33 dni. Podczas rewizji nie spojrzeli nawet na kosz, na którym posadzono inne dzieci, nasze – jadące legalnie do Polski. I tak pani Jędryczkowa przewiozła przez granicę synka, który jej

ostadzał smutny, wdowi żywot. Nie wiem nic o dalszych ich losach, lecz myślę, że wszystko jest w porządku. Wiem natomiast, że mieszkali na Ziemiach Odzyskanych.

My, to znaczy nasz "eszełon" – niecierpliwie czekamy. Wreszcie przychodzi grupka mężczyzn. Każdy z nas trzyma w ręku dokument i pozwolenie na wjazd do Polski. Na dokumencie z lewej strony druk rosyjski, z prawej te same dane w języku polskim. Odrywają pisany po rosyjsku i zatrzymują dla siebie, a nam wręczają polski. Przemowa do nas, aby budować socjalizm w swoim kraju, by pracować itd. Potem ktoś podchodzi do mnie i mówi cicho, że tu blisko jest kościół. Oglądam się, a tu nasi ludzie chyłkiem, pod wagonami schyleni, biegną w stronę kościoła. Za chwilę cały prawie pociąg pozostaje pusty, a my wszyscy w kościele. Wychodzi ksiądz i wita nas serdecznie: "Rodacy! Bracia i siostry! O jakże się cieszę, że wracacie do Ojczyzny! Proście o nabożeństwo. O tej porze jest już za późno, lecz witam Was i gorąco się cieszę, że wracacie, jak ptaki wędrowne do swych zburzonych gniazd". W kościele płacz. Spazmatyczne łkanie. Nareszcie! Po sześciu latach tułaczki, znowu na świętej ziemi polskiej... Wreszcie wzruszeni wracamy do domu, czyli do wagonów, bo już jutro będziemy wędrować po naszej, polskiej ziemi. My, wędrowne ptaki, pełnoprawni obywatele polscy! Czy nie uważasz, miły Czytelniku, że dla nas te słowa brzmiały jak najpiękniejsza muzyka?

Gdy zasnęliśmy po powrocie z kościoła, pociąg jeszcze stał. Kiedy ruszył, nie wiemy. Rano spotykamy żołnierzy. Jest dżdżysto, pochmurno i szaro, więc pytamy tych ludzi po rosyjsku, gdzie my jesteśmy? A tu polski żołnierz odpowiada "W Polsce", a drugi dodaje: "Co u cholery, już nie umieją mówić po polsku?" Wówczas to podniósł się krzyk we wszystkich wagonach, Polska! Już Polska! Jesteśmy w Polsce! Płacz, radość, ludzie wpadają w euforię. Pociąg przystaje w polu. Panie biegną do żołnierzy, śmieją się, płaczą, ściskają... Jedna z pań zobaczyła pastuszkę, małego chłopca pasącego chudą krowinę. Schwyciła go i zaczęła całować, lecz przerażony malec wyrwał się od niej i uciekł. Jednak na najbliższej stacji, już w Polsce spotkała nas przykrość. Pełni przerażenia patrzyliśmy ze zgrozą, jak jacyś ludzie namawiają naszych, aby im dać rosyjskie ruble. Za te ruble dawali śmiesznie mało, bo nie tyle chcieli nam pomóc, ile sami się obłowić. Jak szybko człowiek spada z obłoków na ziemię?

Jedziemy przez Warszawę do Poznania, gdzie się znajduje punkt repatriacyjny. Kto ma rodzinę, ten odchodzi od nas, kto nie ma nikogo, jedzie na Ziemię Odzyskane. Tam gdzie kiedyś była Warszawa – same zgliszcza i ruiny. Wśród nich czerwieni się nasza nowa pięknie pomalowana na czerwono – skrzynka pocztowa. Spojrzałam z rozrzewnieniem na nią i przyszło mi na myśl, że należy wysłać wiadomość mej siostrze, która mieszka w Bytomiu. Weszłam do budki, która już była pocztą i wysłałam telegram następującej treści: Jesteśmy w Polsce, jedziemy Poznań PUR – Ziuta, Danka. Nie wierzyłam jednak, że depesza dojdzie...

W Poznaniu za stacją – nasza siedziba w wagonach. Wiele rodzin się odnajduje. Pytania, powitania, radosne płacze... My z Danusią i Wacią siedzimy smutne, bo po nas nikt nie przyjechał. Ci, co odeszli, stracili łączność z PUR-em i jego pomocą. My nadal trzymamy się kurczowo razem. Wreszcie tracąc nadzieję na przychylny los, idę do bardzo miłej i dobrej pani w PUR-ze. Ona pociesza mnie jak może. Okazuje tyle serca i życzliwości, aż się człowiekowi raźniej robi i chce żyć. Wreszcie pyta, kogo chciałabym zawiadomić o moim przyjeździe? Ach, brata, dobrego kochanego brata, księdza prałata Mieczysława Rossowskiego! Odpowiedziała, iż będzie łatwo go znaleźć, bo Kuria Biskupia musi mieć adresy wszystkich księży. Daje mi papier i ołówek. "Proszę niech pani pisze" Schwyciłam ołówek i piszę chaotycznie, że jesteśmy w Poznaniu, żywe, zdrowe, całe, żeby nas zabierał, bo nas zawiozą na Ziemię Odzyskane! Wracam z córką na noc do wagonu kolejowego, na bocznicę stacji, do legowiska na podłodze, do "naszego mieszkania". Pani z Państwowego Urzędu Repatriacyjnego zaręcza, że znajdę rodzinę, bo podobno ona ma szczęśliwą rękę... O dobra Pani! Jak żałuję, że nie znam Twego nazwiska! Chciałabym Ci, choć słowami podziękować za Twe serce i wielką dobroć, wyrażającą się w trosce o nas... Położyliśmy się w wagonie na swym legowisku na podłodze, objęliśmy się w pół i leżymy. Moja Danusia pociesza mnie, jak może, twierdząc zresztą zupełnie bardzo słusznie, że jeśli nie zginęliśmy w Azji, to w Ojczyźnie z całą pewnością też nie zginemy i na pewno będzie nam lepiej. Mój dobry Boże! Nie wiedzieliśmy, że obok nas, w Poznaniu, w każdym razie bardzo blisko, bo na stacji w poczekalni, nocują na drewnianej ławie moja siostra Jadwiga z siostrzenicą, bo po otrzymaniu depeszy – przyjechały po nas.

Rano, następnego dnia słyszę jakieś podniesione głosy, jakby ktoś wołał moją córkę. Ponieważ przebudziłyśmy się, nasłuchujemy, co to być może. Wyraźnie słyszę: "O jakie szczęśliwe! Proszę pani, wagon 33 tam na prawo! Szczęśliwa Danusia". Lecz co to? Słyszę wyraźnie głos mojej siostry, radosny głos, siadam i słucham. Danusia zrywa się, biegnie i co widzę? Oto siostra moja, rodzona siostra Jadwiga, a z nią siostrzenica Haneczka – wdrapują się do wagonu, który nie miał stopni, a wejście było bardzo wysoko i... O Boże! Nawet opisać nie mogę tego powitania.

A więc depesza nadana z Warszawy doszła do Bytomia i natychmiast przyjechały. Dobre! Kochane! Ileż szczęścia mieści się w tym powitaniu po sześćdziesięciu lat! Powitania, uściski i jednocześnie pożegnania z dotychczasowymi towarzyszami podróży, którzy "nolens-volens" jadą dalej.

Z Poznania Wacia z chorym Edziem jedzie do rodziny w Oświęcimiu pod opieką mej siostrzenicy, a ja z Danusią razem z cicią Jadzią – do Łodzi, a z Łodzi na plebanię w Modlnej, do Mamy, braci i księdza, który przez tyle długich lat tak troskliwie opiekował się nami...

W Modlnej siostra poleciła nam czekać przy furtce w ogrodzie, a sama pobięła do Mamy i braci, aby ich przygotować do tej wiadomości. Po 10 minutach widzimy, biegnie nasza droga Babuniczka, płacze i woła mnie i Danusię, trzepocząc rękami w powietrzu. Pamiętam, była w długiej czarno-popielatej sukni i jak zwykle – z koronkowym białym żabocikiem pod szyją. Białe jak śnieg włosy zaczesane do góry w kok. Chwyta mnie, lecz potem odpycha i twierdzi, że to nie ja, że ją oszukujemy! O biedna moja Matko! Przyzwyczaiłaś się do widoku córki zawsze dobrze ubranej, zadbanej żony oficera, a przed Tobą stoi jakaś cienka i chuda kobieta w chustce na głowie, w grubych walonkach, palto zbyt krótkie, podwiązane sznurkiem, a włosy także białe jak u ciebie, a moja najdroższa i najlepsza Babuniczko! Wreszcie chwyciła w obie ręce moją twarz, spojrzała mi w oczy i krzyknęła: "Tak! To jest? Ziuta! Poznałam po oczach!" To samo było z Danusią, która wyjechała jako dziewczynka, a teraz stała przed swą Babką w radzieckiej chustce – panienka. Wówczas rozplakała się serdecznie moja Matka, nie wiem czy z radości, czy z żalu, że te straszne sześć lat tak nas przeobraziły...

Szczęśliwie, idziemy na plebanię tą samą aleją, którą przed chwilą przebiegła nasza Babunia. Idziemy do księdza i do wujcia Jasia, poznamy tę samą gospodynię – panią Marię Gąsiorowską, która już kilkanaście lat była u babuni. Wchodzimy do pokoju księdza, stanął jak wryty, patrzył na nas długo w milczeniu, a potem chwycił w objęcia, lecz nic nie mówił. Wśród tej wymownej ciszy powitania, krzyknęła przerażona Mama: “Synu, odezwij się!”, gdyż złąkla się o niego z powodu tak silnej reakcji. Nie mógł nic mówić! Przecież wynajmował ludzi, którzy jeździli do Poznania do PUR-u, co kilka dni, by się dowiadywali o nas, lecz wracali stale ze smutną wiadomością, że takie jeszcze się nie meldowały. Wreszcie stracił nadzieję, że w ogóle nas zobaczy..

Wujcio Jasio, mój drugi brat był nieobecny. Za chwilę przybiegł z lasu, gdzie u leśniczego załatwiał sprawy opałowe. Zobaczywszy nas, płakał, tak zresztą, jak my z córką. Takie było nasze powitanie po długiej rozłące w czasie ostatniej wojny.

Przyjechałyśmy w pierwszych dniach kwietnia 1946 r., a w maju już pracowałam szczęśliwa, radosna, nareszcie u siebie w Ojczyźnie. Byłam aż do emerytury zastępcą kierownika dużej szkoły Nr 21 w Łodzi. Córka uczęszczała w Łodzi do szkoły gdzie zdała maturę. Następnie ukończyła Uniwersytet Warszawski, została pracownikiem naukowym. Obecnie jest emerytowanym profesorem zwyczajnym Uniwersytetu Warszawskiego.

Marian Okulicz  
Koszalin

## Z Syberii do Polski

Po sześciu latach pobytu w Kazachstanie, w Jermaku w Pawłodarskiej Obłasti, doczekaliśmy się wiadomości o utworzeniu PKWN, wyzwolenia - okrojonej o Kresy Wschodnie – Polski i zakończenia wojny. Coraz pewniejszy i bliższy stał się wyjazd do Polski. Zimą 1946 roku zaczynała się tzw. “opcja”, tzn. konkretne starania o dokumenty repatriacyjne. Bogata jest tego historia. Do budynku NKWD zaproszeni zostali przedstawiciele Związku Patrio-

tów Polskich. Akcję prowadził przysłany z “obłasti” oficer. Ja zostałam pisarczykiem, bo okazało się, że już w tym czasie, od 4 lat jako “główny” lokalnej mleczarni, piszę dobrze, drobno i czytelnie po rosyjsku. Wypełniam jakieś formularze i zestawienia. Repatriacja ma objąć Polaków i Żydów, a także rodziny żołnierzy, którzy znaleźli się w polskim wojsku. Wymagane są jakiegokolwiek dokumenty. Ja legitymuję się przedwojenną książeczką PKO, innym wystarczają świadectwa szkolne, cokolwiek..

Pragnienie wyjazdu zgłosili wszyscy zesłańcy. Z całego rejonu znane są dwa przypadki dobrowolnego pozostania kobiet. Prosta dziewczyna wyszła za mąż za starszawego księgowego – Rosjanina, druga – młoda oficerowa, której przytrafiło się urodzić dwoje kazachskich dzieci. Ich ojciec zginął na froncie, a rodzice męża kategorycznie oświadczyli Polce – *ujeżdżaj, ale dzieci syna są nasze i pozostaną*. Matka pozostała więc w kazachskim aule...

Mijały dni niecierpliwego oczekiwania, aż któregoś późnego wieczoru, w lutym 1946 roku przedstawiciele ZPP wezwani zostali do NKWD. Oczekiwał ich oficer z Pawłodaru. Siedział przy stercie akt i oznajmił, że nadeszły dokumenty, a za parę dni nastąpi wyjazd do Polski. Następnie zaczął odczytywać decyzje i nazwiska. Napięcie było nie do opisania. Oficera sytuacja ta wyraźnie bawiła. (Tu mała dygresja. Wcześniej rozeszła się pogłoska, że skazani za odmowę przyjęcia sowieckich paszportów nie zostaną wypuszczeni, ponieważ “opcja” i repatriacja dotyczy tylko tych, którzy zmieniają obywatelstwo sowieckie na polskie. Skazani za odmowę nie są obywatelami ZSRR i nie wiadomo jak ma wyglądać ich “opcja”). Oficer przekładał teczki i czytał nazwiska, wymieniając na początek decyzje odmowne. Taki a taki – *nie pojediet, nie pojediet, nie pojediet*. Osoby te znaleźmy i przeżywalimy ich tragedię.

W pewnym momencie oficer wziął teczkę i pyta – *kto takaja Okulicz?* – Przeważony patrzę na prezeskę Berlińską i widzę jak blednie. Wyobrażam sobie mój wygląd wówczas. Pani Berlińska wyjąkała... *To matka tego...* i wskazała na mnie palcem. – *Nu da*, powiedział oficer i odkładając teczkę mojej Matki, najspokojniej czytał dalej – ten i ten *nie pojediet, nie pojediet*. Potem zaczęło się odczytywanie nazwisk wyjeżdżających. W którymś momencie padło nazwisko mojej Mamy – *jediet!* Odetchnąłem. I nadal czytanie nazwisk. Wtem pytanie oficera NKWD zwrócone do mnie – *kak twoja familia?* Odpowiedziałem, a on - *nie pojedziesz!* – Roześmia-

łem się w głos, bo byłoby to całkiem bez sensu. *Pojediesz, pojediesz!*

Sekretarz komórki ZPP w Jeremaku z trudem został odnaleziony i przybył z dużym opóźnieniem. Pan Orgiel, który w życiu przeszedł już niejedno, powitany został pytaniem – *a ty chcesz jechać w Polskę?* Zapytany zdębiał. Wie, że decyzja już zapadła, ale co znaczy to pytanie? Jeżeli powie tak, a w papierach jest odmowa, to może spotkać go zarzut, że Związek Radziecki mu się nie podoba i w rezultacie droga do łagru stanie otworem... Jeśli powie nie, a w papierach jest zgoda na wyjazd, to NKWD-zista gotów powiedzieć: *choroszo, oczeń choroszo*, nie chcesz to zostaniesz. Pan Orgiel błędnie, kiwa się na boki, wyciąga rękę, wskazuje na teczkę – *niech będzie tak jak tam napisano*. NKWD-zista oburza się, *Co znaczy niech będzie? Chcesz jechać, czy nie?* Pan Orgiel spogląda na nas. Potakujemy: *Tak! Tak!* Nam znana już była odpowiedź pozytywna. On waha się i wreszcie wykrztusza: *Niech będzie jak grażdanin naczałnik uważa. Czto ja?* – i wreszcie pada – *pojediesz, pojediesz*.

Ostatnią moją czynnością społecznego działacza w Jeremaku było pukanie do okien lub drzwi znajomych: są dokumenty z NKWD, wyjazd za kilka dni.

Jazda z Jeremaku do Polski, a dokładnie do Poznania trwała dwa miesiące.

Pociąg, w którym były tylko kryte wagony towarowe, jechał, co jakiś czas, mniej więcej, co 300 km, przystawał, wtedy konwojenci dostarczali nam chleb, zupę i kipyatki. W mojej pamięci zostały trzy wyraźne wydarzenia z tej podróży. Przekraczanie granicy między Azją a Europą na niskiej przełęczy w Górach Uralu, gdzie obok torów stał granitowy słup z napisem z jednej strony Azja, a z drugiej Europa. Był to pogodny dzień i wszystkim się nam zrobiło rażniej na duszy, że już jesteśmy w Europie. A zarazem przypomniało się, jak jechaliśmy w tamtą stronę, jaka była w tym miejscu rozpacz wywożonych ludzi, że już jesteśmy na Syberii. Drugim radosnym momentem było przekraczanie polskiej granicy w Brześciu, że już jesteśmy w Polsce, widzimy flagi biało-czerwone, polskich żołnierzy i trudno się było przyzwyczaić, że tu wszyscy ludzie mówią po polsku. A trzecim momentem dobrze zapamiętanym był przyjazd do Poznania, gdzie przed stacją pociąg został zatrzymany, do wagonu weszli ludzie z aparatami do opryskiwania i wszyst-

kich i wszystko dosłownie zasypali proszkiem DDT, tak, że na stacji w Poznaniu jak wysiadaliśmy z wagonów, to wyglądaliśmy jakbyśmy wyszli z młyna zasypani mąką. Tam też wszystkich ludzi z każdego wagonu zaprowadzono do łaźni, a ubrania zabrano do odwieszalni. Po tym zabiegu trudno było zmieścić się we własne ubrania, które tam bardzo zdeformowały się. Ugoszczono nas potem na peronie obiadem, przy którym siedzieliśmy po raz pierwszy od dwóch miesięcy za stołem i zupa i drugie danie było na talerzach.

Następnie przeładowaliśmy się do innego wagonu, który zawiózł nas do miejsca nowego osiedlenia, do Giżycka, gdzie rozpoczęliśmy nowe życie.

Jan Raniczkowski  
Wymiarki

## Nie “repatriacja”, a ucieczka z “raju” w 1924 r.

W Kamieńcu Podolskim mieszkaliśmy przy ul. Soborowej 4. W tym też czasie, a był to rok 1924 aresztowano Mamusię za wysyłanie listów i wymianę różnych rzeczy na żywność. Pewnego wieczoru przyprowadzili ją CzK-iści do domu, nie odstępując na krok, a po chwili znów zabrali. Po kilku dniach ponownie przyprowadzili Mamusię tylko w koszuli, rzekomo po to, aby pożegnała się z babcią i dziećmi. Było ich dużo, wszędzie, na podwórzu, w ogrodzie, otoczyli cały dom. Potem wypchali Mamusię na zewnątrz, a mnie odepchnęli od niej bagnetem. Była już noc. Babcia położyła nas spać. Co otworzyłem oczka, widziałem babcię modlącą się w swojej kapliczce, znajdującej się naprzeciw naszego pokoju. Modliła się zawsze do Królowej Polski słowami *Boga Rodzicielko*. Modliła się też, żebyśmy nie zostali “Moskałami”. Przy dzieciach siedziała ciocia Karola.

Mamusia opowiadała nam już w Tarnopolu, że CzK-iści wieźli ją potem samochodem przykrytym plandeką z resztą skazanych więźniów – kobiet (w tym zakonnic) i mężczyzn. Wszyscy byli nadzy, tylko Mamusia w koszuli. Samochód zatrzymał się w nocy

nad długim rowem. Wyłapywano z samochodu po jednej osobie, słyhać było wystrzał, potem wzywano następną ofiarę. Kiedy przyprowadzili Mamusię nad brzeg wspólnej mogiły, a CzK-ista cofnął się dla oddania strzału, Mamusia przeżegnawszy się przeskoczyła rów i pobiegła przed siebie w ciemną noc. Gonili za nią. Zaczęło brakować jej sił, ale na żadne podwórko nie chciała wbiec, ponieważ wiedziała, że gospodarstwo spalą, a wszystkich zamordują za ukrycie skazańca.

Resztkami sił wbiegła, nie zastanawiając się, wprost na ogromnego psa, który rzucił się na uwięzi jak szalony i wcisnęła się do jego budy. Pies coraz mocniej ujadał, aż podnosił się na tylne łapy. CzK-iści wpadli do zagrody z wrzaskiem: *gdie ana?* Gospodarz wyszedł z chaty i pyta, o co chodzi? Pies nadal szaleje, a CzK-iści wyjaśniają: *Żeńszczyzna uderła s maszyny*. Gospodarz tłumaczy, że nikogo nie widział. Czekiści powtarzają: *zdzieś wbieżała, może być pognała přímo w pole* – i pobiegli dalej. Po chwili pies się uspokoił i siadł na odległość uwięzi.

Mamusi powróciła świadomość rzeczywistości. Ale jak teraz wyjść z budy, przecież pies ją rozszarpie. W domu gospodarzy zgasło światło. Wysuwa się, więc Mamusia wolniutko z budy, nie spuszczać oczu z psa. Jest już poza jego zasięgiem, a pies nadal siedzi bez ruchu. Podeszła do okna chaty i zapukała. Gospodarz pyta: *Kto wy? To ja uciekłam* – mówi Mamusia. Polecił jej wejść szybko do chaty, zasłonił okna i wypytuje, gdzie się ukryła. *W budzie psa* – odpowiedziała zgodnie z prawdą. A gospodarz na to: *Przez was byłiby psa zastrzelili, okropnie na nich ujadał. Jak wyszliście z budy?* – *Wolniutko* – mówi Mamusia – *pies tylko na mnie patrzył i siedział spokojnie* – *Ot, dobry, mądry pies, wpuszcł i wypuszcł* – dodał z podziwem gospodarz.

W chacie tej poczęstowano Mamusię gorącym mlekiem i dano pod pachę zawinięty w szmatkę podpłomyk. Mamusia podziękowała i ruszyła w dalszą drogę, w sukience i chustce podarowanej jej przez gospodynię. Gospodarz wyprowadził ją i wskazał kierunek. Przeszła nielegalnie granicę na rzece Zbrucz. Dotarła szczęśliwie do miasteczka Skała Podolska, znanego jej już od wujka Ludwika. Tu uchodźcy zza Zbrucza wsiadali bezpłatnie do pociągu idącego do Tarnopola.

Babcia zabierała nas wnuczków – codziennie idąc po wodę do studni. Nie chciała po ucieczce Mamusi zostawić nas w domu, choć ciocia Karola o to prosiła. Bała się, żeby CzK-iści nas nie zabrali. Pewnego ranka babcia zostawiła nas jednak z ciocią. Przyszła wtedy znajoma pani (mieszkała daleko za rzeką, za Smotryczem) i zabrała nas do siebie, żebyśmy mogli pobawić się ze znajomymi chłopcami. Ciocia Karola zrobiła z chustek dwa zawiniątka. Dzień był śliczny – słoneczny, do rzeki bliźutko. Pani, z którą szliśmy, kazała się nam rozebrać i wykapać. Potem, bardzo zadowolonych, ubrała nas i poszliśmy dalej. Nadjechała furmanka. Pani rozmawiała z gospodarzem po rosyjsku, więc nic nie zrozumieliśmy. Kazała nam wsiadać na wóz, sama wsiadła także. Wkrótce usnąłem. Gdy było już ciemno, obudził nas woźnica. Zabrał nasze zawiniątka, a mnie z bratem wziął ktoś na ręce i wniósł do mieszkania, ulokował na zapiecku i zaciągnął zasłonkę. Przykucnęliśmy obaj w kąciuku i ponownie usnęliśmy przytuleni do siebie. Było zupełnie ciemno. Nagle usłyszeliśmy głos wujka Ludwika. Odsunął zasłonkę i w słabym świetle zobaczyłem wujka, który wołał: *Janek, Staszek nie bójcie się! Chodźcie do mnie*. Wziął nas na ręce, posadził na ławie i kazał jeść podpłomyk i pić mleko.

To był rok 1924. Wujek podziękował za posiłek, wziął nas obu na ręce i poniósł w ciemną noc polnymi drogami, mocno sapiąc z wysiłku. W pewnej chwili zamajaczyło przed nami coś ciemnego i ogromnego. Wujek szybko zbliżył się do tego czegoś, co okazało się stodołą. Posadził nas przy jej drzwiach i dał nam do zjedzenia po kawałku placka (podpłomyka)

Gdy my pożywialiśmy się, wujek otworzył wrota stodoły i coś tam w słomie grzebał. Potem wepchnęliśmy się razem w zrobioną przez niego norę. Tu będziemy spali. Zasnęliśmy smacznie i bezpiecznie z wujkiem. Ale Staszek obudził się, a może piszczące myszy go obudziły, a wujka nie ma?! Myszy nadal piszczą i tańczą, nasłuchujemy czy wujek nie nadchodzi. Znowu usnęliśmy. Obudził nas szelest odgarnianej słomy i prąd świeżego powietrza. Wujek zawołał, abyśmy przyszli coś zjeść, a potem pójdziemy do Mamusi. Dostaliśmy po kubku mleka i po kawałku podpłomyka. Wujek też się posilił. Nadal była noc. Pocieszył nas, że Mamusia jest już niedaleko.

Wujek znów dźwigał nas na rękach. Ja miałem wtedy 6, a braciszek 4 lata. Po pewnym czasie ten sam widok przed nami –

ciemna duża bryła. Pod drzwiami kolejnej stodoły odpoczywaliśmy i wujek powiedział, że tu będziemy jeszcze raz spali, a Mamusia już na nas czeka. Gdy obudzimy się, do Mamusi będzie już blisko. Wujek znowu wymościł w słomie norę i wśliznęliśmy się do środka. Przytuliwszy się do wujka z obu stron, zasnęliśmy spokojnie. Chciałem mocniej przytulić się do wujka, a jego ... nie ma. Obudziłem Staszka. Myszy tak samo piszczą jak poprzednio, szeleści słoma pod ich nóżkami. Przytuleni do siebie czekamy na powrót naszego opiekuna. Skrzypnęły ogromne wrota i wujek woła byśmy wyszli ze schowka napić się ciepłego mleka.

Jak dobrze na świeżym powietrzu, myszy nie hałasują, smakuje mleko i pachną placki pieczone na kuchennej płycie.

Wujek znów niesie nas na rękach, ale teraz idzie jakoś inaczej, bacznie się rozgląda, inaczej stawia nogi, mocniej sapie i więcej ma potu na policzkach. Przez całą drogę nie widziałem żadnych wiosek, tylko te dwie stodoły i same pola. Wujek wędrował z nami przez dwie noce. Nie umiem powiedzieć ile to mogło być kilometrów.

Nagle zabłysło dalekie, maleńkie światełko. Wujek jakby chciał bieć... Światełko jednak szybko zgasło, wujek legł na roli, przycisnął nas do siebie i nakazał: *Cicho teraz! Bardzo cicho bądźcie!* Doleciał nas stęp koni idących bardzo wolno. Szły długo, wreszcie słychać je było coraz słabiej.

Wujek uniósł głowę. *Szybko wstawajcie* – powiedział do nas. Chwycił nas obu jak szczeniaki. Światełko znowu się ukazało. Biegając wzdłuż rzeczki (Zbrucza) wujek “wyrzucił” Staszka. Zauważyłem, że ktoś go chwycił. Złapałem się wujka mocniej, przestraszony, ale ten szarpnął mną i także “wyrzucił”. Ktoś złapał mnie w powietrzu, a Staszek stał obok mnie. Szukałem wujka oczami, ale on tam coś grzebał na roli, potem przeskoczył na naszą stronę i pobiegliśmy razem w kierunku światła w oknie. Weszliśmy do jakiegoś mieszkania. Mamusi tam nie było, ale byliśmy w Polsce! Wykapano nas w drewnianej balii, ubrano w czystą bieliznę i ubranka, które już na nas czekały. Wujek powiedział, że to tarnopolskie.

Jakie tam inne jedzenie. Na stole smaczna bułeczka z masłem i słodkie kakao. Niedaleko znajduje się stacja kolejowa, słychać przejeżdżający pociąg. Rano idziemy rozmawiać z Mamusią.

Na stacji kolejowej w miasteczku Skala Podolska wujek przyłożył coś do ucha i zapytał: *Jańcia, to ty?*

- *Tak, jestem na miejscu, a dzieci?* – usłyszeliśmy głos Mamusi. I zaraz:

- *Stasiu, czy słyszysz mnie? A jak Janek?* – Wujek przyłożył mi coś do ucha i usłyszałem: *Janeczku, jutro przyjadę po was.* – A ja krzyczę: *Mamusi proszę wyjść z tego pudełka! Jak Mamusia tam weszła?* Usłyszałem szloch Mamusi i słowa: *Jutro będę z wami!*

Następnego dnia rano usiedliśmy po modlitwie, razem z miejscowymi dziećmi, do śniadania. W mieszkaniu przy stole, a nie w nocy przy drzwiach stodoły. Potem poszliśmy z wujkiem na stację kolejową. Wciąż patrzę na tę czarną skrzynkę i zastanawiam się, jak Mamusia się z niej wydostała. Słychać sygnał nadjeżdżającego pociągu, syczenie pary, wyszliśmy na peron. Jakie ogromne zaskoczenie. Mamusia wysiada z pociągu i płacze. Podbiegliśmy do niej. Ścisła nas, całuje, jej tzy obmywają nasze policzki.

Bardzo szybko znaleźliśmy się z powrotem w mieszkaniu policjanta czy wojskowego – nie pamiętam. Po serdecznych rozmowach i po obiedzie, pożegnaliśmy się z gospodarzami. Znowu płacz. My za chłopcami, a starsi także mają mokre oczy i policzki.

Na stację w Skale Podolskiej zajechał pociąg do Tarnopola. W pociągu radość ogromna. Jesteśmy w Polsce! Pociąg do Tarnopola bardzo się spieszył. Stacja tu większa, dużo torów, wysiadało wielu ludzi. Przy wyjściu odbierano bilety. Pan w kolejowym mundurze powitał Mamusię słowami: *Całuję rączki pani Raniczkowska, szczęśliwie z dziećmi i bratem.*

## SPIS TREŚCI

Od Redakcji .....	2
Władysław SUROWIECKI	
Poemat repatriacyjny (fragmenty) .....	3
Henryk OGONOWSKI	
Geneza i warunki naszej ekspatriacji na zachód .....	5
Wiktor CHMIELUK	
Przesiedlanie .....	8
Władysław KUBÓW	
Szli na zachód osadnicy .....	22
Danuta Szychulska-SKOWRON	
Moje wspomnienia o wysiedleniu z Tarnopola .....	35
Jerzy STOPA	
Ekspatriacja z Tarnopola .....	36
Ks. Józef ANCZARSKI	
W popłochu na zachód .....	41
Jadwiga KOWALSKA	
Pamiętny św. Mikołaj (fragment) .....	45
Anna POPIEL-MAJCHRZAK	
Tak wyjeżdżaliśmy .....	47
Henryk SOKOŁ	
Wspomnienia .....	54
Zdzisława POPIEL-JASZCZAKOWA	
Ekspatriacja ze Skąlatu .....	52
Romualda GRAD	
Moja odyseja .....	55
Czesław KOMINEK	
Repatriacja z Hrycowiec .....	57
Stanisława DOKTOR-JAROSŁAWSKA	
Mój wyjazd z Czortkowa w 1945 r. ....	61
Danuta BUTRÓWNA-STANZEL	
Repatrianci z Buga .....	64
Józefa CHOINA-DRABKOWSKA	
Moja droga ekspatriacyjna .....	66
Janina SZAJNA	
Moje wspomnienie z drogi na zachód .....	68
Katarzyna CILIŃSKA	
Wypędzenie z Ojcowizny .....	72
Helena DRZEWIECKA-SZMIGIELSKA	
Przesiedlenia .....	76

Franciszek i Józef KAPŁUN	
Z Podola na Dolny Śląsk .....	78
Kazimierz SIMON	
Z mojego pamiętnika "repatriacja" w 1945 r. ....	85
Ks. Kazimierz ORKUSZ	
Ekspatriacja .....	88
Janina MIKLUSZEK-HRYCEKOWA	
Wspomnienia z "podróży" w jedną stronę .....	91
Maria MAJCHER-TARNIOWA	
Wspomnienia z Zabojek .....	95
Maria WIERZBICKA	
Z Brzeżan na Zachód .....	101
Janina SARAN	
Wywózka z rodzinnych stron .....	103
Józefa AUTERHOFF	
Powrót do Polski .....	106
Marian OKULICZ	
Z Syberii do Polski .....	117
Jan RANICZKOWSKI	
Nie "repatriacja" a ucieczka z "raju" w 1924 r. ....	120